



C H I T R A
B A N E R J E E
D I V A K A R U N I

Opowieść o klanie kobiet, w której cała gama uczuć
rozciąga się na przestrzeni lat i kontynentów

U S T Ó P
B O G I N I



Chitra Banerjee Divakaruni

U stóp bogini

PRZEŁOŻYŁA
Urszula Gardner

KONSULTACJA INDOLOGICZNA
dr hab. Piotr Balcerowicz

 WYDAWNICTWO
KOBIECE



*Moim trzem mężczyznom:
Murthy'emu, Anandowi i Abhayowi*





*Yatra nāryas tu pūjyante
ramante tatra devatāh.*

(Gdzie niewiasty są uczczone,
Tam radują się bogowie).

– Manusmryti 3/56,
przeł. Maria Krzysztof Byrski



Każdy żyje na dwa sposoby.

*Pierwszy jest zwykły,
drugi już nie tak bardzo.*

– Jean Thompson
Fire Dreams



Lampa pomysłności: 1995



dzisiaj w mroku wyją szakale. Lubią, gdy burze niszczą linie elektryczne we wsi, pozostawiając tylko przerywany blask księżyca. Być może instynktownie pamiętają czasy sprzed pojawienia się ludzi, zanim same zostały zepchnięte na obrzeża.

O tej porze Sabitri zazwyczaj już śpi. Ma słabe serce i problemy z ciśnieniem. Lekarz zalecił jej prowadzić regularny tryb życia. Czy chciała być przykuta do łóżka? Czy chciała być karmiona na siłę wodą jęczmienną? Czy chciała, by o wszystkim dowiedziała się jej córka w Houston? I Bipin Bihari Ghatak, jej doradca biznesowy z Kalkuty?

Nie. Nie chciała nic z tego. Bela trąkotałaby jak katarynka, jak to miała w zwyczaju, ilekroć nachodziły ją wyrzuty sumienia, a Bipin Bihari zamilkłby ze zmartwienia, ponieważ nigdy nie chciał, aby Sabitri na emeryturze wróciła do swej rodzinnej wsi z dala od Kalkuty. Mówił coś wręcz o dziczy.

Sabitri kładzie pióro i papier na rozchwierutanym stolyczku, obok lampy naftowej. Stara się nie obudzić Rekhy, która chrapie w alkowie na swojej macie z włókna kokosowego, gdyż ta, obudzona, zaczęłaby ją napominać zwyczajem długoletnich służących, którym się wydaje, że mają do wszystkiego prawo.

Wieczór zaczął się miło. Sabitri przycupnęła na parapecie i przyglądała się

ścianie deszczu, która przesłaniała świat. Niebo raniły błyskawice. Za jej plecami Rekha załamywała ręce. „Pozwól, że zamknę okno. Woda zamoczy całą pościel, narzuta zapleśnieje, a ty znowu nabawisz się zapalenia płuc, i co wtedy zrobimy?”. Jednakże Sabitri nie zgodziła się. Uwielbia zapach deszczu nocą: woń ziemi, ciemności, ale też czegoś innego, nienazwanego i lekko przerażającego. Gdy była młodsza, nie dało się jej zatrzymać pod dachem w czasie ulewy. Ba, nawet teraz, gdy stała się słaba i krucha, burza wciąż przemawiała do jej duszy. Wielka szkoda, że Bipin Bihari nie mógł jej dzisiaj zobaczyć!

Zadzwonił telefon. Sabitri nie zamierzała go odebrać. Po to kupiła sobie tę drogą, wymyślną automatyczną sekretarkę. Ale wtem rozległ się chrapliwy głos Beli. Jej córka płakała. Czyżby chodziło o dzieci? Sabitri poczuła w piersi odwieczną potrzebę. Chronić, chronić. Rzuciła się nieroztropnie po ciemku i stłukła sobie kolano; ból przeniknął ją całą niczym ogień.

– Co się stało? – krzyknęła w słuchawkę. Jej głos zabrzmiał szorstko, gniewnie, chociaż nie miała takiego zamiaru. Nawet po tylu latach Bela działała na nią w ten sposób.

Jednakże Bela, zaabsorbowana własną tragedią, jak zwykle nawet nie zwróciła na to uwagi. Zaczęła pośpiesznie opowiadać. Tara chciała rzucić studia, trzeba jej to było wybić z głowy, ukończyła zaledwie jeden semestr, to będzie najgorszy błąd jej życia, ta dziewczyna nie słucha matki, odmawia przyjęcia do wiadomości czegokolwiek, co matka ma do powiedzenia.

Sabitri nie okazała niepokoju. Współczucie tylko by spotęgowało płacz Beli.

– Przykro mi to słyszeć. – Jakże chłodno i nieczule to zabrzmiało.

– Musisz do niej napisać, mamó! Jesteś jej babką. Jeśli zagrasz na właściwej nucie, jeśli podkreślisz zagrożenia wynikające z tej niemądrej decyzji, Tara nie zrujnuje sobie życia!

Sabitri zapragnęła przypomnieć Beli, że próbowała tego samego z nią. I co dobrego z tego przyszło? Poza tym Tara w życiu nawet nie widziała babki.

Ilekcroć Sabitri prosiła Belę, aby ta przywiozła córkę do Indii, Bela znajdowała jakąś wymówkę. Zupełnie jakby czuła – ona sama albo razem z tym swoim mężem, Sandżajem – że Sabitri będzie miała na Tarę zły wpływ.

Lata nauczyły Sabitri zachowywać takie myśli dla siebie. Powiedziała więc:

– Dlaczego Tara chce rzucić studia? Przecież dobrze się uczy.

Gdy nie otrzymała żadnej odpowiedzi, podjęła:

– Czy jej ojciec z nią o tym rozmawiał? Prędzej posłucha jego niż mnie. Zdaje się, że są ze sobą blisko...

Po drugiej stronie panowało milczenie – bardziej niepokojące niż najgorszy płacz. W końcu Bela się odezwała:

– Tara i Sandżaj obecnie nie rozmawiają ze sobą.

Coś innego było nie tak, coś gorszego niż chęć rzucenia przez Tarę studiów, które – z tego, co słyszała Sabitri – w Ameryce łatwo podjąć od nowa. Sabitri nagle poczuła, że ma znacznie więcej niż sześćdziesiąt siedem lat. Nie miała siły przesłuchiwać Beli. Zresztą jaki jest sens w zadawaniu pytań? Sabitri wiedziała to, co najważniejsze: gdyby jej córka, dumna i uparta jak ona, miała się do kogo zwrócić, nigdy by do niej nie zatelefonowała.

Starannie zapisała adres akademika, który podyktowała jej Bela. Obiecała pojechać riksą na pocztę nazajutrz z samego rana i nadać list priorytetowy.

A teraz siedzi przy stole, który ma od dziesiątków lat, i gładzi palcami wyżłobienie zrobione przez Belę pewnego razu, gdy się pokłóciły. Co powinna napisać swym zaśnieżonym angielskim do Tary, aby nakłonić ją do zmiany zdania? Nawet nie potrafi sobie wyobrazić życia wnuczki ani jej obcego świata. Jedyne, co ma, to kilka fotografii. Malutka Tara przebrana w kostium wymachuje miotłą, celebrując jakieś dziwaczne amerykańskie święto, którego znaczenia Sabitri nawet się domyśla. Nastoletnia Tara na balu zwanym komersem, cudzoziemska i wytworna w sukience bez ramiączek. Sabitri poczuła się onieśmielona tymi brokatowymi policzkami i wyskubanymi wymyślnie brwiami.

Jakże Tara z tego zdjęcia różni się od wizerunku ukrytego w szufladzie pod stertą sari: Bela trzyma na ręku małą Tare, która wyziera spod wełnianej niebieskiej czapeczki, podczas gdy w oddali majaczy pomarańczowy most.

To było pierwsze zdjęcie. Sabitri nadal pamięta ukłucie zawodu na jego widok, gdyż bardzo chciała być obecna przy narodzinach wnuczki. Nikt jej jednak nie zaprosił.

Zapomnij o przeszłości, tym naczyniu, w którym wszystkie emocje warzą się w żal. Zaczynij pisać.

~*~

Najukochańsza Wnuczko!

Z pewnością dziwisz się temu listowi, skoro normalnie wymieniamy korespondencję wyłącznie przy okazji święta Dasara. Od Twojej matki wiem, że nie zamierzasz kontynuować nauki. Niezmiernie przykro mi to słyszeć. Mam nadzieję, że jeszcze zmienisz zdanie. Bez wykształcenia kobieta nie ma wielkich szans stanąć na własnych nogach. Może co najwyżej obserwować z boku, jak inni wiodą życie, o jakim marzyła...

Źle, źle, wszystko źle. Zmarnowana cała godzina. Sabitri mnie kartkę i rzuca ją na podłogę.

Najukochańsza Wnuczko!

Nie masz pojęcia, jaką szczęściarą jesteś, że możesz studiować. Wielu rodzin nie stać na to, aby posłać dziecko na studia. Zbrodnią byłoby zmarnować taką okazję, podsuwaną Ci przez życie.

Sabitri brzydzi się tym, co napisała. Jej słowa są takie nadęte, sztuczne, belferskie. Drze kartkę. Myślami błądzi znów wśród fotografii. Jej ulubione

zdjęcie, które trzyma na komodzie, ukazuje dziewięcioletnią Tarę na basenie. Dziewczynka, ubrana w różowy dwuczęściowy kostium kąpielowy, balansuje na krawędzi trampoliny gotowa w każdej chwili wskoczyć do wody. Na twarzy ma wyraz przerażenia i uniesienia.

Jak dobrze Sabitri zna tę mieszaninę uczuć.



Sabitri skoczyła na głęboką wodę, jak to często bywa w Bengalu, z patereą smakołyków. Od tamtej pory zdążyła zapomnieć wiele rzeczy – było to tuż po odzyskaniu niepodległości, miała wtedy zaledwie siedemnaście lat – jednakże tę paterę pamięta wyraźnie: była ciężka, zrobiona z litego srebra, i miała uniesioną ostrą krawędź, która wrzyniała jej się w palce, gdy Sabitri szła polną ścieżką za swoją matką, Durgą, niosącą identyczną paterę. Durga się garbiła. Przy każdym jej ruchu kręgi kręgosłupa przesuwały się w górę i w dół pod przetartym sari. Sabitri nie znała cięższej pracującej kobiety. Gdyby nie Durga, dawno nie mieliby co do garnka włożyć, gdyż mąż i ojciec należał do ludzi, których wszyscy wykorzystywali na każdym kroku. Patrząc na plecy matki, Sabitri czuła mieszaninę smutku, gniewu i miłości.

Obie patery były własnością Mittirów, najbogatszej rodziny we wsi. Ich nazwisko zostało wygrawerowane na krawędzi, aby zapobiec kradzieżom, a może w charakterze jakiegoś obwieszczenia. Żona Mittira, Lilamoji, zamówiła u Durgi smakołyki na obiad. Mittirowie mieli własnego kucharza, bramina z Kalkuty, jednakże to smakołyki Durgi słynęły na całą wieś i znacznie przewyższały wszystko, co on mógłby upichcić. A Lilamoji uważała, że zasługuje wyłącznie na to, co najlepsze.

Sabitri nie chciała iść z matką. Lilamoji, która na co dzień mieszkała w Kalkucie i przyjeżdżała na wieś z konieczności w czasie świąt, znana była z ciętego języka, wahań nastroju i zawyżonego mniemania o sobie. Sabitri

obawiała się, iż usłyszy od niej, jak to wyrosła i że jeszcze trochę, a rodzice nie zdołają wydać jej za mąż. Wszakże ktoś musiał pomóc Durdze. Siostra Sabitri była na to za mała. Jej ojciec przebywał akurat w świątyni, gdzie w wolnym czasie pełnił funkcję kapłana. A zresztą nawet gdyby akurat był w domu, przypomniałby im w charakterystyczny dla siebie łagodny, zdziwiony sposób, że coś takiego to nie zajęcie dla mężczyzny. Stąd na polnej ścieżce znalazła się Sabitri, spocona i poirytowana. Musiała się pilnować, aby przypadkiem nie wdepnąć w krowie łajno.

Wewnątrz domu Mittirów było chłodno, ale parno, ponieważ okna przesłaniało wilgotne sitowie. Dwie służące dzierżyły wielkie wachlarze z liści palmowych. Otyła Lilamoji, w otoczce plotek, spoczywała na sofie wyściełanej kwiecistym jedwabiem. Musiała być w dobrym humorze, gdyż skosztowawszy smakołyków, oświadczyła, że są wyborne, i bez przeliczania wręczyła Durdze garść rupii. Następnie zlustrowała wzrokiem Sabitri.

– Przypomnij mi, jak ma na imię twoja córka? – zapytała.

– Sabitri, rani ma.

– Ha! Zarozumiała jesteś, skoroś nazwała ją po legendarnej bohaterce, która wyrwała męża ze szponów śmierci. Cóż, lepiej prędko znajdź kogoś córce, bo w przeciwnym razie w ogóle jej nie wydasz.

Sabitri ukryła gniew i pociągnęła matkę za sari, starając się ją skłonić do odejścia, jednakże Durga powiedziała:

– Sabitri nie chce wychodzić za mąż, rani ma. Chce iść na studia. Chce zostać nauczycielką. Jest bystra. W szkole dla dziewcząt zdała maturę z pierwszą lokatą. Nas jednak nie stać na opłacenie jej dalszej nauki.

Sabitri poczuła, że twarz jej płonie. „Idź przez życie z podniesioną głową”, powtarzała jej Durga. Czemu w takim razie upokorzyła ją – i samą siebie – wyjawiając tej bogatej, zepsutej kobiecie najskrytsze marzenia córki? Bo były to marzenia równie nieziszczalne jak te o lataniu. Sabitri postanowiła, że nigdy

więcej nie zwierzy się matce!

Teraz Sabitri myśli: gdybyż tylko dało się wymazać lata, aby zdążyć powiedzieć „Rozumiem”. Jednakże zanim pojęła, ile kosztowało jej matkę wypowiedzenie tych słów, sama była matką i sierotą – Durga nie żyła i nie interesowały jej żadne przeprosiny.

– Naprawdę? – Lilamoji uniosła brwi z niedowierzaniem. Jej ręce uginały się od złota. Same bransolety wystarczyłyby, aby dwakroć opłacić studia Sabitri.

Czasem Sabitri wydawało się, że pięknie przez niesprawiedliwość tego świata. Zaczęła się przepychać przez liczną świtę w stronę drzwi.

Za jej plecami Lilamoji odezwała się ostro:

– Dziewczyno, czy pozwoliłam ci odejść?

Sabitri rozważała, czyby nie okazać jej lekceważenia, jednakże niezadowolona Lilamoji mogła uczynić ich życie jeszcze trudniejszym. Sabitri nie chciała zrobić czegoś takiego własnej rodzinie. Zatrzymała się, aczkolwiek nie obróciła.

– Coś ci powiem, Durgo... – Lilamoji odezwała się głosem znów leniwym. – Jeśli twoja niecierpliwa córka jest tak bystra, jak mówisz, jeśli zdoła dostać się na uniwersytet w Kalkucie, opłacę jej chesne i pozwolę zamieszkać w naszym domu w trakcie nauki.

Tłoczący się wokół niej pochlebcy zacmokali zazdrośnie na ten przejaw iście boskiej wspaniałomyślności, która przekraczała wszystko, na co zasłużyła sobie Sabitri. Sabitri zamarła w niedowierzaniu i ruszyła się dopiero wtedy, gdy matka ją szarpnęła i kazała jej dotknąć stóp gospodyni w podziękę.

Poczuła chłód marmuru na czole. Jej myśli rozpierzchły się niczym stado przestraszonych ptaków. Ślepy zaułek przyszłości nagle zamienił się w złotą bramę. „Dziękuję”, powtarzała gorączkowo w duchu, wstydząc się, że tak nie doceniła Lilamoji. Głos gospodyni, dudniący jej nad głową, istotnie przypominał głos bogini. Sabitri nie była w stanie odszyfrować słów, chociaż słyszała, że

kobiety w odpowiedzi wybuchają śmiechem.



Wieczność oczekiwania, dni powolne niczym krowy pasące się na spalonej słońcem łące. W końcu jednak Sabitri stanęła przed kalkuckim domem Mittirów. Trzymając w spoczonej dłoni blaszaną walizkę, zajrzała za kutą żeliwną bramę. Spodziewała się zobaczyć cuda. Tak czy owak, była zszokowana ogromem posiadłości; rezydencja miała trzy kondygnacje i okna przesłonięte żaluzjami, które przypominały opadające ciężko powieki. Pod obszernym portykiem stał lśniący samochód. Ceglany mur otaczający posiadłość zwieńczony był tłuczonym szkłem, aby zniechęcić intruzów. Odźwierny, wąsaty niczym bandyta, uderzył pałąk – lathi – w bruk i groźnym głosem kazał Sabitri się wynosić. Gdy odparła, że Lilamoji ją zaprosiła, prychnął z niedowierzaniem i spróbował wyrwać jej z dłoni list, który przysłał do niej Sarkar Moszaji, zarządca Mittirów.

Sabitri nie wiedziała, jak to się skończy, ale na szczęście z domu wyszedł młody mężczyzna.

– O co tyle zamieszania? – zapytał.

Jego koszula tak błyszczała w słońcu, że aż ją oslepiała. Sabitri w życiu nie widziała czegoś równie białego. Później miała go zapytać, jakiego mydła używają Mittirowie. Ponieważ jednak młody mężczyzna nigdy nawet nie przechodził koło pralni, nie mógł tego wiedzieć.

Sabitri zebrała się na odwagę, przepchnęła się obok odźwiernego i wyciągnęła przed siebie drżącą rękę, w której trzymała list. Młody mężczyzna obrzucił papier krótkim spojrzeniem, po czym nakazał odźwiernemu zaprowadzić dziewczynę do zarządcy.

– Upewnij się, że ktoś ją nakarmi i napoi – dodał. – Z daleka widać, że jest wycieńczona.

Zanim Sabitri zdążyła mu podziękować, wszedł do czekającego samochodu.

Później miała powiedzieć:

- Nawet nie przeczytałeś tego listu, prawda?
- Nie – potwierdził. – Czytałem za to w twoich oczach.
- Oczy mogą kłamać.
- Twoje nie – rzekł.

~

Bezużyteczne są te oderwane od siebie wspomnienia. Lepiej skup się na liście, który jako jedyny może mieć wpływ na przyszłość.

Wnuczko, ludzie gardzą kobietami bez wykształcenia. Taka osoba nie ma wielu możliwości. Aby przetrwać, jest zmuszona znosić złe traktowanie. Musi polegać na dobroci obcych, która na pstrym koniu jeździ. Nie życzę Ci podobnego losu...

~

Nawet najbardziej zdumiewająca przygoda prędzej czy później zamienia się w rutynę. Tak też było w wypadku Sabitri. Co rano jechała tramwajem do żeńskiego koledżu, gdzie odbywała się większość zajęć. Na wykłady z matematyki i fizyki wybierała się razem z niewielką grupą dziewcząt do pobliskiego męskiego koledżu. Zdenerwowane, zajmowały tam miejsca na tylnej ławie, ponieważ nigdy przedtem nie miały kolegów w klasie. Wykładowcy zwracali się wyłącznie do mężczyzn. Sabitri cieszyła się, że jest ignorowana. Wiejska szkoła nie przygotowała jej należycie; Sabitri z największym trudem dotrzymywała kroku innym.

Po zajęciach przesiadywała w bibliotece z dwiema dziewczynami, które także pochodziły z odległych wiosek. Dzieliły się podręcznikami, gdyż żadnej nie było stać na zakup wszystkich wymaganych książek. Sabitri otrzymywała miesięczne stypendium od zarządcy, ale to ledwie wystarczało na chesne i bilety tramwajowe,

ona zaś nie miała śmiałości poprosić o więcej. Odrabiając pracę domową, rozmawiały o rodzinie i tęsknocie za krewnymi. Sabitri dowiedziała się, że jej koleżanki mieszkają w zapuszczonym hoteliku dla kobiet, po sześć w jednym pokoju. Pewnego razu poszły zobaczyć, gdzie ona mieszka, i stały z otwartymi ustami, gapiąc się na rezydencję. Zdumiona ich reakcją, nie miała sumienia powiedzieć, jak bardzo jest tam nieszczęśliwa.

Obecnie ma tyle myśli w głowie. To jednak pamięta doskonale. W dzień jej przyjazdu Paro, ulubiona służąca Lilamoji, zabrała ją na piętro. Lilamoji siedziała na wielkim łożu z baldachimem, którego słupki były rzeźbione w lwie łapy, i grała z trzema przyjaciółkami w karty. Słońce odbijało się w owalnym lustrze, które stało przechylone w mahoniowej oprawie. Na ścianie wisiał zegar, jakiego Sabitri w życiu nie widziała. Kiedy na niego patrzyła, wybił pełną godzinę i ze środka wyskoczył ptaszek, który wydał z siebie serię piśnięć. Sabitri tak się przestraszyła, że aż drgnęła. A okna – z szeroko otwartymi okiennicami – wydawały się wielkie jak drzwi. Przez ich szprosy widziała kołyszące się czubki drzew. Miała wrażenie, że patrzy na liściasty ocean. Gdyby ona tu mieszkała, całe dnie spędzałaby na parapecie, wpatrując się w niebo. Tymczasem te kobiety nawet nie podniosły wzroku.

Paro chrząknęła cicho, przepaszając i Lilamoji poderwała głowę, marszcząc brwi.

– Kto to? – zapytała.

Sabitri przygotowała staranną przemowę, aby wyrazić swoją wdzięczność, jednakże gdy zdała sobie sprawę, że gospodyni ją zapomniała, uległa zdenerwowaniu. Słowa zlewały się ze sobą, kiedy próbowała wyjaśnić powody swojej obecności.

W końcu Lilamoji przerwała jej gestem.

– A, tak, córka tamtej kucharki. Ucz się pilnie i nie sprawiaj kłopotów.

Po czym wróciła do gry w karty, a Paro uszczypnęła Sabitri w ramię, aby dać

jej znać, że zostały odprawione.

Następnie pokazała Sabitri jej pokój: zatęchłe pomieszczenie na parterze, z małym zakratowanym okienkiem, które znajdowało się zbyt wysoko, aby można przez nie wyrzeć. Sabitri poczuła ciężar na piersi – i nie zapomniała tego uczucia aż do dzisiaj. Ich chata na wsi była prymitywna, ale przynajmniej skąpana w świetle i porośnięta szmaragdowym bluszczem lau. Teraz Sabitri już wie, że Paro mogła jej przydzielić lepszy pokój, tych bowiem nie brakowało w rezydencji. Jednakże z miejsca zapalała do niej niechęcią. Być może dlatego, że Sabitri – choć nie wykonywała w domu żadnych prac – miała zapewniony wikt i opierunek. Tamtej pierwszej nocy Sabitri płakała z tęsknoty za matką i za utraconym księżycem. Miała żal do siebie, że potraktowała wspaniałomyślność Lilamoji jako coś więcej niż zwykły chwilowy kaprys.

Trochę trwało, zanim zrozumiała, jaką pozycję zajmuje pod dachem Mittirów – nie była ani służącą, ani panią. Chociaż zaliczała się do wyższej kasty niż służący, to oni podejmowali decyzje: co będzie jeść, gdzie będzie się kąpać i rozwieszać pranie. Nie odnosili się do niej źle, ponieważ była córką kapłana, ale że chodziło o małą świątynię w odległej wiosce, nie czuli się w obowiązku traktować jej szczególnie dobrze. Rankami ktoś umieszczał jej śniadanie – talerz ryżu z kapką dhalu i ewentualnie niechętnie dołożoną z boku rybą – w sieni przed kuchnią. Sabitri siadała w samotności na podłodze i posilała się przed wyjściem na uczelnię. Zewsząd atakowały ją aromaty dań przygotowywanych dla członków rodziny: curry z owoców chlebowca, korma z baraniny, birjani... Czuła także głód rozmów, których strzępki dolatywały ją z kuchni, wśród nich śmiechy i wrzaskliwe sprzeczki między kucharzem i tragarzem. Sabitri aż bolał brzuch od pragnienia przynależności. Wieczorami bała się pojawić za wcześnie, żeby w oczach służących nie wyjść na łapczywą. Zanim więc zasiadła do posiłku, roti były suche, a warzywa zimne. Właśnie przy posiłkach najbardziej brakowało jej matki. W domu wszyscy jadali razem, a Durga z fascynacją i podziwem

wysłuchiwała relacji z minionego dnia córki.

Pewnego wieczoru, zdejmując sari ze sznura rozpiętego na tyłach ogrodu, Sabitri zauważyła wąską i krętą klatkę schodową, miejscami zardzewiałą. Wspięła się na nią – zapewne z pragnienia ucieczki. Stopnie prowadziły na taras, który okazał się pusty, jeśli nie liczyć zbiorników na wodę poznaczonych odchodami ptaków. Najwyraźniej nikt tu nigdy nie przychodził. Sabitri zawłaszczyła sobie to miejsce. Zjawiała się tam co wieczór, uważając, aby nikt jej nie przyłapał. Spoglądała na gwiazdy i wyobrażała sobie, że przyświecają jej krewnym. Kreśliła na roziskrzonym niebie słowa, które by napisała matce, gdyby Durga potrafiła czytać. Czasami pisała to, w co bardzo chciała uwierzyć. „Szczęściara ze mnie, że mieszkam w Kalkucie i chodzę na uczelnię. Ile dziewcząt dostaje taką szansę od życia? Niebawem znajdę świetną pracę. Zarobię dość pieniędzy, aby moja rodzina nigdy więcej nie głodowała”. Czasami szeptała w ciemnościach sentencję, którą na do widzenia zacytowała jej Durga: „Dobra córka to lampa pomyślności, rozświetlająca nazwisko rodziny”. Powiedzenie to miało drugą część, którą jednak jej matka pominęła milczeniem. Gdy żegnała się z Sabitri, oczy jej błyszczały niczym tłuczone szkło. Aby wysłać córkę do Kalkuty, musiała przekonać całą dalszą rodzinę, pewną, że wyjazd dziewczyny równa się jej rujnacji. Mając to w pamięci, Sabitri znajdowała w sobie siłę, aby spędzić kolejną długą noc na nauce w ponurym pokoju.

*Wnuczko, posłuchaj słów prawdy. Ludzie gardzą niewykształconymi.
Aby przeżyć, będziesz musiała żywić się okruchami ze stołu bogacza.
Jak taka kobieta może rozświetlić nazwisko rodziny?*

Pewnego ranka, gdy Sabitri przyszła do sieni, nie zastała tam śniadania. Zajrzała za drzwi, aby sprawdzić dłaczego. W kuchni panowało zamieszanie. Lilamoji

kazała kucharzowi przyrządzić rasgulle na obiad, co też uczynił. Tylko że coś poszło nie tak. Miękkie kulki, które powinny pływać w syropie, rozpadły się na setki fragmentów. A nie było czasu na zrobienie nowej porcji. Ależ Lilamoji naje się wstydu przed gośćmi, gdy przyjdzie jej poczęstować ich kupnymi smakołykami! Kucharze tracili posady za mniejsze przewinienia.

– Nie odejdę sam! – darł się kucharz. – Przypilnuję, abyście wszyscy odeszli ze mną! – Przyszpilił Sabitri wzrokiem z przerażającym marsem na czole. – A ty tu czego?

Nie wtrącaj się, poradził jej roztropny głosik w głowie. Jednakże usłyszała, jak sama mówi, że być może jest w stanie zaradzić problemowi. Kucharz zjeżył się na jej tupet, ale po chwili przywołał ją do siebie gestem. Ręce Sabitri się trzęsły, gdy gotowała mleko i słodziła je cukrem palmowym. Następnie rozdrobniła fragmenty kulek, mając w pamięci technikę matki. Dodała je do mleka razem ze zmielonym kardamonem i posiekanymi pistacjami. Już była spóźniona na uczelnię. Ale miksturę trzeba było mieszać, delikatnie, nieprzerwanie, żeby nie przywarła do dna garnka. Sabitri nie mogła ot tak sobie odejść.

Zanim znalazła się na uczelni, minęły trzy pierwsze wykłady. Wszelako nawet później Sabitri była rozkojarzona. Jej przyjaciółki żartowały, że to z powodu nowego wykładowcy matematyki. Ich profesor trafił do szpitala z zapaleniem płuc i uczelnia przysłała na zastępstwo świeżo upieczonego magistra, tyczkowatego młodzieńca, którego grdyka podskakiwała w górę i w dół, ilekroć podniecił się wykładanym tematem. Jednakże Sabitri nie poświęcała jemu – ani koleżankom – wiele uwagi. Zastanawiała się, czy Lilamoji się złości, że menu uległo zmianie. A może nowy deser jej posmakował? Jeśli nawet, pochwały i tak zbierze kucharz.

Najważniejsze, że Sabitri podobało się gotowanie! W domu zazwyczaj marudziła, gdy musiała pomagać Durdze. Tego ranka jednak, gdy mleko

zgestniało idealnie, nie tworząc brzydkiego kożucha na wierzchu, uśmiechnęła się nieoczekiwanie – po raz pierwszy od przybycia do Kalkuty.

– Patrz, jak się szczerzy – szeptały jej przyjaciółki. – Cóż to, Sabitri, zakochałaś się czy co?

Po powrocie do domu została wezwana przez Lilamoji. Wspinała się po schodach z ciężkim sercem. Z bogatymi nigdy nic nie wiadomo; trudno było przewidzieć, co ich ucieszy, a co obrazi. Tymczasem Lilamoji spoczywała wyciągnięta na łóżku, z którego jak się zdawało, w ogóle nie schodziła, i żując betel, rozdawała uśmiechy na prawo i lewo. Deser przypadł gościom do gustu. Nawet jej mąż i syn poprosili o dokładkę.

– Od tej pory – powiedziała takim tonem, jakby robiła wielką łaskę – chcę, abyś to ty przyrządzała deser, ilekroć będę przyjmować gości.

Sabitri wbrew sobie poczuła, jak serce jej pęcznieje na ten zaszczyt. Co jednak ze studiami? Wprawdzie przepisała sobie notatki koleżanek z dzisiejszych wykładów, ale nie wszystko z nich rozumiała. Jeśli to się będzie powtarzać, jak ma zdać egzaminy?

Lilamoji skinęła na Paro, która podeszła do mahoniowej komody z miną taką, jakby ugryzła gorzki melon. Z dolnej szuflady wyjęła dwa sari i wręczyła je Sabitri. Dziewczyna wstrzymała oddech, zachwycając się śliskością lśniącego materiału; nie chciała dać po sobie poznać ekscytacji. W życiu nie miała jedwabnego sari. A te, choć nie pierwszej nowości, były znacznie droższe od wszystkiego, na co mogłaby sobie pozwolić.

– Rani ma pragnie, abyś je zatrzymała – rzekła Paro, nie przestając się krzywić.

W swoim pokoju Sabitri przymierzyła stroje, żałując, że nie ma lustra. Pierwsze sari było czerwone jak owoc granatu i miało jaskrawozieloną lamówkę. Mimo że było zbyt odświętne, postanowiła, że włoży je nazajutrz, idąc na uczelnię. Drugie wyglądało na jeszcze bardziej kosztowne, było granatowe,

ozdobione cienką złotą lamówką. Gdzie będzie je nosić? Z pewnością nie w kuchni – tam Paro bez wątpienia roztaczała aurę rozgoryczenia, opowiadając wszystkim o tych niezasłużonych darach. Sabitri nie potrafiła się z nim rozstać. Materiał opływał jej ciało niczym woda, lżejszy, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała. Zdecydowała, że wybierze się na taras.

Na miejscu zaczęła się przechadzać tam i z powrotem na podobieństwo wielkiej damy, drobiąc eleganckie krocuki i pozwalając, aby wieczorny wiatr marszczył jedwab. Zamieniła się w bogatą dziedziczkę, która miała dwie komody takich sari. Diamentowy kolczyk w jej nosie rzucał błyski przy każdym ruchu.

Tylko że nie była sama! W rogu, za zbiornikiem na wodę, stał młodzieniec, który wybawił ją z kłopotu w pierwszy dzień pobytu u Mittirów. Przyglądał się jej, paląc. Syn Lilamoji. Znała jego imię dzięki podsłuchanym w kuchni plotkom: Radziw. Studiował medycynę, aby móc przejąć prowadzenie rodzinnego szpitala. Teraz się uśmiechał – niewątpliwie z kpina. Sabitri pobiegła w stronę schodów.

– Nie uciekaj! – zawołał za nią. Kiedy nie posłuchała, dodał: – Stój, proszę!

~*~

Wnuczko, na te słowa zatrzymałam się potulnie. Być może jakąś częścią siebie uważałam, że ktoś taki jak on może rozkazywać komuś takiemu jak ja, nieszczęsna. Ale też po części chciałam zostać, ponieważ był młody, przystojny i rycerski. Kiedy się do niego odwracałam, serce biło mi nierówny, i to nie tylko ze strachu.

Spogląda w dół na kartkę. Co kazało jej wypisywać takie bzdury? Mnie papier w dłoni, jakby chciała pozbyć się wspomnień. Po chwili jednak wygląda kartkę. Nie czuje się na siłach doradzać Tarze. Przypuszcza, że jeśli opowie jej o swoim życiu, dziewczyna może coś zrozumieć. Po raz pierwszy przepelnia ją nadzieja.

210

Jak długo ze sobą rozmawiali przy tamtej okazji i następnej, i jeszcze kolejnej? I o czym? Później będzie pamiętać tylko oderwane fragmenty, poszarpane chmury przepływające na tle tarczy księżyca. Gdy mu nieśmiało wyjawiała powód swej obecności w Kalkucie, zaczął słuchać uważniej. Potem opowiedział jej o sobie, rozbrajając ją swą skromnością i uczciwością. Nie cierpiał studiów medycznych: odoru choroby, ropy i wymiocin, ciemnej, zażółconej uryny pacjentów. Nie mógł tego jednak powiedzieć rodzicom, którzy wiązali z nim wielkie nadzieje. Ten taras był także miejscem jego ucieczki. Uwielbiał grać na flecie. Może mógłby zagrać dla niej któregoś wieczoru? Sabitri wiedziała jednak, że nigdy do tego nie dojdzie. Nie mogli dać się przyłapać.

Mijały dni. Ile ich było? Trudno zwracać uwagę na tak prozaiczne rzeczy, gdy człowiek trwa zawieszony w bajce. Po jakimś czasie Radziw przyniósł starą czerwoną narzutę, aby mieli na czym usiąść wygodnie podczas rozmowy. Którejś bezksiężycowej nocy odchylił się do tyłu, aby wskazać jej gwiazdozbiory. Tu jest jasno świecący Kalpursz, a tam Saptariszi. Sabitri była pod wrażeniem. Nie sądziła, że miastowy chłopak będzie znał się na niebie. Może dlatego sama odchyliła się do tyłu na narzucie z malmału, mimo że w uszach dźwięczały jej przestrogi matki. Wyznała Radziwowi swoje marzenia: ubrana w wykrochmalone sari będzie uczyć w szkole historii, opowiadać o zdobywcach i despotach. Jej uczniowie będą grzeczni, nigdy nie będzie musiała użyć różgi. Z czasem zostanie dyrektorką szkoły, będzie nosić okulary w rogowej oprawie i budzić ogólny postrach.

Radziw skinął głową. Zgodził się, że będzie z niej dobra nauczycielka. Okręcił sobie palec kosmykiem jej włosów, do których rozpuszczenia wcześniej ją namówił. Właśnie to sprawiło, że koniec końców się w nim zakochała: jego wiara w nią i jego delikatność.

Jednakże jej marzenia zmieniały się w trakcie mówienia o nich.

Tamtego pierwszego wieczoru ich rozmowa, która ciągnęła się w nieskończoność, urwała się niebezpiecznie późno. Sabitri pobiegła do pokoju, aby zdjąć magiczne sari, dzięki któremu przywołała swego księcia, i włożyć zwykłe, bawełniane. Choć bardzo się spóźniła na kolację, nikt tego nie zauważył. Wszyscy mówili o tym, że panicz pojawił się późno w jadalni. Gdy w końcu przyszedł, Lilamoji go zbesztła i zażądała wyjaśnień, gdzie się podziewał. Radziw jednak odmówił odpowiedzi. Służący zgadywali, że zasiedział się w jakimś klubie ze swymi przyjaciółmi nicponiami. Bo czy nie wyglądał, jakby wypił o jednego za dużo? Starsi służący wyrzekali na dzisiejszą młodzież, krytykowali brak szacunku dla rodziców. Młodszy marudzili, ponieważ teraz wszyscy będą musieli pracować do późna. Sabitri ledwie była w stanie coś przełknąć, tak sucho miała w gardle z podniecenia pełnego poczucia winy. Na sercu zrobiło jej się ciepło od tajemnej mocy.

~

Wnuczko, uboga i niewykształcona nie będziesz mieć narzędzi do poznania świata. Będziesz znać tylko swoje w nim miejsce: blisko dołu. Możesz sobie wierzyć, że jesteś stworzona do lepszych rzeczy, ale jak Ci się uda po nie sięgnąć? Złapiesz się pierwszej okazji, jaką zobaczysz, nie przejmując się, czy zdoła udźwignąć twój ciężar.

~

Nazajutrz, idąc na uczelnię, włożyła czerwone sari. Przyjaciółki prawily jej docinki, zwłaszcza gdy na zajęciach z matematyki młody wykładowca upuścił książki, które chciał położyć na biurku. „Rozpraszasz jego uwagę!”, mówiły. Zbyła je śmiechem, ale gdy wykładowca wychodził, w przypływie figlarności spojrzła mu prosto w oczy ze zmysłowym, jak myślała, uśmiechem. Młodzieniec upuścił książki ponownie. Później przyjaciółki powiedziały jej, że omal nie pękły ze śmiechu.

Miała wrażenie, że wkroczyła w złoty okres. Budziła się wcześniej i wciąż rozespana biegła do kuchni, gdzie przyrządzała desery: mihidanę, malpuę, pithayę ze słodkich ziemniaków, smażonych i zatopionych w gęstym syropie. Goście Lilamoji za nimi przepadali. Nawet panicz – który nigdy nie przepadał za słodkościami, jak gospodyni powiedziała Sabitri – poprosił o dwie dokładki puddingu ryżowego. Powiedział też matce, że ten, kto go przyrządzał, to prawdziwy skarb. I przestrzegł ją, aby przypadkiem nie pozbyła się takiego kucharza.

Sabitri opisała to wszystko w liście do Durgi, dodając obszerne informacje na temat deserów, które przystosowała do miejskiego gustu Lilamoji. Nie wspomniała o opuszczonych zajęciach ani o zaległościach w nauce. Na kopercie nakreśliła prośbę do ojca, aby przeczytał wszystko Durdze. Ale list chyba się zagubił po drodze, ponieważ nie otrzymała nigdy odpowiedzi.

Nocą, po wizycie na tarasie (ustalili, iż będą się spotykać po kolacji, gdy wszyscy zakładają, że poszli już spać), rzuciła się na swoim pościeli, marząc o tym, by móc opowiedzieć matce o Radziwie. Sekret ciążył jej na żołądku niczym niestrawność. Gdyby mogła zobaczyć się z Durgą twarzą w twarz, opowiedziałaby jej o wszystkim. Durga byłaby wstrząśnięta. Być może nawet by ją uderzyła. Ale że kochała swoją córkę, ostatecznie pogodziłaby się z tym.

Na tarasie Radziw powiedział jej, że na sali operacyjnej odniósł wrażenie, że tonie w przerażająco jasnej krwi, która chwilami tryskała mu na dłoń. Sabitri wzdrygnęła się i objęła go mocniej, wtulając twarz w jego włosy.

– Całe szczęście, że mam ciebie – powiedział w zagłębienie jej obojczyka. – Inaczej chybabym się zabił.

A zatem to dlatego ją kochał. Była jego spowiedniczką, jego absolucją.

Tak, pomyślała. Nigdy przedtem nie czuła się tak potrzebna.

Ujął jej twarz w dłonie i wpatrzył się w nią niczym w księżyc. Gdy zatopił własną twarz w jej piersiach, pożądanie – groźne jak drut pod napięciem – raziło

ją do głębi, tak że myślała, iż się rozpada.

– Chciałbym, aby ta chwila nigdy się nie skończyła, Tri. Aby była całym moim życiem.

Tak, tak...

Podobało jej się zdrobnienie, którego używał. Dzięki temu imię było wyjątkowe. Jednakże chwila nie może być całym życiem. Sabitri to wiedziała. I pragnęła więcej.



Jedna z przyjaciółek Lilamoji została babką. Wyjechała do córki na cały miesiąc. Jak jednak będą grać w preferansa bez niej? Sabitri została wezwana do przestronnej sypialni Lilamoji i nauczona prawideł. Okazały się na szczęście bardzo proste.

– Bystra dziewczyna! – pochwaliła ją Lilamoji, rozciągając w uśmiechu błyszczące, zabarwione betelem wargi. – W takim razie gdybyś mogła przyjść tu zaraz po zajęciach?

Właściwie nie była to prośba.

Sabitri nie miała odtąd czasu na ślęczenie w bibliotece. Pędziła do domu, przebierała się w jedno z nowych sari – teraz miała ich cztery – i szła na piętro, gdzie Lilamoji brała ją sobie na partnerkę, ponieważ była lepszym strategiem od pozostałych kobiet. Podczas gry Sabitri musiała siedzieć naprzeciwko gospodyni na jej łóżku. Z początku czuła się niezręcznie. Mieszkańcy jej wioski, rodziców nie wyłączając, byliby zbulwersowani podobną poufałością. Ale Lilamoji zdawało się to nie przeszkadzać. Zależało jej tylko na wygranej. Paro donosiła herbatę i kachuri nadziewane ostro przyprawionym zielonym groszkiem.

– Jedz, jedz – mówiła Lilamoji. Zwracała się do Sabitri per meje, które to słowo mogło znaczyć „dziewczyna” albo „córka”. Sabitri widziała gniew za maską uprzejmości, w którą Paro przybierała swoją twarz.

Ale Wnuczko, mnie to wcale nie martwiło. Jakże miękki był materac, jakże jedwabista pościel. Jakżeż słodki sandesz, który przyrządziłam rano. A Lilamoji nazywała mnie córką – to musiał być znak!



Na uczelni mówiła koleżankom, że musi pomagać w domu. Nie było to całkiem kłamstwo, prawda? Ich rozczarowanie wywołało u niej wyrzuty sumienia, gdyż przyjaciółki liczyły, że będzie im wyjaśniać angielskie teksty: Olivera Goldsmitha, Thomasa Hardy'ego. Jednakże ledwie wychodziła na ulicę, zapominała o wszystkim: o przyjaciółkach, o zbliżających się egzaminach, o młodym profesorze matematyki, który podczas wykładu błędził za nią oczyma. Czowała się jak zaczarowana.

Oto, o czym śniła Sabitri, jadąc tramwajem i drzemiąc, ponieważ ostatnimi czasy wечно brakowało jej snu. Znajduje się w ślubnej mandapie, odziana na czerwono, jak na pannę młodą przystało. Unosi wysoko girlandę i nakłada ją na szyję Radziwowi. W blasku lamp naftowych widzi w jego oczach odbicie własnej twarzy: drobnej, promiennej, doskonałej. Wróżące dobrze na przyszłość dźwięki siankh towarzyszą im w drodze na ostatnią kondygnację rezydencji Mittirów, gdzie jak powiedział jej Radziw, mieści się jego pokój. W łóżu lata mijają im szybko i przyjemnie. Pojawia się dziecko. I drugie. Sabitri zdejmuje złote bransolety, aby karmić niemowlęta piersią. U talii ciąży jej klucze, które przekazała synowej Lilamoji. W kuchni kucharz kiwa solennie głową, gdy każe mu przyrządzić curry z owoców chlebowca. Paro pierze brudne pieluszki dzieci. Nie. Sabitri wyrzuca Paro poza nawias swego świata.

Cudny, cudowny sen, Wnuczko. Dlaczego więc, gdy się nagle przebudziłam na dzwonek konduktora oznajmającego mój przystanek, czułam ucisk w piersi i miałam wrażenie, jakbym o czymś zapomniała?

Lato spadło na Kalkutę z dziką zawziętością. Sabitri wróciła z uczelni przepocona i spragniona kąpieli; zimnej wody, która kaskadami obmyłaby jej ciało w łazience dla służby. Jednakże w progu czekała na nią służąca. Lilamoji chciała ją widzieć. Sabitri była zdziwiona. Tego dnia nie było w planach gry w karty – a może coś pomieszała?

– Pozwól, że ugaszę pragnienie – powiedziała. – I się przebiorę.

Służąca skrzywiła się i potrząsnęła głową.

– Rani ma czeka. Lepiej idź do niej od razu.

Pierwsze, co Sabitri zobaczyła po wejściu do sypialni, to czerwona narzuta, która leżała na podłodze rzucona niczym skóra zdarta z jakiegoś zwierzęcia. Sabitri poczuła, jak krew występuje jej na twarz, po czym z niej odpływa; aż musiała się przytrzymać futryny. Gdy już odzyskała ostrość spojrzenia, rozejrzała się za Radziwem, który by ją obronił. Jednakże w pokoju była tylko Lilamoji i Paro. Ta ostatnia podpierała się pod boki i aż promieniała z zadowolenia.

Pomimo upływu lat Sabitri wciąż pamięta wygięte wargi Lilamoji, spomiędzy których sypały się przekleństwa: „przebiegły kocmołuch”, „córka ladacznicy”, „źmija wyhodowana na własnym łonie”. Sabitri poczuła w ustach taką suchość, że słowa ją zawiodły, gdy spróbowała się bronić. Usłyszała, że Radziw został odesłany do wuja w innym mieście, gdzie będzie kontynuował studia. „Nie myśl więc sobie, że zdołasz w nim zatopić pazury”. Co do Sabitri, miała natychmiast się wyprowadzić. Nie, Lilamoji nie obchodziło, dokąd ani co się z nią stanie. „Gdyby nie to, że masz ojca kapłana, kazałabym cię wychłostać. A teraz zejdz mi z oczu, zanim zmienię zdanie”.

Sabitri stała na przystanku tramwajowym pośród zapadających ciemności i trzymała kurczowo swoją blaszaną walizkę. W końcu pojechała do męskiego koledżu. Nic innego nie przyszło jej do głowy. Zajrzała do torebki i przeliczyła zastraszająco nieliczne banknoty; nic dziwnego, że torebka była taka lekka.

Walizka także zbyt ciężko jej nie ciążyła. Paro poszła za nią do jej pokoju i przetrząsnęła wszystko ze słowami: „Zobaczmy, co jeszcze chcesz ukraść”. Zabrała wszystkie jedwabne sari, a nawet kilka osobistych rzeczy Sabitri. Podarowany jej przez Durgę grzebień z rogu bawołu. Maleńką buteleczkę wody różanej, na którą Sabitri odkładała pieniądze miesiącami. Sabitri była zadowolona, aby protestować.

Męski koleś zamajaczył niewyraźnie w mroku. Sabitri wślizgnęła się za bramę, wdzięczna, że odźwierny jest nieobecny i nie może jej zatrzymać. Następnie wbiegła po schodach. Na piętrze, przy końcu korytarza, znajdowało się niewielkie pomieszczenie opisane tabliczką ŚWIETLICA DLA KOBIET. Raz z przyjaciółkami zajrzała tam niechętnie. Wnętrze pełne było zakurzonych mebli i pachniało mysimi odchodami. Ale drzwi wyposażono w zasuwkę, no i w środku była toaleta. Sabitri mogła tam spędzić tę noc. Nazajutrz... Nie, nie potrafiła myśleć o tym, co przyniesie następny dzień.

Jednakże gdy podeszła do świetlicy, drzwi okazały się zamknięte na kłódkę.

Wszystkie siły opuściły Sabitri, która osunęła się na podłogę, niezdolna dłużej powstrzymać płaczu. Przepęniał ją strach i gniew. Nade wszystko jednak niepokój, co z nią będzie, gdy pojawi się tutaj nocny strażnik. Czy wyrzuci ją na ulicę? A może zachowa się wobec niej jeszcze gorzej. Sabitri poczuła upokorzenie. Co powiedzą jej rodzice, jej krewni, jej sąsiedzi, kiedy się dowiedzą, że jak pies została wyrzucona przez Mittirów? Nikogo nie będzie obchodzić, że miłość, która połączyła ją i Radziwa, była piękna i czysta. „Dobra córka to lampa pomyślności, rozświetlająca nazwisko rodziny”. Czyż nie stała się zaprzeczeniem tego powiedzenia?

Nagle niczym policzek uderzyła ją druga część tego powiedzenia – ta, którą przemilczała jej matka:

Dobra córka to lampa pomyślności, rozświetlająca nazwisko rodziny.

Zła córka to żagiew, która przyćmiewa sławę rodziny.

Zbyt głośno płakała, aby w porę usłyszeć kroki. Gdy poczuła czyjąś dłoń na ramieniu, wzdrygnęła się i zakrzyknęła, odruchowo zasłaniając się rękami. Nie był to jednak nocny strażnik, którego się obawiała. Był to profesor matematyki.

Pracował naukowo w jednej z sal, co jak wyjaśnił, robił często dlatego, że hotelik, w którym mieszkał, nie gwarantował spokoju. Wychodząc, usłyszał kobiecy płacz i przyszedł sprawdzić, o co chodzi. Był wstrząśnięty, widząc ją w takim stanie. Dopytywał, co się stało.

Sabitri ukryła twarz. Była zażenowana, że mężczyzna, który dotąd zawsze patrzył na nią z podziwem, zobaczył ją w takim stanie. Uczyniła słaby gest – „odejdz, proszę”. On jednak usiadł obok niej na podłodze, podciągając chude kolana pod brodę. Tak ją to zaskoczyło, że podniosła na niego wzrok. Spojrzenie miał zaniepokojone. Grdyka podskakiwała mu w górę i w dół. Najwyraźniej nie miał doświadczenia w takich sprawach. Sabitri poczuła, jak ogarnia ją histeryczny śmiech, i musiała znów ukryć twarz w sari.

Profesor dotknął jej ramienia. Ostrożnie, nerwowo.

– Nie płacz – poprosił. – Może zdołam ci pomóc...

Było coś w jego głosie, w tych niezręcznych dziwnych ruchach. W głowie powstał mi plan. Uczepiłam się profesora niczym tonąca ratownika. Nie dopuszczałam do siebie myśli o nikim innym, o niczym innym. Taro, czy możesz mnie za to winić? Uniosłam do niego twarz i uśmiechnęłam się swoim najładniejszym, najsmutniejszym, najbardziej fałszywym uśmiechem.

~

Profesor zabrał ją do domu kuzynki, swej jedynej krewnej w Kalkucie.

– To moja studentka – rzekł. – Straciła dach nad głową z powodu widzimię

pewnej bogaczki. Pozwól jej u siebie mieszkać do końca semestru. Zapłacę...

– Nieznajoma, Bidżan? – Kuzynka miała wątpliwości. – Skąd wiesz, dlaczego tamci ludzie ją wyrzucili? Może to złodziejka?

– Już ci mówię... Sabitri przegrała ważną partię w karty i bogaczka straciła dużo pieniędzy. Dlatego wyrzuciła ją na ulicę. Gdybym jej nie znalazł, kto wie, jaki los by ją spotkał. Nie jestem w stanie cię zmusić, abyś jej pomogła, ale wiedz jedno: jeśli jej nie pomożesz, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Nieugiętość w jego głosie zaskoczyła mnie i przestraszyła jego kuzynkę. Kobieta ustąpiła.

Bidżan przychodził co wieczór, aby pomagać mi w nauce, ponieważ miałam straszne zaległości. Gdy go nie było w pobliżu, kuzynka zachowywała się wobec mnie chłodno. Może jako kobieta przejrzała mnie na wylot. Ostrzegła Bidżana, on jednak nie słuchał. Wnuczko, jego miłość była wystarczająca za nas dwoje.

~

Nowożeńcy udali się na wieś, aby złożyć wyrazy poważania. Rodzice Sabitri byli zdziwieni, lecz nie niezadowoleni. Ojciec cieszył się, że młodzi się pobrali w małej świątyni w Kalighat i że nie musiał płacić za uroczystość. Krewni żywili mieszane uczucia: z jednej strony czuli szacunek dla zięcia profesora, z drugiej zaś zazdrościli Sabitri jej szczęścia, ich zdaniem niezasłużonego. Durga była zachwycona, że Bidżan chce, by Sabitri kontynuowała naukę.

Lecz Taro, ja przestałam się uczyć. Nim minął rok, byłam w ciąży. Rzuciłam studia i choć Bidżan namawiał mnie do powrotu na uczelnię po porodzie, ja straciłam wszelką ochotę do nauki. Ponownie uwiodło mnie marzenie.

~

Bidżan opublikował wyniki swoich badań w czasopiśmie naukowym, ale były one tak przeintelektualizowane, że Sabitri nic z nich nie rozumiała. Wiedziała tyle, że firmy biją się o to, aby go zatrudnić. Proponowano mu wysokie wynagrodzenie i prestiżowe stanowiska. Bidżan wolałby nadal mieszkać w ich dwupokojowym mieszkanku i prowadzić zajęcia na uczelni. Jednakże Sabitri postanowiła na niego wpłynąć.

Jej taktyce brakowało oryginalności, ale na szczęście Bidżan przed nią nie miał żadnej innej kobiety. No i był zakochany. Sabitri gotowała mu więc ulubione dania, potrawy pocieszycielki każdego, kto dorastał w biedzie: ryż, fasolę mung dał, smażony brindżał, czyli bakłażan. Znała je wszystkie dobrze z własnego życia. Po kolacji przebierała się w cienką nocną koszulę, która podkreślała jej kształty – ostatnimi czasy nabrała tego zachodniego zwyczaju – i kładła świeżo przewiniętą Bełę, ich córeczkę, ojcu na kolana. Jakże Bidżan kochał to dziecko! Potrafił cały wieczór spędzić na zabawie w kosi, kosi łapci i doprowadzać je do chichotków wydawaniem śmiesznych dźwięków. Sabitri siedziała obok, wspierając głowę na ramieniu męża. Było to tak miłe, że chwilami zapominała, po co to robi.

Zdanie rzucone tu, słowo tam, tęskny uśmiech, lekki napór jej piersi na jego ramię. Tylko tyle było trzeba, ponieważ Bidżan chciał dla żony i córki wszystkiego, co najlepsze. Czy przejrzał grę Sabitri? Nawet jeśli tak, nie miał jej nic za złe. Zatrudnił się w ogromnej firmie naftowej, która wszędzie sięgała swoimi mackami, i stwierdził, że praca w niej nie jest mu tak niemiła, jak się spodziewał. Odkrył, że ma wyjątkowy talent do rozwiązywania problemów. Był za uczciwy, zbyt otwarty w wypowiedziach, ale kierownictwo mimo to za nim przepadało. A może właśnie dlatego. Uczciwość i otwartość to rzadkie cechy w świecie biznesu. Bidżan awansował raz po raz, po czym został wysłany do Delhi, gdzie miał się przygotowywać do roli menadżera.

Czy go kochałam, Wnuczko? Odpowiem tak: byłam dobrą żoną. Na

pewno podobało mi się nasze życie w stolicy, mieszkanie w zamożnej dzielnicy, samochód, pełni szacunku służący przekonani, że urodziłam się we wpływowej rodzinie. Pobierałam lekcje angielskiego i zachodniego zachowania. Przy okazji odkryłam, że też mam talent: organizowałam najlepsze przyjęcia. Wiedziałam, jak skłonić największego milczka do rozmowy. Nigdy nie skąpiłam alkoholu, nawet jeśli przez resztę miesiąca musieliśmy jeść tylko ryż i soczewicę. Przyrządzałam desery, o których mówiło się na mieście. Ciekawa jestem, czy Bidżan wiedział, że wiele swoich sukcesów zawdzięcza moim kolacjom.



Po siedmiu latach pracy Bidżan wrócił do Kalkuty, awansując na jeszcze wyższe stanowisko. Sabitri była zarazem uszczęśliwiona i zaniepokojona. To czarne od sadzy, ogromne miasto, w którym doznała potężnego upokorzenia i po raz pierwszy zaznała smaku utraconej miłości, miało na nią większy wpływ niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie. Najmniejszy tryumf tutaj równał się najznacznieszemu zwycięstwu gdzie indziej. Sabitri i Bidżan zamieszkali na ostatnim piętrze wysokościowca, dzięki czemu Sabitri, stojąc na balkonie i spoglądając na czubki drzew, miała wrażenie, że Kalkuta leży u jej stóp. Mimo to przeszłość wciąż nie dawała jej spokoju. Czasami, odwiózwszy Belę do szkoły, kazała kierowcy przejechać obok męskiego koledżu. Wspomnienie tamtej nocy, kiedy płakała pod drzwiami zamkniętej świetlicy dla kobiet, było niczym na wpół uformowany strup, przed którego zdzieraniem nie mogła się powstrzymać.

Przy okazji wizyty na wsi dowiedziałam się od matki, że Lilamoji została wdową i skarży się na słabe zdrowie. Ponoć mieszkała sama, gdyż jej bogata synowa ani myślała przyjąć ją pod swój dach. Słyszac to, powzięłam pewien plan.

Nie, Taro, okłamuję Cię. Plan ten towarzyszył mi przez cały czas – na podobieństwo uspionego wirusa, który tylko czeka na przebudzenie.



Gdy Sabitri powiedziała mężowi, że chciałyby odwiedzić Lilamoji, ten chętnie na to przystał.

– Cieszę się, że zdecydowałaś się jej przebaczyć. Gdyby cię nie wyrzuciła z domu, nigdy byśmy się nie pobrali!

Sabitri skinęła głową. Nie mogła powiedzieć temu prostodusznemu mężczyźnie, że kieruje nią inny, mroczniejszy motyw. Wysłała list, do którego załączyła kosz drogich owoców, i otrzymała odpowiedź napisaną niewyraźnie ręką Sarkara Moszajia. Lilamoji zapraszała ją do siebie.

Tamtego dnia, Wnuczko, ubrałam się bardzo starannie. Włożyłam jedwabne sari o grubej złotej lamówce i najlepszą biżuterię. Zmusiłam Twoją matkę, aby założyła koronkową sukienkę i lśniące nowe buty, chociaż skarżyła się, że obcierają jej stopy. (Skarga była cicha, ponieważ Twoja matka zaliczała się do grzecznych dzieci. Kto by pomyślał, że w przyszłości przysporzy mi tyle zmartwień?). Uczyniłam to, gdyż wiedziałam, że Lilamoji nie ma wnuków.

Kiedy samochód zbliżał się do domu Mittirów, Sabitri spostrzegła, że ręce jej drżą. Ukryła je więc w fałdach sari. Rezydencja przedstawiała obraz nędzy i rozpacz: miejscami ze ścian odłaziła farba, tu i ówdzie na wyrwanym zawiasie chybotwała się okiennica. Ponieważ darwan dawno rzucił posadę, kierowca musiał sam wysiąść z samochodu i otworzyć zardzewiałą bramę. Sabitri wysiadła, ściskając mocno rączkę córki i trzymając przed sobą paterę z ulubionymi smakołykami Lilamoji.

Kierowca zaczął zawracać, aby udać się do biura. Miał zabrać Bidżana

z jednego spotkania na drugie.

– Wróć, jak tylko odstawisz Bidżana Sahiba – powiedziała mu Sabitri. – Nie zabawię tu długo.

Pociągnęła za sznurek od dzwonka, nikt jednak się nie pojawił. Gdy pchnęła drzwi, otworzyły się ze skrzypnięciem. Naprzeciwko miała schody. Jakże często wspinała się po nich – ubrana w swoje nie swoje sari, z bijącym szybko i płytko sercem, ponieważ wydawało jej się, że spełnienie marzeń ma na wyciągnięcie ręki. Wspomnienie tej niemądrej, młodszej wersji siebie przepełniło ją czułością i wstydem.

Na stopniach walał się kurz i pokruszony tynk. Sabitri podkasła sari i zabroniła córce dotykać balustrady. Wszystko tutaj było takie znajome: klatka schodowa, długi korytarz przepelniony wyczekiwaniem, duże okna, przez które zaglądały zielone drzewa, mlecznobiały ocean łoża.

Dzisiaj okna były zamknięte. W nielicznych promieniach światła wpadających przez szczeliny w żaluzjach Sabitri zobaczyła leżącą na łóżku postać, odzianą we wdowią biel, która zlewała się z pościelą, i tak nieruchomą, że przez jedno rozczarowane uderzenie serca już myślała, że śmierć odebrała jej szansę na zemstę.

Ale nie, postać drgnęła i usiadła z trudem. Lilamoji poklepała miejsce obok siebie, zapraszając Sabitri, aby do niej dołączyła. Potem zawołała służącą i kazała jej przynieść poczęstunek dla gości. Mimo że sama zmarniała, głos nadal miała wyniosły.

– Zatem to jest twoja córka? – Zmarszczyła brwi, przyglądając się Beli, która swoim zwyczajem bawiła się po cichu lalkami. Nie rzuciła komplementu pod adresem dziewczynki, mimo że Bela była ślicznym dzieckiem, zwłaszcza tamtego dnia, z kolorowymi wstążkami wplecionymi w faliste włosy. Sabitri nie przejęła się takim potraktowaniem. Poprawiła na sobie sari, brzęcząc przy tym ostentacyjnie złotymi bransoletkami, i rzuciła wesoło, poufale:

– Ale ciociu, ty z pewnością masz całą masę wnuków!

Rysy Lilamoji stężały. Staruszka wdała się w tyradę na temat swojej synowej. Jakiż błąd popełnili, wybierając Radziwowi tę zepsutą, bezużyteczną, bogatą dziewczuchę. Nawet nie potrafiła urodzić dziecka. Odmówiła zamieszkania z teściami pod jednym dachem, chociaż zaadaptowali dla niej całe ostatnie piętro, instalując zachodnie toalety i takie tam. Tak judziła przeciwko nim, aż Radziw wyprowadził się po pół roku małżeństwa – porzucając dom przodków, dasz wiarę? – aby zamieszkać w dzielnicy Garijahat w nowej, wymyślnej siedzibie, którą dla jego żony kupił jej ojciec. To właśnie spowodowało atak serca u Mittira Moszajia, Lilamoji nie miała co do tego wątpliwości.

Służąca nie wróciła. Lilamoji zaczęła wykrzykiwać inwektywy i skakać z tematu na temat.

– Ta dziewczucha, ta czarownica, ta morderczyni, dasz wiarę, zabrała wszystką ślubną biżuterię, odchodząc, moją własną biżuterię, którą ją obdarowałam! Kiedy ją zatrzymałam, powiedziała: „Wynajmij prawnika, jeśli chcesz ją odzyskać”. A Radziw... Radziw nie miał odwagi jej się sprzeciwić i stanąć w mojej obronie.

Radziw sprawił również, że szpital podupadł, kontynuowała Lilamoji. Och, życie nie szczędziło jej ciężkich prób. Ale przynajmniej syn wciąż czasami do niej zaglądał. Gdzie ta głupia służąca, ta Khjama, która miała przynieść poczęstunek? Nie, dodała z marsmem na czole. Paro już u niej nie pracuje. Nie wdawała się w szczegóły.

Sabitri uśmiechała się miłym, czarującym uśmiechem, który wyćwiczyła do perfekcji. Zapewniła gospodynię, że poczęstunek nie jest konieczny. Obie zjadły suto śniadanie. Następnie skierowała uwagę Lilamoji na paterę. „Spójrz, ciociu, twoje ulubione smakołyki”. Staruszka sięgnęła niezgrabnie po sandesz, najpierw jeden, potem kolejny. Uśmiechnęła się chytrze i wyznała, że ma podniesiony poziom cukru we krwi; lekarz zabronił jej sobie folgować. Ale jakie inne przyjemności ma w życiu stara kobieta?

– Durga – powiedziała z westchnieniem – ty zawsze robiłaś najlepsze smakołyki. Powinnaś była otworzyć własny sklep.

Nazwana imieniem swojej matki Sabitri poczuła, że kręci jej się w głowie. Uśmiech spelzł jej z twarzy. Lilamoji nawet nie pamiętała, z kim ma do czynienia. Jak można mówić o zemście w obliczu amnezji?

– Muszę już iść – oznajmiła Sabitri. Pierwotnie zamierzała wspomnieć, że czeka na nią kierowca, jednakże straciła do tego chęć.

– Zostań jeszcze – zaczęła ją prosić Lilamoji. Gdy Sabitri odmówiła przepraszającym tonem, staruszka zaśmiała się gniewnie. – Tak, tak, wiem. Nikt nie lubi chorych. Nawet mój rodzony syn zawsze się śpieszy do odejścia... No to przynajmniej pomóż mi usiąść, zanim sobie pójdiesz.

Sabitri czuła niesmak na myśl o dotknięciu staruszki, jednakże usłuchała z nawyku. Ostrożnie wsunęła dłonie pod pachy Lilamoji i pociągnęła. Przypominało to podnoszenie wypchanego czymś worka. Na palcach zostały jej smużki potu. I woń stęchlizny czy zepsutych jaj. Sabitri z trudem powstrzymała się, aby nie wybiec w poszukiwaniu kurka z wodą, którą mogłaby się umyć.

– Włącz radio – poleciła jej Lilamoji. Rozległy się dźwięki świętych pieśni. – Kto by pomyślał, że zrobię się religijna? Starość wyrabia z człowiekiem różne dziwne rzeczy. Ha, sama niedługo zobaczysz. Podprowadź to dziecko bliżej. Chcę zobaczyć jej włosy. – Wyciągnęła zachłanną rękę.

Na dole, siedząc na ławie w ciemnej sieni, nie mogłam przestać drżeć. Kierowca jeszcze nie wrócił – wiedziałam, że miał na to zbyt mało czasu. Ale Wnuczko, nie potrafiłam znieść tamtego pokoju, gorzkiej woni choroby i gniewu ani przez sekundę dłużej. Błędem było przychodzić tutaj, by czerpać satysfakcję. Pragnęłam, aby Lilamoji pożałowała, że nie pozwoliła mi poślubić Radziwa, aby

przekonała się, że byłaby ze mnie lepsza synowa niż z dziewczyny, którą dla niego wybrała. Tymczasem czułam tylko wstyd. Wstyd i niesmak na myśl, że użyłam własnej córki do tej gry. Poprzysięgam sobie, że moja noga nigdy więcej nie postanie w tym domu.

Wyniknęła z tego wszystkiego jedna dobra rzecz. Dokonałam egzorcyzmów. Już nigdy więcej nie będę leżeć bezsennie w łóżku, widząc przed oczyma wykrzywioną twarz Lilamoji, która wyzywa mnie od dziwek. Nigdy więcej nie będę prowadzić w głowie rozmów, aby wyrzucić z siebie to wszystko, co bałam się powiedzieć w młodości. „Jestem dobrym człowiekiem. Nie uczyniłam nic złego. On kocha mnie. Ja Kocham jego. Uszczęśliwię go, ponieważ mnie jednej może wyznać, co mu leży na sercu”.

Ale było jeszcze coś, Taro. Kiedy Lilamoji opowiadała o Radziwie, zaczęłam go postrzegać inaczej. Przez wszystkie te lata byłam zaślepiona tęsknotą za tym, co mi odebrano. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że Radziw był słaby i rozpieszczony; zbyt słaby, aby stanąć w mojej obronie. Musiał wiedzieć, że jego matka wyrzuciła mnie z domu. Ale nawet mnie nie szukał. Nawet jeśli mieszkał w innym mieście, nietrudno było poprosić przyjaciela, aby zajrzał na uczelnię i dowiedział się, co się stało.



Skrobanie do drzwi. Kierowca przyjechał – na szczęście. Sabitri zaczęła zbierać lalki Beli.

Jednakże był to nie kierowca, lecz Radziw – zupełnie jakby wyczarowała go myślami. Rozpoznała go natychmiast, chociaż był teraz grubszy. Nosił drogie ubrania, droższe nawet od tamtych białych koszul, które Sabitri czasem rozpiniała, żeby złożyć głowę na jego nagiej piersi. Raz, z okazji awansu, zabrała Bidzana na

targ, aby kupić mu taką koszulę, on jednak zbył ją śmiechem. „Coś tak kosztownego paliłoby mnie w skórę”, powiedział i odszedł, nie przejmując się, że sprzedawca patrzy za nim zdziwiony.

Teraz Sabitri narzuciła skraj sari na głowę. Zamierzała wyjść na zewnątrz, by czekać na samochód na ulicy. Uznała, że tak będzie lepiej. Jednakże mijając Radziwa, podniosła wzrok. Nie była w stanie się powstrzymać. Ach, ta twarz, te niegdyś kochane usta. Jakżeż bezużyteczna przeszłość ciąży człowiekowi, skrcając jego oddech. Czyżby Sabitri dostrzegła niezadowolenie w tych zaciśniętych szczękach? Smutek w opadniętych kącikach warg? Bo kręgi pod oczyma z całą pewnością mówiły o rozczarowaniu...

Bzdura! Tylko to sobie wyobraziła, widząc, co chce zobaczyć.

– Tri! – wykrzyknął Radziw, zerkając na nią. Na jego twarzy pojawiło się przepełnione nadzieją niedowierzanie, dzięki czemu znów na moment odzyskał młodość, zanim dogoniły go bezlitosne lata. – To naprawdę ty? Nie, proszę, nie odchodź, poświęć mi minutę. – Nie musiał o nic błagać. Zdrobnienie, które ukuł specjalnie dla niej, trafiło ją w samo serce, powstrzymało w pół kroku. – Nie masz pojęcia, jak często o tobie myślałem. Wyobrażałem sobie... liczyłem... że ponownie cię ujrzę... – zająknął się i umilkł. Czyżby na jego rzęsach załśniły łzy? Nadal miał nieprzystojnie długie rzęsy, zupełnie jak dziewczyna. – Musiałś być... wciąż musisz być na mnie nieprzytomnie zła... – Schwycił ją za rękę gwałtownym ruchem, co sprawiło, że jej ciało ogarnęła fala pamiętnego ognia. Zaczął całować jej dłonie, przykładając wargi do pulsującej żyłki na nadgarstku najpierw jednej, potem drugiej ręki. – Jak widzę, jesteś szczęśliwą mężatką i masz udane dziecko. – Jego głos przybrał drapieżne tony. – Nie chcę sprawiać kłopotu. Po prostu daj mi jeszcze chwilę, pozwól mi się wytłumaczyć. Wyjaśnić, co oni mi zrobili. Proszę...

– Nie – przerwała mu Sabitri. – Mój kierowca zaraz tu będzie.

Jednakże głos jej drżał, a ona sama nie cofnęła rąk.

Słowa Radziwa otoczyły ją niczym burza piaskowa. Widziała, że Bela przygląda się mu z otwartymi ustami. Od czasu do czasu dolatywały ją oderwane wyrazy: „...zamartwiałem się na śmierć... zamknęli mnie w domu wuja... nie miałem tam nawet telefonu... uciekłem, ale mnie złapali... zaciągnęli prosto na wesele... nienawidziłem jej za to... wszystkich ich nienawidziłem...”.

Gdyby Radziw zjawił się w początkach jej małżeństwa, byłaby z nim odeszła. Nawet jeśli nie powiedziała by jej tego wszystkiego. Żyłaby z nim jako jego kochanka, nie przejmując się, że przyćmiewa sławę rodziny.

Wnuczko, oto mój największy sekret: uczyniłabym to nawet po narodzinach Beli.

Sabitri wyrwała się z uścisku Radziwa. Okazało się to łatwiejsze, niż sądziła. Radziw był przecież słabym mężczyzną. Chciała mu powiedzieć: „Gdybyś naprawdę tego pragnął, odszukałbyś mnie”. Ale to nie miało już znaczenia. Woląa rzec: „Kocham mojego męża”. Albowiem – co odkryła ku własnemu zdziwieniu – było to prawdą. Od jak dawna?

Ostatecznie oddaliła się w milczeniu, nie strzegąc sobie języka. Przepęłniała ją wewnętrzna radość. Wyłonienie się na światło słoneczne przypominało ponowne narodziny. Kościste ramiona córki pod jej palcami były niczym delikatne, magiczne skrzydła.

Na ulicy czekał na nią samochód z kimś siedzącym na tylnej kanapie. Bidzan! Serce zabiło jej szybciej. Jak długo tu był? Ile widział?

Wszakże Bidzan entuzjazmował się jakimś swoim sukcesem. Poranne spotkanie nad wyraz się udało. Wynegocjował lepszą umowę, niż ktokolwiek się spodziewał. Mógł liczyć na sową premię. Postanowił uczcić to, robiąc sobie wolne popołudnie. Co powiedzą na wyprawę do hotelu Grand na lody, a potem do zoo? Siedział pośrodku kanapy niczym król, obejmując je obie ramionami i uśmiechając się wielkodusznie do swoich cudnych kobiet. Bela opowiadała

Bidżanowi o brudnej klatce schodowej i dziwnej staruszce, która ciągle dotykała jej włosów, o tym, jaka jest głodna, ponieważ staruszka niczym ich nie poczęstowała, nawet pysznymi smakołykami mamoni. Skarżyła się, że może umrzeć, zanim dojadą do hotelu. Sabitri złożyła głowę na ramieniu Bidżana z wielką ulgą i skwitowała uśmiechem patos córki. Dziewczynka otworzyła szeroko oczy i opadła na siedzenie, oznajmiając, że musi dostać trzy gałki lodów. „Dobrze? Proszę”. Sabitri poczuła, że jej rodzina to istne błogosławieństwo. Obiecała sobie, że od tej pory będzie najlepszą żoną i matką.

– Tak, dostaniesz trzy gałki. Pod warunkiem, że wszystkiego nie wymiotujesz.

Była to najszcześniejsza chwila w jej życiu.

Pragnie napisać o tym wszystkim Tarze, ale jest taka zmęczona. Palce jej drętwieją. Trwa to już od jakiegoś czasu i dotyczy nawet palców lewej ręki. Zbliża się świt, szakale dawno zniknęły, zaczyna pisać parę nadgorliwych kogutów. Sabitri musi złożyć głowę na stole; zrobiła się za ciężka, aby utrzymać ją prosto. Przykłada policzek do wyłobienia i nagle przypomina sobie dokładnie, skąd się wzięło. Bela nacięła drewno stalówką pióra wiecznego, na które Sabitri oszczędzała miesiącami, chcąc sprezentować je córce z okazji przyjęcia na studia. Zniszczeniu uległ zarówno blat, jak i pióro. A wszystko przez to, że Sabitri nalegała, aby Bela przestała widywać się z ukochanym mężczyzną, tym samym, który później namówił ją do ucieczki do Ameryki. I zabronił ponownego spotkania z matką. Który – Sabitri czuła to każdym włóknem swojego ciała – był całkowicie nieodpowiedni dla Beli.

– Twój ojciec, Taro – szepcze. – To o niego chodzi. Do tej pory zdążył porzucić was obie, prawda? Czy to dlatego chcesz zrezygnować ze studiów? Dlaczego z nim nie porozmawiasz?

Och, co za bałagan, nigdy sobie z nim nie poradzi. Marzy o tym, aby zamknąć oczy; skupienie przychodzi jej z najwyższym trudem. Kto tam się czai

w tym ciemnym kącie? Czyżby to była jej wnuczka? A za nią – Bela? Cienie z pustymi owalami twarzy, czekające, aż podzieli się z nimi swoją mądrością – jakby miała jakąś do ofiarowania! A może to jej martwe dziecko, chłopiec, którego nazwała Harsza, dawca radości, w nadziei, że zapewni jej drugą szansę? Ale nie. Harsza oszedł dawno temu.

Sen. Łaknie go całym swoim jestestwem.

Wpierw jednak musi coś napisać, gdyż nareszcie wie, co ma do powiedzenia. Zmusza się do wyciągnięcia ręki, chwyta za pióro.

Tamta chwila w samochodzie wcale nie była najszcześniejszym momentem mojego życia. Tak samo jak chwile spędzone z Radziwem na tarasie skąpanym blaskiem gwiazd. Najszcześniejszy moment miał się pojawić znacznie później. Już po problemie alkoholowym Bidzana, po jego śmierci. Po odejściu Harszy. Po wszystkich problemach z Twoją matką. Do tamtej pory zdążyłam otworzyć sklep o nazwie „Smakołyki Durgi”. Ależ Lilamoji byłaby wściekła, gdyby wiedziała, że to ona zaszczepiła mi ten pomysł w głębi duszy! Początki były trudne. Jednakże z pomocą Bipina Biharięgo – cóż z niego był za sojusznik! – ostatecznie zdołałam wyprowadzić interes na prostą.

Pewnego dnia w kuchni na zapleczu sklepu trzymałam w ręku nowy, opracowany przez siebie przepis – na smakołyk, który zamierzałam nazwać imieniem nieżyjącej matki. Ugryzłam kawałek deseru w kształcie muszli o najdelikatniejszym, najbledszym kolorze owocu mango. Moje usta wypełniły się gładkim, kremowym smakiem mleka, cukru, szafranu i owoców, mnie zaś przepełniło zadowolenie. Było to moje dokonanie, bez niczyjej pomocy. Nikt nie mógł mi go odebrać. Tego właśnie pragnę dla Was, Taro, Belo. To właśnie

znaczy być lampą pomysłności...

~

Jadąc samochodem, Bidżan zapytał Sabitri:

– Poczulaś się lepiej po wizycie u Lilamoji? Będzie ci teraz łatwiej zapomnieć?

Czuła we włosach jego ciepły oddech. Błaganie w jego głosie przywiodło ją na skraj płaczu. Sabitri skinęła głową, niezdolna się odezwać.

Bela wtrąciła:

– Na dole spotkałyśmy mężczyznę. Płakał i całował mamę po rękach. Mamoni, dlaczego on cię całował po rękach?

Bidżan cofnął ramię i usiadł prosto. W głuchym milczeniu, które zapadło w samochodzie, Sabitri zdała sobie sprawę z ciekawskiego spojrzenia kierowcy zerkającego w lusterko wsteczne.

– To był stary znajomy – odparła, zwracając się do męża. – Nawet już tutaj nie mieszka. Nie spodziewałam się go tam zastać. Natknęliśmy się na siebie przypadkiem przy drzwiach. Nic dla mnie nie znaczy. – Za szybko wyrzucała z siebie słowa. Była świadoma, że choć mówi prawdę, czuje się winna.

– Rozumiem – rzekł Bidżan. Obrzucił wzrokiem jej sari i biżuterię. – Wszystko rozumiem.

– Kocham ciebie, tylko ciebie – wykrzyknęła, chociaż mówienie takich rzeczy przy służbie było gafą.

Bidżan pochylił się do przodu.

– Zawieź mnie do biura.

– To nie idziemy do zoo? – zdziwiła się Bela.

– Możesz sobie iść, gdzie tylko chcesz, do cholery! – rzucił Bidżan do Sabitri.

Oczy kierowcy rozszerzyły się ze zdziwienia, ponieważ Bidżan Sahib nigdy

nie mówił w ten sposób. Sabitri domyśliła się, że wkrótce usłyszą o tym wszyscy służący.

Jechali dalej w milczeniu. W pobliżu Majdanu minęli stado kóz przechodzących na drugą stronę ulicy; ich runo emanowało ciepłem skrzącymi się falami. Sabitri w życiu nie spotkała się z podobnym widokiem w środku miasta. Przez moment miała nadzieję, że wszystko tylko jej się przyśniło.

Gdy już odstawili Bidżana – przemienionego nagle w obcego jej człowieka – Sabitri kazała zawieźć się do domu. Spojrzenie w oczy kierowcy przyszło jej z trudem, ale zdobyła się na to.

– Ja chcę iść do zoo! – rozkrzyczała się Bela. – Chcę dostać lodu! Dlaczego nie pójdziemy do zoo? Przecież baba obiecał! Dlaczego nie pójdziemy...? – Raz po raz kopała w oparcie przedniego fotela. Odgłos odbijał się echem w głowie Sabitri.

– To przez ciebie! – odskrzyknęła. – Głupia dziewucho, wszystko zepsułaś!

Bengalskie słowo „psuć” – noszto, które znaczy również „zgnily”, a także „niewierny” w odniesieniu do kobiet – zawisło w powietrzu wyraźne niczym przyszłość. Zamachnęła się ręką, po czym rozległo się klaśnięcie i Bela wybuchnęła płaczem.

Ten pierwszy raz, gdy uderzy się dziecko z całych sił, pragnąc zadać ból, zmienia wszystko.

Dziś dłoń wciąż ją pali. Wrażenie mrowienia wędruje ramieniem i mości się w barku. I ten szok, z jakim Bela popatrzyła na Sabitri. Czerwieniejący policzek dziewczynki. To, jak skuliła się przy drzwiach samochodu. Czy to stąd wzięły początek kłopoty między nimi?

– Przepraszam, Belo – mówi. – Wybacz mi.

Z jej ust padają słowa, których nie potrafiła wypowiedzieć przez wszystkie te lata.

Ból zagościł w jej piersi na dobre. Musiała coś upuścić z hukiem, ponieważ nadbiega trąca oczy Rekha. Rzuca się do przodu z okrzykiem. Sabitri próbuje przysunąć list do siebie. Ale leży na podłodze. Kiedy zdążyła upaść? Rekha krzyczy do mleczarza, który tłucze się za drzwiami, żeby pomógł umościć rani ma na łóżku.

Sabitri usiłuje powiedzieć służącej o liście. To jedyne, co jeszcze się liczy. List musi trafić na pocztę. Musi.

– Powiedz Bipinowi Bihariemu – szepcze. Przed oczyma ma jego twarz, spokojną, opanowaną i usłużną bez względu na wszystko. – On będzie wiedział, co zrobić.

Ale Rekha nie słyszy. Szlocha w słuchawkę, zaklinając lekarza, aby się pośpieszył. „Coś strasznego przydarzyło się rani ma”. Mleczarz pomaga Sabitri usiąść. A może to ona unosi się do lotu? Łóżko jest takie miękkie, ból wszechogarniający. Sabitri podnosi powieki i widzi w rogu Śmierć, która jednak nie wygląda tak, jak opisywały ją poematy. Żadna z niej królowa w żelaznej koronie. Nie, to wielki pędzel kapiący białą farbą. Muska ją delikatnie i szybko, unicestwiając świat.





Incident w Asamie: 1963

Spocona Bela stoi wieczorem na werandzie i przygląda się Sabitri i Bidżanowi – tak o nich ostatnio myśli zamiast jako o rodzicach – odjeżdżającym w chmurze rudego pyłu w prowincji Asam. W powietrzu czuć zbliżającą się burzę, chociaż niebo wciąż jest łagodne i blade. Nic tutaj nie jest takie, jak się spodziewała. Czemu te upały nie męczą Sabitri ani Bidżana? zastanawia się gniewnie. Tymczasem na tylnej kanapie samochodu hindustan ambassador, który Państwowa Kompania Naftowa oddała im do użytku wraz z równie staromodnym szoferem w uniformie, ci dwoje nachylają się do siebie. Ich twarze zbliżają się niczym planety na kursie kolizyjnym i Sabitri i Bidżan się całują.

Bela powinna być uradowana z tej oznaki serdeczności. To z pewnością lepsze niż awantury urządzone przed przyjazdem do Asamu, podczas których Sabitri uderzała w płacz, a Bidżan zdenerwowany opuszczał mieszkanie. Mimo to Bela niejako wbrew sobie czuje zażenowanie – i niepokój. Ma wrażenie, jakby na tym odludziu – otoczonym przez dżunglę i pola naftowe oraz (zdaniem Ajah) wszelakie krwiożercze istoty – Sabitri i Bidżan uznali, że reguły obowiązujące w świecie cywilizowanym (czyli w Kalkucie, gwoli ścisłości) przestały być ważne. Bela domyśla się, że w Asamie także obowiązują jakieś zasady, lecz

niestety nikt nie zadał sobie trudu, aby ją z nimi zapoznać.

Tuż przed tym, zanim samochód zniknie za zakrętem porośniętym lasem bambusowym, Sabitri odwraca się i unosi rękę. Czyżby machała Beli na pożegnanie? A może każe jej wejść do domu? Ajah, która stoi obok Beli z niemowlęciem na ręku, pociąga dziewczynkę za ramię.

– Wejźmy do środka, missybaba. Niedługo zaczną gryźć komary, wielkie jak słonie.

Bela kręci głową. Pod powiekami czuje kłujące łzy. Mieszkają w prowincji Asam od trzech miesięcy, a mimo to – ilekroć jej rodzice gdzieś jadą – ona ma wrażenie, że już nigdy ich nie zobaczy. Brak jej powiernika, któremu mogłaby się zwierzyć ze swojej bojaźliwości, od której kręci się jej w głowie zupełnie jak przy tropikalnej gorączce, jakiej się nabawiła zaraz po przyjeździe tutaj.

Bela wie, że jako jedenastolatka jest za duża na podobne fanaberie. Sabitri i Bidżan wybrali się tylko do klubu. Do obowiązków Bidżana należy branie udziału w oficjalnych przyjęciach. Oboje jej to wyjaśniali. Będąc nowym dyrektorem Państwowej Kompanii Naftowej w Asamie, Bidżan musi poznawać nowych ludzi, robić odpowiednie wrażenie, przeciągać na swoją stronę miejscowe grube ryby. Bela wie też (choć tego nikt jej nie wyjaśnił), że Sabitri musi chadzać na imprezy razem z nim i pilnować, by ograniczał się on do toniku i by nie powtórzył się incydent z Kalkuty, po którym Bidżan został przeniesiony do Asamu. Sabitri i Bidżan są odpowiedzialnymi rodzicami. Po przyjęciu zawsze zagląдают do pokoju dziecinnego, jakkolwiek późno by było. Sabitri dotyka dłonią czoło dzieci (niemowlęcia w pierwszej kolejności), aby upewnić się, że nie mają gorączki. Bywa, że Bela się przy tym budzi i potem nie może zasnąć, ale zbytnio jej to nie przeszkadza. Jest to cena warta zapłacenia za to, że może poczuć chłodne palce Sabitri na swojej twarzy i jej ciepły, miętowy oddech na policzku – co ostatnimi czasy zdarza się bardzo rzadko.

– Chodźmy, missybaba – ponagla Ajah. – Robi się późno, słońce zachodzi.

Po zapadnięciu ciemności pojawiają się jeszcze gorsze rzeczy niż komary.

„Gorsze rzeczy” są stałym elementem historyjek opowiadanych przez służącą. Z początku, tuż po najęciu się do pracy, Ajah brudziła policzki dzieci sadzą, aby utrzymać „gorsze rzeczy” z dala. Bidzan, kiedy to zobaczył, stwierdził, że to głupi przesąd, i energicznie starł sadzę z policzka niemowlęcia, wywołując jego płacz. Bela spostrzegła, że stojąca w przedpokoju Ajah ma zaciętą, naburmuszoną minę. Nazajutrz służąca znów pomazała niemowlę sadzą, tyle że nie na twarzy, a na plecach, aby znak mogły zobaczyć wyłącznie złe duchy. Robiąc to, rzuciła Beli spojrzenie zmrużonych oczu, jakby chciała powiedzieć: „Tylko spróbuj pisnąć słowo”. Bela zmilczała. Przynajmniej na razie.

– Ty idź – mówi Bela teraz. I popycha niegrzecznie służącą, zadziwiając samą siebie, ponieważ na ogół darzy Ajah sympatią.

Wyniosła Ajah sztywnieje na całym ciele. Poprawia sobie niemowlę na biodrze, odwraca się i bez jednego słowa znika w domu. Bela jest zawstydzona, nie na tyle jednak, aby pójść w jej ślady.

Wtedy rozlega się męski głos. Dobiega z końca werandy, gdzie gęste hortensje ustępują miejsca dzikiemu kapryfolium, wśród którego gałęzi mogą się czaić węże.

– Namaste...

Bela okręca się na pięcie i spostrzega mężczyznę, niewyraźnego z powodu jej łez. Jest wysoki, szczupły i ciemny niczym przypalone chapati. Kości policzkowe ma wystające i nierówne, całkiem jakby były kiedyś złamane i krzywo się zrosły. Opaska na jego czole, przez którą przypomina pirata, błyszczy w ostatnich promieniach słońca. Płaszcz – a może jest to obszerny szal – także lśni. Gdy mężczyzna się uśmiecha, widać jego złote zęby.

Oddech więźnie Beli w gardle niczym nieprzełknięta kość.

– Skąd znasz moje imię? – udaje jej się wydusić.

– Znam ciebie – odpowiada mężczyzna, mrużąc oczy z rozbawienia. –

Twoim ojcem jest Bidżan Das. Firma go tutaj przeniosła, aby dopilnował zakładania lepszych rur, które pomogą skraść naszą ropę.

Nachyla się lekko w przód, a Bela przez okamgnienie widzi ropę tętniącą stalowymi rurami, mieniającą się na czarno i złoto, pędzącą przed siebie z hukiem, który w końcu zamiera; wtedy rury pustoszeją i po chwili same też znikają.

Mężczyzna wychodzi zza krzewów i zaczyna iść w stronę Beli. Strach, o którym zdążyła zapomnieć, ogarnia ją od nowa, ponieważ zaledwie wczoraj Ajah przestrzegła ją przed porywaczami.

– Wiecznie się rozglądają – powiedziała służąca. – Najczęściej za małymi dziewczynkami. Takie piękności o jasnej skórze jak ty warte są fortunę. Lepiej na siebie uważaj.

Bela bierze głęboki oddech, aby wydać ze ściśniętego gardła gromki krzyk, jednakże mężczyzna kręci głową tak domyślnie i wyrozumiale, że dziewczynka nagle czuje się głupio. Poza tym mężczyzna nie ma ze sobą wielkiego worka na dzieci, jak wszyscy porywacze. Ręce, które wyciągnął przed siebie, są puste, eleganckie i dziwnie gładkie. Nawet spód dłoni pozbawiony jest zmarszczek. Na oczach Beli jego paznokcie zaczynają tańczyć niczym liście figowca na wietrze, kreśląc wzór złożony ze światła i cienia.

– Kim jesteś? – pyta go Bela.

Mężczyzna kłania się, zarzucając długimi włosami wokół czekoladowej twarzy, a Bela domyśla się, co od niego usłyszy, zanim przybysz zdąży otworzyć usta. Następnie mężczyzna sięga ręką do jej brody i... Bela sapie, gdy mężczyzna kładzie na jej otwartej dłoni monetę – ze srebra zaśniedziałego i chłodnego, jak gdyby nikt go długo nie dotykał. Bela dostrzega królową Wiktorię, która spogląda wyniośle na horyzont, zupełnie jak w podręczniku do historii.

– Ale jak...? – zaczyna dziewczynka, jednakże w progu pojawia się kucharz, który opędza się od komarów ścierką i wrzeszczy, żeby wreszcie przysłała na kolację, bo jedzenie stygnie, a w ogóle to dlaczego stoi na zewnątrz o tej porze,

czyżby chciała znowu złapać gorączkę?

Gdy Bela odwraca się ponownie do magika, dłoń ma pustą, a mężczyzny nigdzie nie widzi.



– Wierzysz w czary? – pyta Bidzana w drodze do szkoły.

I natychmiast żałuje, że się odezwała. Bardzo ceni sobie te chwile – jedyne, w czasie których przebywa z ojcem sam na sam. Wewnątrz samochodu jest tak cicho, tak spokojnie. Poza tym Bidzan może zrewanżować się pytaniem: „Masz już jakieś koleżanki w szkole?”, i co ona ma na to odpowiedzieć?

Poranny wietrzyk, w dalszym ciągu chłodny, mierzwi włosy Bidzana, tak że przez moment wydaje się on wytworny, zupełnie jak ci mężczyźni występujący w reklamach mydła czy napoju słodowego parującego z wielkich szklanek. Bela zakrada się bliżej, aby móc przytulić głowę do rękawa jego wykrochmalonej niebieskiej koszuli. Bidzan pachnie wodą kolońską, rześką i niosącą otuchę i ukojenie, przez co Bela nieomal wierzy, iż zawsze pachniał w ten sposób.

Bidzan się uśmiecha.

– Masz na myśli czary polegające na wyciąganiu królików z kapelusza? Tak jak to było na urodzinach Liny w ubiegłym roku? To nie kwestia wiary, tylko sztuczek. Zręczności. Niemniej przyjemnie na to popatrzeć, prawda?

Lina była najlepszą przyjaciółką Beli w Kalkucie; znały się od pierwszej klasy. Odkąd Bela przeniosła się do Asamu, Lina napisała do niej dwukrotnie. Bela chciała odpowiedzieć, ale ogarnął ją swego rodzaju paraliż. Jak opisać to szaleństwo, które ją otacza: rozkwitające nocą kwiaty o upajającym zapachu, drzewa eukaliptusowe z ich włochatymi brązowymi owocami, oleandry o trujących czerwonych sercach? Bela pragnęła powiedzieć Linie, jak bardzo za nią tęskni. Chwilami czuła się tak, jakby jej serce było ręcznikiem, który Ajah mocno wykręca przed powieszeniem na sznurze do wyschnięcia. Pragnęła, aby

Lina była tutaj, biegła z nią ręka w rękę przez trawnik tak ogromny, że przypominał zielone morze. Jaki by jednak miało sens pragnienie niemożliwego? Dlatego Bela nie odpisywała.

Obecnie Bela ma kłopoty z przypomnieniem sobie, jak Lina w ogóle wyglądała. Miała jeden warkocz czy dwa? W co najbardziej lubiła się bawić? Jaki był jej ulubiony film? Wolła lody czy sandesz? Nie zdradza się z tymi wątpliwościami przed Bidżanem. Czuje, że to by go zmartwiło niemal tak samo, jak martwi ją. Ale wie jedno: magik Liny (którego nawet nie pamięta) na pewno nie miał nic wspólnego z jej magikiem.



Bela doszła do wniosku, że nie cierpi szkoły. Zatrzymała ten fakt dla siebie, ponieważ nie chce przysparzać rodzicom problemów. Przeprowadzka była sporym obciążeniem dla nich wszystkich. Musieli zrezygnować z uroczego mieszkania w wysokościowcu nieopodal parku Deszaprija, gdzie dziedziniec był porośnięty tamaryszkami, w których cieniu Bela po lekcjach grała w klasy z przyjaciółkami; z wystawnych kolacji organizowanych przez Sabitri, na których Beli wolno było zostawać do późna i przyglądać się paniom w błyszczących sari i panom w importowanych garniturach; z klimatyzowanego biura Bidżana, mieszczącego się na ostatnim piętrze centrali firmy, skąd Bela mogła podziwiać pałac nazwany od imienia królowej Wiktorii, niepozorny jak domek dla lalek.

Jednakże strata oznacza również zysk, jak mały srebrzysty pająk, którego Bela znalazła pewnego wilgotnego ranka śpiącego w kwiecie róży. Ich wieczory, w te dni, w które Sabitri i Bidżan donikąd się nie wybierają, są cudownie nudne. Bidżan przegląda lokalną gazetę, czytając o sprawach, które go bawią lub denerwują. Sabitri mozoli się nad szarym swetrem, który zdaniem Beli nigdy się tutaj nie przyda, ponieważ nigdy nie będzie tu na niego dostatecznie zimno. Niemowlę, leżące na rozłożonej na ziemi narzucie, z zaciekawieniem przygląda

się własnym pulchnym nóżkom. Chwilami obraca się z zaskoczoną miną. Wówczas Bela czuje, jak przenika ją miłość do niego, chociaż dalej odrabia zadanie domowe i nic nie mówi. Sporadycznie – aczkolwiek ostatnimi czasy coraz rzadziej – łapie się na tym, że wstrzymuje oddech. Nasłuchuje dawnych odgłosów: hałasu tłuczenia przedmiotów o podłogę, przewracających się mebli, upadających ciał. Rankami porusza nosem, wietrząc, czy w powietrzu nie pojawiła się kwaśna woń wymiocin na tapicerce. Wypatruje matczyne spojrzenia, które z jakiegoś powodu mówi, że to wszystko jej, Beli, wina.

Jakżeby mogła zburzyć ten niepewny spokój własnymi nieważnymi problemami? W szkole nie ma koleżanek, gdyż dzieci prostych pracowników kompanii naftowej patrzą podejrzliwie na córkę człowieka, który decyduje o losie ich ojców. Ilekroć się zbliża, poszeptują coś w języku asamskim. Ilekroć zgłosi się do odpowiedzi (co ostatnio prawie się nie zdarza), wyśmiewają jej dziwaczny miejski akcent. Także nauczyciele, którzy nawet po angielsku mówią z asamskimi naleciałościami, nie są z niej zadowoleni. Mają zastrzeżenia do jej pisma, które ucierpiało po tym, jak zaczęła używać pióra zamiast długopisów, do jakich przywykła. A jutro czeka ją recytacja całości *Pani z Shalott* Tennysona na lekcji dykcji u panny Dhekijal, która znana jest z tego, że bije linijką po rękach. Dłonie Beli już ją mrowią w wyczekiwaniu, ponieważ – choć pilnie się uczyła poematu przez cały tydzień – na krytycznym forum klasy zapomina języka w gębie, czasem nawet na etapie drugiej strofy.

W niedzielę Bela siedzi pod drzewem mangowca i rozmyśla o tym wszystkim, zamiast odrabiać zadanie domowe, gdy wtem pojawia się znów magik. Zaskoczona upuszcza pióro, które robi rozległy kleks na samym środku kartki w zeszycie do arytmetyki, potem zaś stacza się po jej kolanach na trawę, pozostawiając ciemny, oskarżycielski ślad na jej ubraniu.

– Bardzo mi przykro – mówi magik, zginając smukłe, eleganckie plecy. – Pozwól, że temu zaradzę.

Wyciąga ręce ze zwojów szala. Blask bije z jego opuszek i pada na zeszyt, wymazując kleks. Następnie magik delikatnie dotyka plam na ubraniu Beli, które także znikają. W końcu mężczyzna siada ze skrzyżowanymi nogami naprzeciwko dziewczynki. Bela rozgląda się nerwowo za kimś, kto mógłby potwierdzić, że to wszystko dzieje się naprawdę, ale w ogrodzie nie ma nikogo poza nimi. Skóra ją mrowi na nogach w miejscach, których przez materiał dotknął palcami magik.

Oczy mężczyzny biegną szybko z lewej strony na prawą, jakby coś czytał. Białka ma bladożółte – barwy piasku na dnie rzeki.

– To tak zwane uczenie się na pamięć – mówi. – Wszystko można zapamiętać, jeśli oprócz głowy zaangażuje się serce. – Przy tych słowach dotyka dłonią swojej piersi.

Bela czuje, jak coś trzepocze pod jej żebrami – zapewne serce, opornie budzące się do życia. Ogarnia ją podobne mrowienie jak przedtem na nogach.

– Wszystko? – powtarza szeptem, myśląc o całych światach zagubionych wewnątrz niej.

– Mogę ci pomóc – stwierdza mężczyzna. Otwiera zaciśniętą pięść i pokazuje jej pigułkę wielkości ziarna grochu i koloru tamaryndowca.

Właśnie przed tym ostrzegali ją Sabitri i Bidżan. Bela zaczyna potrząsać głową. Ale wtedy magik rzuca:

– To nauczy cię nie przejmować się tym, co mówią o tobie ludzie.

Mrowienie zaczyna się na języku, ale zaraz ogarnia ją cała: palce, twarz, wygięte łuki łydek. Gardło zamienia się w tunel wyłożony czerwonym jedwabiem. Wylewają się z niego słowa.

– Dobre dziecko – chwali ją magik.

Teraz jest mały i niewyraźny; jego twarz migocze jak skrzydła ważki nad jeziorem. Bela chce mu o tym powiedzieć, ale nie jest w stanie zapanować nad słowotokiem. Przeszywa ją smutek, kiedy widzi, że mężczyzna maleje i maleje, po czym ulatuje na wietrze niczym pyłek.

W końcu wrażenie mrowienia mija. Bela czuje się wyczerpana i zdezorientowana i jest jej trochę niedobrze, zupełnie jak wtedy, gdy razem z Liną nieco za długo kręciła się na diabelskim młynie w Kalkucie. Lina po wszystkim zwymiotowała. Bela do tej pory pamięta, jak czerwone oczy i nos miała jej przyjaciółka i jak zawstydzone spojrzenie za okularami. Pamięta też, że gładziła Linę po plecach i powtarzała, że nic się nie stało. Pamięta!

– Cudownie, córeczko.

Bela okręca się na krześle i widzi, że za nią stoi Sabitri ubrana w kwiecisty salwar kamiz, w którym jest jej tak ładnie. Nagle ogarnia ją złość, ponieważ Sabitri zdaje się nieporuszona przewodzątką, która rozdarła Belę na milion fragmentów i następnie scalila ją byle jak, z czego Sabitri nawet nie zdaje sobie sprawy. Złości się też dlatego, że wie, iż to Sabitri była powodem alkoholizmu ojca, chociaż gdyby ktoś zapytał ją o szczegóły, nie byłaby w stanie ich podać. Ożywa w niej wspomnienie, coś, co się wydarzyło w samochodzie i wszystko zmieniło, coś strasznego, co przyniosło policzek, który rzucił Belę na drzwi... – tyle Bela pamięta. Może jeśli magik wróci, pomoże jej uratować więcej.

Myśl o magiku gniewa ją jeszcze bardziej, gdyż Sabitri mogła go widzieć. A to jest magik Beli. Jej sekret.

– Jak długo tu stoisz? – pyta matkę, marszcząc mocno brwi.

Sabitri rozchyła usta jak skarcone dziecko.

– Tylko kilka minut – odpowiada przeproszającym tonem. – Przyszłam zapytać, czy chcesz świeżą trzcinę cukrową. Ajah przyniosła ją prosto z targu. Pamiętam, że ostatnio bardzo ci smakowała. Ale nie chciałam ci przeszkadzać. To brzmiało cudownie.

– Co?

Przez dudnienie odzyskanego serca Bela słyszy głos matki:

– Ten wiersz, który recytowałaś. Masz to zadane? „Na zamku dniami i nocami / Magiczną snuje tkan barwami / Zna wieść, że klątwa nad nią wisi /

Gdy się ośmieli oczy sycić”*... Podobała mi się twoja intonacja. I te emocje; nieomal się rozplakałam. Zupełnie jakby ktoś cię wyszkolił.



Żując twarde słodkie pędy trzciny cukrowej, które pozostawiają włókna pomiędzy jej zębami, Bela pyta matkę:

– Wierzysz w czary?

– Takie jak w *Śpiącej królownie*? – pyta Sabitri, karmiąc niemowlę papką bananową. – Ale nie, tam była zła wróżka... ale też dobra, która ocaliła księżniczkę, prawda? Chcę w to wierzyć. Wspaniale by było, gdyby dobra wróżka czuwała tutaj nad nami wszystkimi. Nie zaszkodziłaby nam dodatkowa ochrona. – Sabitri spogląda w dal, gdzie malutki pociąg bezgłośnie przesuwa się pośród pól ryżowych, wypuszczając obłoczki pary. Patrzy w jedno miejsce tak długo, że Bela zaczyna myśleć, iż została zapomniana. W końcu jednak Sabitri odwraca się do niej i z matczynym błyskiem w oku rzuca: – Czemu pytasz?

Bela chciałaby wtulić twarz w biust matki, tak jak to robiła w dzieciństwie, i wszystko jej opowiedzieć. Ale przestała ufać Sabitri w wystarczającym stopniu. Zresztą, jeśli opowie o magiku, ten nigdy już nie wróci. Co do tego ma pewność. Byłaby to katastrofa, jakiej by nie zniosła w połączeniu ze wszystkimi innymi.

– Przez książkę, którą czytałam – odpowiada nonszalancko.

Gdy Sabitri ponownie zajmuje się niemowlęciem, Bela przyciska język do podniebienia, starając się znaleźć miejsce, w którym pigułka rozpuściła się i przeniknęła do jej krwioobiegu. Za wszelką cenę chce uchwycić tamten smak.



– Dzisiaj poszło mi dobrze w szkole – opowiada Bela służącej, która wnosi do jej pokoju tacę z popołudniową przekąską: mlekiem i ciasteczkami. – Na lekcji dykcji wyrecytowałam cały wiersz bez jednego błędu. Panna Dhekijal była zaskoczona.

– Dlaczego zaskoczona? Przecież jesteś zdolną uczennicą.

– Nie tu, w Asamie. Tutaj czuję się głupia. Bałam się, że zapomnę słów i wszyscy będą się ze mnie śmiali. Ale wyszło idealnie, jak za sprawą czarów.

Bela nie jest pewna, czy Ajah – która nigdy nawet nie chodziła do szkoły – jest w stanie docenić ogrom jej osiągnięcia, jednakże kobieta kiwa z powagą głową.

– Jak za sprawą czarów – powtarza.

– Wierzysz w czary? – pyta z podnieceniem Bela.

Ajah przygląda się dziewczynce z namysłem. Po chwili mości się na jej łóżku, na wielobarwnej narzucie, chociaż jako służąca powinna zająć miejsce na podłodze. Sięga po jedno z ciasteczek i odgryza kawałek. Bela wie, że powinna ją upomnieć, lecz tego nie robi.

– W mojej wiosce – zaczyna Ajah cichym głosem, nadal przeżuwając – mieszka wielki magik. Bardzo potężny. Bardzo niebezpieczny.

Następnie opowiada Beli, jak pewnego razu przepędził złego ducha z jeziora, paląc ziarna gorczycy i inkantując mocne zaklęcie. Zły duch, zmuszony do ucieczki, krwawił z oczu, nosa i odbytu. Od tamtej pory snuje się i wypatruje nieostrożnych ludzi, których mógłby utopić. Bela wysłuchuje opowieści z chorą fascynacją, choć wie, że nocą będą ją straszyć koszmary.



Bela buja się na starej huśtawce w końcu trawnika, posyłając ją wyżej niż gałąź, na której wisi – czyli robi to, czego wyraźnie jej zabroniono. Siedzi tu, na palącym słońcu, już od dłuższej chwili. Tego także jej nie wolno, jednakże nikt w domu zdaje się nie zauważać jej zachowania. Bela czeka na swojego magika; z każdą chwilą jej nadzieje słabną. Gdy mężczyzna się pojawia, przycupnięty na pobliskiej gałęzi, dziewczynka jest tak zaskoczona, że zapomina się rozbujać i huśtawka gwałtownie opada. Sznur pęka z trzaskiem, a ona zsuwa się

z siedziska. Wszakże magik chwyta ją, zanim zdąży spaść na ziemię. Potem przechyla głowę na podobieństwo ptaka i spogląda na nią smutnym wzrokiem.

– Przyszedłem się pożegnać.

– Nie! – woła Bela. – Nie odchodź!

Chce mu o tylu rzeczach opowiedzieć. O zachwycie kolegów i koleżanek z klasy na lekcji dykcji i o tym, że później po południu pozwolili jej się razem z nimi bawić. O słodko-gorzkich wspomnieniach o Linie. O koszmarze, który ją przeraził, i o tym, jak sobie poradziła ze strachem. O lśniących, migotliwych ważkach, które wszędzie widuje i które przypominają jej o nim. Chce go także o wiele rzeczy zapytać. Co wydarzyło się wtedy w samochodzie. Co stało się z jej ojcem potem.

– Możesz udać się ze mną – mówi magik, rozkładając ramiona niczym skrzydła.

Gdy poły jego szaty opadają, ukazuje się ciało błyszczące jak polerowany metal. Belę zalewa fala czegoś pierwotnego. Wtem jednak przypomina sobie twarze Sabitri i Bidzana, którzy nachylają się nad nią, aby ucałować ją na dobranoc. Zaczyna więc się cofać w stronę domu – jego solidnej, szczęśliwej pewności. Magik nie wykonuje żadnego ruchu, aby ją zatrzymać.

– Naprawdę tego chcesz? – pyta miłym, rozsądnym głosem. – Mają niemowlę. Nie będą za tobą bardzo tęsknić. Może nawet poczują się szczęśliwsi, gdy odejdziesz. W końcu zrujnowałaś im życie.

Jego głos odbija się echem w głowie Beli, a przed oczyma pokazują jej się migające punkty, jak gdyby patrzyła zbyt długo w słońce albo w ogień.

– Nie – szepcze Bela, chociaż sama nie wie, któremu stwierdzeniu zaprzecza. Kiedy palce magika rozwierają jej wargi, trzyma usta otwarte, aby przyjąć pigułki, które ten kładzie jej na języku. Jedną, dwie, trzy... Tym razem mrowienie zaczyna się od ciemienia.

Magik szarpnięciem zdejmuje swoją opaskę.

– Nie wolno patrzeć – mówi.

Bela posłusznie zaczyna zamykać oczy. Wtem przypomina coś sobie. Minionej nocy, gdy wybudziła się z koszmaru z bijącym sercem, podeszła do kołyski i wyjęła niemowlę, łapiąc je wpół jak pakunek. Chłopiec nawet się nie obudził. Zniosła go do łóżka i położyła obok siebie. Dziecięca główka idealnie wpasowała się pod jej brodę. „Harsza”, szepnęła, wymawiając jego imię po raz pierwszy. Harsza. Zasnęła, przysłuchując się oddechowi braciszka – chrapał lekko, bo był przeziębiony. Koszmar nie wrócił.

– Nie! – woła, ale ziemia już wychodzi jej na spotkanie.



W pomieszczeniu słychać ciche szepty, a jeszcze więcej ich dolatuje zza drzwi. Do Beli wracają urywki wspomnień. Jechała karetką, przywiązana do noszy, w eskorcie syren. Wnieśli ją tutaj, położyli na tym łóżku. Czyjeś palce ją badały, odciągały jej powieki zamkniętych oczu. Porażenie słoneczne, ktoś zawyrokował. Odwodnienie. Kroplówka. Ktoś inny wkłuł igłę w zgięcie łokcia, nie przejmując się, że sprawia jej ból.

– Chyba się budzi! – Bela słyszy głos Sabitri. Twarz jej matki majaczy olbrzymia nad łóżkiem, przerażająca niczym księżyc, który wypadł z orbity, to wyraźna, to znów rozmyta w konturach. Sabitri dodaje ścisłym, szpitalnym tonem: – Bela, kochanie? Widzisz mnie? Wiesz, kim jestem?

Za jej plecami kłębią się służący, którzy poszeptują między sobą. W nogach łóżka stoi odziany na biało mężczyzna z girlandą stetoskopu na szyi. Chwilę trwa, zanim Bela rozpozna w nim firmowego lekarza, który leczył ją, kiedy miała gorączkę. Za nim, obok okna, stoi Bidżan, wymięty i bez krawata. Gestykułuje energicznie, rozmawiając z policjantem.

– Odezwij się, dziecko! – Głos Sabitri się łamie. – Możesz mówić?

Bela chce uspokoić matkę, ale głowa jej pęka. Odezwanie się, nawet

utrzymanie otwartych oczu to dla niej ponadludzki wysiłek. Blask wpadający przez okno świdruje jej mózg. W pewnym momencie Bela słyszy, że po drugiej stronie opuszczonych powiek jej matka szlocha.

– Proszę się uspokoić – mówi lekarz z ciężkim wiejskim akcentem. – Pani córka jest przytomna, a to dobry znak. Powinni państwo wyjść na korytarz. Muszę zbadać ją ponownie, aby się upewnić, że nie doznała wstrząśnienia mózgu. – Ujmuje Belę za nadgarstek. – Puls ma ustabilizowany, chociaż odruchy wydają się wciąż spowolnione. Najwyraźniej potrzebuje odpoczynku.

– Ale co z tym człowiekiem, o którym bredziła? Myśli pan, że dał jej narkotyki? Powiedziała coś... Myśli pan, że ją skrzywdził...? – Ucięte w połowie zdania zawisają w powietrzu.

Lekarz kasła zakłopotany.

– Nie, proszę pani, nie ma żadnych śladów... czegoś podobnego. W gruncie rzeczy nie jestem nawet pewien, czy był jakiś człowiek. Bardzo możliwe, że pani córka po prostu spadła z huśtawki i uderzyła się w głowę. Ma sporego guza. Możliwe też, że zbyt długo przebywała na słońcu. Coś takiego może źle wpłynąć na każdego.

Bela chce zaprzeczyć. Nie, był pewien człowiek... Był. Wyjątkowy, błyszczący jak złoty ząb, zdolny otworzyć zamknięte szufladki w jej umyśle. Dzięki niemu nabierał znaczenia alfabet Morse'a trzepoczących skrzydełek ważki. Nie mogła się pomylić w tak ważnej sprawie.

– Nie sądzę, aby była zdezorientowana – wtrąca Bidżan znienacka ochrypłym głosem. Bela słyszy, jak ojciec, jej rycerz, zbliża się do łóżka. Czeka, aż ją obejmie, on jednak nie zwraca na nią uwagi. – Z pewnością ktoś był. Ktoś, kto chciał skrzywdzić Belę. Chcę, abyście przeprowadzili testy na obecność narkotyków we krwi. W ubiegłym tygodniu doszło do potężnej awantury ze związkami zawodowymi na temat płacy za nadgodziny. Nie wątpię, że jedno z drugim ma coś wspólnego.

Czyżby mówił niewyraźnie? Czyżby dolatywał od niego dawny zapaszek, kwaśny i intensywny? Zaalarmowana Bela gwałtownie otwiera oczy.

– Ci dranie i każdy, ktokolwiek był w to zaangażowany, jeszcze pożałują, że zrobili krzywdę mojej córce. – Bidżan pochyla się nad łóżkiem.

Nicznym pęknięcia w porcelanie, od jego nosa do kącików warg bieżą głębokie linie. Bidżan łapie lekarza za biały rękaw. Bela niemal czuje smak jego gniewu. Jest gorzki, rozpaczliwy, jak resztki na dnie szklaneczek whisky, które czasami opróżniała rankami w Kalkucie, zanim rodzice się obudzili.

– Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków – mówi policjant. Jest to przysadzisty mężczyzna, który poci się obficie pod pachami. Bela widzi ciemne plamy na jego mundurze khaki. – Zapewniam, że będziemy mieć oko na obcych, jeśli jacyś są. Jak tylko lekarz pozwoli, poproszę pańską córkę o opisanie tego mężczyzny. Chciałbym też przesłuchać służącą, skoro to ona znalazła Belę na skraju posiadłości.

Bela przemyka oczyma po twarzach zebranych w poszukiwaniu służącej. Stara się domyślić, co Ajah mogła widzieć. Ważkę, która przez moment wisiała nieruchomo w powietrzu, zanim porwał ją wiatr? Drewniane siedzisko huśtawki, które rąbnęło ją w potylicę? Mężczyznę z lśniącym metalowym ciałem owiniętym szatą z ognia? Tymczasem oczy służącej przypominają dwa czarne agaty. Ajah gapi się na kroplówkę z jej niekończącym się kapaniem żywym srebrem, jakby to była jakaś świętość.

– Przesłuchajcie kierownictwo związków zawodowych – radzi Bidżan. – Sprawdźcie alibi ich sługusów.

– Związki zawodowe to potęga. Lepiej z nimi nie zadzierać, jeśli się nie ma dowodów – stwierdza policjant. Bela słyszy w jego głosie przestrożę.

Ale gdzie jest Harsza? Dlaczego nie ma go tutaj? Dlaczego Ajah nie trzyma go na ręku? Kto go pilnuje? Został w domu sam? Ktoś powinien pójść po niego, i to zaraz. Bela chce powiedzieć Sabitri, że niemowlę pozostawione samo nie jest

bezpieczne, że nic nie jest bezpieczne – jak można o tym nie wiedzieć? Jednakże usta ma gumowe, a rozchylenie warg wydaje się ponad jej siły.

Bidżan zwija dłonie w pięści i stawia czoło policjantowi.

– Odkryję prawdę, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Nie boję się przeklętych związkowców.

– Bidżan, daj spokój. – Sabitri kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Nie dotykaj mnie! Nic z tego by się nie stało, gdyby nie ty! – Odpycha żonę tak mocno, że ta barkiem uderza w ścianę. Lekarz musi ją złapać, aby nie upadła.

– A jeśli nie dostanę koniecznej pomocy od was – Bidżan zwraca się znów do policjanta – poskarżę się waszym przełożonym!

Policjant zwięża oczy w szparki. Opuszcza głowę niczym byk szykujący się do szarży. Bidżan nie schodzi mu z drogi; prostuje się i emanuje podnieceniem, gdyż właśnie tego brakowało mu najbardziej od przybycia do Asamu: walki i niszczenia.

Jednakże Bela nic z tego nie widzi, ponieważ zdążyła już ciasno zamknąć powieki. Płacze tak mocno, że całe jej ciało drży, a chrapliwy oddech rani jej gardło. W końcu lekarz decyduje się podać jej zastrzyk. Ale nawet potem szloch wrywa się z niej co rusz, wysilony, jakby musiał się przedzierać przez śluzowate błoto. Jej serce przestaje opalizować i na powrót zamienia się w mięsień, który trzepocze niepewnie w piersi. Coś utraciła, ale co? Zdolność pamiętania? Rozumienia tajemnic? Naprawiania szkód? Bela wie jedno: to nie koniec strat. Czuje zmianę w powietrzu, nadciągającą burzę. I nikt z obecnych nie ma pojęcia, jak ją powstrzymać.

* Alfred Tennyson, *Pani z Shalott*, przeł. Anna Bańkowska, w: „Podgląd – Kwartalnik Literacki Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich”, nr 1(4) 2016, s. 200.





Amerykański styl życia: 1998

Blanka wpada na zaplecze sklepiku „Rzeczy Mało Używane” właśnie wtedy, gdy wrzucam do pralki najnowszą partię darowanych ubrań.

– Hola, dziewczyno! – Kładzie reklamówkę z zakupami na suszarce i marszczy czoło. – Jak to się stało, że tu wylądowałaś? Nie powinnaś stać na kasie? Co takiego zrobiłaś, że pan Lawry zesłał cię tutaj?

Wzruszam elegancko jednym ramieniem.

– Musiałam coś zrobić?

– Cóż, zdarzyło ci się powiedzieć klientce, że w mierzonych spodniach wygląda jak hipopotam koloru fuksji.

– Sama mnie zapytała. Ja tylko chciałam być szczerą i ekspresyjną.

– Bywa, że warto być szczerą i ekspresyjną. To jednak nie był ten przypadek. – Blanka mruży oczy. – No dalej, Taro, mów!

– Pewien facet chciał kupić wieżę stereo. Powiedziałam mu, że głośniki nie działają.

– Założę się, że pan Lawry nie był zachwycony. Niech zgadnę, powiedział coś w rodzaju: „Nie twierdziliśmy, że głośniki działają. Gdyby ich nie sprawdził, do kogo mógłby mieć pretensje?”.

– Coś w tym stylu.

– Taro, któregoś dnia stąd wylecisz.

– Oszukiwanie ludzi nie jest w porządku.

Blanka wzdycha, po czym zmienia temat.

– Spójrz, co nam przyniosłam z restauracji Dżahangir. – Sięga do reklamówki i wyciąga z niej zatłuszczoną torbę z szarego papieru.

– Nie mogę jeść pakory. Jestem na diecie.

– Czemu? Czyżby Robert stwierdził, że jesteś za gruba?

– Niepotrzebny mi mężczyzna, żebym wiedziała, jak jest naprawdę.

Blanka przechyla głowę.

– Macie za sobą pierwszą kłótnię, czy tak? Właśnie się zastanawiałam, ile wam zajmie... – Widząc moją minę, milknie i zaraz się rozpromienia. – Kupiłam też to. – Wręcza mi wymięty egzemplarz gazety o tytule „Indo-Houston Mirror”.
– Powinnaś śledzić, co słychać u twoich rodaków.

To delikatna kwestia między nami; zdaniem Blanki wyparłam się własnej społeczności, podczas gdy ja tylko chciałam się chronić.

Na zaplecze dolatuje głos pana Lawry’ego, smętny niczym u gołąbka.

– Dziewczęta, dziewczęta, skąd u mnie wrażenie, że ktoś tam marnuje czas i moje pieniądze? – Głos staje się zgrzytliwy. – Ruszcie tyłki i chodźcie tutaj. Szybko.



Blanka i ja pracujemy w sklepie pana Lawry’ego w poniedziałki, środy i piątki. W sumie nieco poniżej trzydziestu godzin, dzięki czemu właściciel nie musi opłacać naszego ubezpieczenia społecznego. Blance to nie przeszkadza, ponieważ właśnie kończy kurs kosmetyczny, a kierownik pewnego salonu fryzjerskiego, który robi do niej maślane oczy, obiecał, że ją zatrudni, jak tylko będzie miała w ręku dyplom.

Zarazem wesoło mi i smutno. Odkąd zajrzałam do „Rzeczy Mało

Używanych” – wkrótce po tym, jak zrobiłam sobie przerwę w studiach, najpierw tylko na semestr, potem rok i kolejny, i jeszcze jeden – zaprzyjaźniłyśmy się bardzo z Blanką. Jeśli chciałabym być całkowicie szczerą, powinnam powiedzieć, że poza Blanką nie mam żadnych przyjaciół.

Chwilami, gdy pan Lawry staje się wyjątkowo upierdliwy, mam ochotę rzucić to zajęcie. Mój chłopak Robert mógłby mi załatwić pracę kelnerki w „Pappasitos”, gdzie ma chody. Z napiwkami zarabiałabym dwa razy tyle co tutaj. Moglibyśmy się przenieść do większego mieszkania. To ma pewne znaczenie, gdyż ostatnio nasze dwupokojowe lokum zrobiło się tak jakby za ciasne na nas oboje.

Na tę myśl ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Zaledwie przed tygodniem, gdy powiedziałam Robertowi, że miałam ciężki dzień, usadził mnie na kanapie, położył sobie na kolanach moje stopy i masował je olejkiem miętowym, aż zaczęły mi mrowieć. Teraz już rozumiem, czemu jest najbardziej rozchwytywanym masażystą w salonie. Jednakże mnie najbardziej wzruszyło – nie boję się użyć tego słowa – to, że był gotów to dla mnie zrobić po całym dniu ugniatania ludzkich ciał.

Rozmawiając z mamą w duchu – co robię nieustannie, ponieważ normalnie rozmawiać przestałyśmy już dawno – pytam: „Wyobrażasz sobie, żeby tata zrobił coś takiego dla ciebie, nawet przed tym, jak odszedł?”.

Mama odpowiada jednym ze swoich ulubionych powiedzonek: „Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni”.

Nie. Odwraca głowę, żeby nie widziała jej łez, a ja czuję się podle.

Nie wydaje mi się, abym miała rzucić pracę w najbliższej przyszłości. Uwielbiam snucie się po przestronnym sklepie, odwieszanie spodni, które zsunęły się na ziemię, składanie zasłon w równe kostki, buszowanie w poszukiwaniu zaginionego sandała, aby połączyć go z drugim w parę. Ścieram kurze starożytną miotłką, przejeżdżając nią po blatach sekretarzyków,

metalowych prętach kozłów do kominka, figurze Jezusa z ułamanym palcem wskazującym. Czasami zostają dłużej, chociaż moja zmiana się skończyła, i muskam opuszkami palmy brudu oraz rdzy, wyobrażając sobie przygody, jakie przeżyły te przedmioty, zanim trafiły tutaj, i perypetie, które je czekają po odejściu. Bywa, że biorę do ręki coś drobnego, solniczkę, która utraciła pieprzniczkę od kompletu, gadającą lalkę, która wydaje zduszony odgłos, gdy pociągnąć za sznurek wystający z jej karku. Wożę daną rzecz przez parę dni samochodem, po czym zostawiam ją w przejściu podziemnym dla pierwszego przechodzącego bezdomnego.

Jak dotąd zabierałam tylko te rzeczy, których nikt nie chce, jednakże czuję, jak wzbiera we mnie coś niepoohamowanego niczym sztormowa fala. Spostrzegam, że łypię na figurę Jezusa. Pewnego dnia ją capnę.

Usłyszałam raz od mamy, a może przeczytałam gdzieś, że kiedy ludzie kąpią się w Gangesie, ich grzechy są zmuszone czekać na nich na brzegu, ponieważ wody rzeki są tak święte, że nie może do nich wejść nic nieczystego. Grzechy znów biorą ludzi w posiadanie po zakończonej kąpieli, lecz w trakcie wszyscy są wolni od smutku.

„Rzeczy Mało Używane” to Ganges mojego życia.



Po naszej pierwszej kłótni sporządzam listę, aby przypomnieć sobie, czemu Robert jest wyjątkowy:

4. Świetnie gotuje (w przeciwieństwie do mnie).

3. Ma cudne ręce. Przepadam za nimi, odkąd przesunął je po moich nagich plecach podczas pierwszego spotkania. (Nie jest to tak bulwersujące, jak wygląda: trafiłam do salonu masażu na weekendową promocję dzięki kuponowi prezentowemu, który dostałam od Blanki na urodziny). Zamiast pół godziny

Robert masował mnie godzinę, po czym zaproponował wspólną kolację. Przy greckim żarciu odkryliśmy, że łączy nas zamiłowanie do filmów science fiction. Miesiąc później Robert spytał, czybym się do niego nie wprowadziła.

Wiedziałam, że na to za wcześnie. Poza tym nigdy nie mieszkałam z mężczyzną. Ale się zgodziłam. „O tak”, powiedziałam.

2. Stanowi intrygujący zbiór przeciwieństw. Uwielbia czytać. (Na pierwszej randce rozmawialiśmy o Paulu Austerze). Jednakże co piątek umawia się z kumplami ze szkoły na grę w bilard. Czasami przeszkadza mi, że ma takie poszufladkowane życie. (Nie przedstawił mi swoim kumplom. Nie twierdzę, że mi na tym specjalnie zależy, ale mimo wszystko). Ciekawa jestem, którą szufladkę ja zajmuję.

Wszystko to banalne powody? A co powiecie na ten:

1. Robert w niczym nie przypomina mojego ojca.



O trzeciej po południu pan Lawry nakrywa siwego baranka zdumiewającym szpinakowym kapeluszem, po czym oświadcza – jak czyni to codziennie – że ma do załatwienia pewne sprawy. U steru pozostawia Kejszę, swoją ulubienicę, natomiast Blance i mnie każe wykorzystać czas z pożytkiem na naklejanie cenówek na kuchenne utensylia. Wszystkie wiemy, że trafi do „La Cariba”, gdzie radośnie się upije, jednakże przezornie udajemy niewiedzę. Rozumiemy znaczenie rytuału.

Kejsza robi balon z różowej gumy do żucia i mówi:

– Niech pan się o nic nie martwi. Poradzimy sobie.

Z chwilą wyjścia właściciela sklep ogarnia atmosfera wagarów. Blanka i ja zajadamy się pakorami i na przemian czytamy sobie na głos ogłoszenia drobne

zamieszczone w „Indo-Houston Mirror”. Kejsza, która wkrótce wychodzi za mąż, dzwoni ze służbowego telefonu do swojej matki w Amarillo, żeby omówić kwestię sukni ślubnej. („Écru? Mamo, naprawdę? Wołałabym intensywny róż”. Kontrapunktuje każde zdanie brzękiem dzwoneczków, które ma wplecione we włosy. „Nie. Nie ma mowy. Żadnych kokard”).

– Siostra Szirin, posiadająca boski dar rozwiązywania problemów – czyta Blanka – zdejmie klątwy, połączy zakochanych, uzdrowi małżeństwa i interesy.

– Rodzice szukają – czytam ja – męża dla spolegliwej lekarki o jasnej karnacji z Pendżabu. Kandydat musi posiadać zieloną kartę. Preferowany wzrost metr osiemdziesiąt, ale metr sześćdziesiąt pięć też do zaakceptowania.

– Rany, Taro, spójrz na to – woła w pewnym momencie Blanka. – Rodzina poszukuje przyzwoitej Hinduski, która zajęłaby się staruszką podczas długiego weekendu. – Przenosi na mnie wzrok. – Tego trzeba tobie i Robertowi. Rozłąka służy miłości.

– Chcesz, żebym przez cały weekend pilnowała jakiejś staruszki?

– Nie jakiejś tam staruszki, tylko Hinduski, która mogłaby być twoją babką.
– Blanka wie, że moja babcia zmarła trzy lata temu, niedługo po tym, jak rzuciłam naukę. Nigdy nawet jej nie spotkałam. Jako dziecko wypytywałam o nią mamę, ale zawsze tylko zmieniała temat, tak że w końcu dałam sobie spokój. Obecnie prawie wcale o niej nie myślę. Mam inne problemy. Jednakże Blanka ma obsesję na punkcie mojej nielicznej rodziny i wiecznie stara się mi pomóc. – Może ta staruszka nauczy cię, jak przyrządzać prawdziwe hinduskie potrawy. Robertowi mogłoby się to spodobać.

To przypomina mi o porannej rozmowie z Robertem, która skończyła się tym, że wymaszerowałam z mieszkania. Nie trzasnęłam drzwiami wyłącznie dlatego, że nie jestem tego typu osobą.

– No dobrze – przystaję niechętnie.

Spóźniam się na rozmowę kwalifikacyjną, zgubiwszy się dwukrotnie po zjechaniu z autostrady. Pudełkowate domki, identycznie przycięte krzewy, osiedlowe nazwy: Austin Colony, Austin Glen, Austin Crossing, sprawiają, że czuję się jak w podmiejskim wesołym miasteczku. Właściwie powinnam się czuć tutaj jak u siebie, ponieważ sama dorastałam na przedmieściach, jednakże dawno zdążyłam z tego wyrosnąć.

W końcu zatrzymuję swojego steranego volkswagena obok wychuchanej toyoty camry na podjeździe rodziny Mehta. Mam na sobie ubranie, które Blanka starannie wybrała dla mnie z wieszaków „Rzeczy Mało Używanych”: bezkształtne luźne spodnie („Lepiej nie pokazuj nóg, nogi sprawiają, że pracodawcy się denerwują”) oraz ciemnoróżową bluzeczkę z bufiastymi rękawami, które zakrywają mój tatuaż skorpiona. W duszy słyszę bezcielesny głos bogów: „I kto teraz wygląda jak hipopotam koloru fuksji?”.

Drzwi otwiera pan Mehta: schludny przedziałek, granatowe spodnie, koszula zapięta pod samą szyję, brązowe skórzane sandały, coś w rodzaju męża ze Stepford skrzyżowanego z klientem Walmartu. Mierzy metr sześćdziesiąt pięć. Mam wrażenie, że zjawiłam się pod adresem nie z tego ogłoszenia co trzeba.

– Jest dwadzieścia pięć po szóstej – wskazuje zegarek. – Byłaś umówiona na szóstą.

Spogląda na srebrny kolczyk w mojej brwi, którego nie pozwoliłam wyjąć Blance, i wydyma usta.

– Na miłość boską! – z pokoju za nim dolatuje gderliwy głos. – Przecież nie masz dziesięciu kandydatek czekających w kolejce!

Podniesiona na duchu przez niewidzialną sojuszniczkę kłamie jak najęta podczas rozmowy z gospodarzem i gospodynią, która okazuje się niespodziewanie urodziwą kobietą kilkanaście centymetrów wyższą od swojego męża, ze zgrabną sylwetką ukrytą pod szyfonowym salwar kamizem. Nie, nie piję. Nie, nie zażywam narkotyków. Nigdy nie miałam problemów z prawem.

Jąkam się dopiero wtedy, gdy pada pytanie o chłopaka. Wiem, jak powinnam odpowiedzieć. Jednakże czuję, że jeśli wyprę się Roberta, coś między nami się popsuje.

– Tak – mówię.

Grdyka gospodarza podskakuje nerwowo, ale jego żona kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Nie możemy wybrzydzać. Do rozpoczęcia wycieczki zostały tylko dwa dni.

Z głębi domu dolatuje gderliwe:

– Tak, tak, nie ma potrzeby wybrzydzać. Porzućcie staruszkę na pastwę pierwszej lepszej, nieważne, że ją udusi poduszką i ukradnie całą jej biżuterię. Czy nie łatwiej by było, gdybyście zamordowali mnie własnoręcznie? Wtedy będziecie mogli jeździć na wycieczki co tydzień.

Może jednak pochopnie uznałam ją za swoją sojuszniczkę.

– Masz tę pracę – oznajmia pani Mehta.

Czekam, aż przedstawią mnie podopiecznej, oni jednak w pośpiechu odprowadzają mnie do drzwi. Odwracam się, by powiedzieć, że chcę połowę zapłaty z góry, jak poradziła mi Blanka. Gdy pan Mehta waha się z odpowiedzią, gderliwy głos kpi:

– Chcesz powiedzieć, że jesteś gotów zostawić mnie z kimś, komu boisz się powierzyć kilka nędznych dolarów?



Pokłóciliśmy się z Robertem o wypchanego szopa pracza. Wygrał go od Wiktora, swego najlepszego kumpla, w wyniku meczu bilardowego, w którym padł zakład o coś, czego niuansów nie łapię. Szop pracz trafił na naszą sypialnianą komodę dwa tygodnie temu. Najwyraźniej jest bardzo drogocenny. Co więcej, Wiktor sam go upolował i wypchał, nie wspominając o tym, że rozstał się z nim z wielkim trudem. Zaproponował nawet, że odkupi go od

Roberta za dwieście dolarów.

– A ty odmówiłeś? – Obrzuciłam zwierzaka niedowierzającym spojrzeniem. Górną wargę miał wywiniętą w warknięciu, a jedną przednią nogę krótszą od drugiej (co jednak mogło być skutkiem kiepskich umiejętności taksydermicznych Wiktora). Wydawał się gotów w każdej chwili zeskoczyć z komody i rzucić się na nas.

– Oczywiście – odparł mój ukochany. – Powinnaś była widzieć minę Wiktora. – Przejechał dłonią po grzbiecie szopa pracza. – Dotknij tego futra, jest niesamowite, równocześnie miękkie i szpeciniaste.

Nie skorzystałam z propozycji. Za niesamowite miałam to, że oczekuje, abym spała w jednym pokoju z tym okropieństwem.

– Weźmiemy prysznic? – zapytał Robert rozjemczym tonem.

Zamierzałam się dąsać, ale uwielbiam wspólne prysznice z Robertem, to, jak rozpina na mnie ubranie, pozwalając mu upaść gdzie bądź, i jak mnie trzyma, mydląc mi plecy; całkiem jakbym była dzieckiem, które może się poślizgnąć i przewrócić.

Po wszystkim nie mogłam jednak zasnąć. Gapiałam się na rożek księżycy, który zaglądał przez okno, rozjaśniając nasze królestwo: kupione z drugiej ręki łóżko z materacem wodnym, dwie niepasujące do siebie lampki nocne, komodę, chwiejny stos książek. Wychowana w zagraconym domu rodziców czerpałam dumę z naszego minimalizmu. Jednakże tej nocy nieoczekiwanie przestraszyła mnie myśl, że każde z nas mogłoby się wyprowadzić, nie zabierając niczego, i nie czułoby się stratne w żaden sposób.

Nie licząc, od niedawna, szopa pracza.

Moich nozdrzy doleciał pizmowy zapach. Szop?... Niemożliwe, żeby pachniał czymś innym niż płyn do balsamacji użyty przez Wiktora. Czyżbym czuła zapach innej kobiety? Nie potrafiłam przegonić sprzed oczu widoku Roberta w pracy, jak gładzi krągłości klientki. Co im mówił? Dlaczego był

najbardziej rozchwytywanym masażystą w salonie?

W ciemnościach zaśniły oczy szopa pracza. Zabłyśły jego malutkie zęby, białe tak, że mogłyby występować w reklamie pasty do zębów. Przytuliłam się do Roberta i objęłam go mocno, ale po chwili mruknął coś przez sen, po czym odwrócił się na drugi bok.

Nazajutrz rano chciałam wyznać swoje obawy, rozprawić się z nimi za pomocą śmiechu. Jednakże nie mogłam tego zrobić. Mama w ciągu dwudziestu jeden lat małżeństwa ani razu nie podejrzewała ojca o zdradę. Gdy pewnego dnia przy śniadaniu, kiedy podawała mu chrupiącą dosę, powiedział, że kocha kogoś innego, uśmiechnęła się, myśląc, że to jeden z jego żartów. „Proszę, rzuć ją. Masz tu słoiczek kremu kokosowego”.

Zamiast tego więc poprosiłam Roberta, żeby przeniósł wypchanego szopa pracza do salonu. Robert odmówił. Stwierdziłam, że jest nieczuły. On oskarżył mnie o to, że mam gdzieś jego potrzeby. Nabrałam zwyczaju zakrywania szopa pracza powłóczką poduszki, ilekroć Roberta nie było w domu. Robert nabrał zwyczaju odkrywania go zaraz po przyjściu z pracy. Bez słowa zwijał powłóczkę w kulkę i z jadowitą precyzją ciskał ją do kosza na brudną bieliznę. Cichcem ją stamtąd wyciągałam, aby móc użyć jej ponownie. Przypominało to wodewil, tyle że nieśmieszny.

Dziś nie mam ochoty na kłótnie. Niebawem – od czwartku do niedzieli – będę mieszkać w domu pana Mehty i chcę przedtem wszystko załagodzić. Kupuję butelkę ouzo i wypożyczam DVD z *Pamięcią absolutną*, tą oryginalną, ze Schwarzeneggerem. To musi być telepatia, bo kiedy przekraczam próg, Robert kończy przyrządzać moussakę. Jemy, siedząc na kanapie po turecku, i oglądamy w kółko ulubione sceny, raz po raz dolewając sobie do kieliszków. Robert śmieje się, gdy mu opowiadam o moich nowych mocodawcach. Słyszając, że od jutra mnie nie będzie w domu, marszczy czoło.

– Wiktor w sobotę urządza imprezę – mówi. – Chciałem przedstawić cię

chłopakom.

Czuję się mile połączona. I zaskoczona. Wygląda na to, że nasz związek przeszedł na wyższy poziom.

– Nie wierzę, że porzucasz mnie na cały długi weekend dla jakiejś staruszki.

– Nie jakiejś tam staruszki, tylko Hinduski, która mogłaby być moją babką. Może nauczy mnie, jak przyrządzać prawdziwe hinduskie potrawy dla ciebie...

Robert wydaje się sceptyczny, więc proponuję, że zadośćuczynię mu za swoją nieobecność w jedyny sposób, w jaki potrafię: poprzez seks.

~

Kiedy się pojawiają na miejscu, moi chlebodawcy czekają w progu ubrani jak na wycieczkę: on w hawajskiej koszuli, ona w letniej sukience. Staruszki nigdzie ani śladu. Pan Mehta wręcza mi klucze do domu oraz kartkę z wypisanymi numerami telefonów: lekarz rodzinny, szpital, brat pani Mehty, który mieszka w Poughkeepsie. W sytuacji alarmowej powinnam kontaktować się z nimi w tej kolejności. U dołu, małymi cyferkami, widnieje numer telefonu komórkowego pana Mehty.

– Komórka nie będzie działać na statku – informuje mnie radośnie pani Mehta. Pochyliła się ku mnie i dodaje: – Uważaj. Ona potrafi być przebiegła.

Odprawiając ich wzrokiem w drodze do samochodu, myślę sobie, że stanowią niedobraną parę. Wtem pani Mehta wyciąga rękę i obejmuje męża w pasie, mimo że musi się przy tym lekko schylić. Pan Mehta otwiera przed nią drzwi i starannie poprawia jej sukienkę na fotelu.

Co ja tam wiem o miłości?

~

Staruszkę znajduję w kuchni na podłodze, z przekrzywionymi okularami i w białym, wdowym sari. Żołądek podchodzi mi do gardła. W pierwszym odruchu chcę zatelefonować do chlebodawców, ale zaraz przypominam sobie ich

instrukcje. Zresztą spod powiek błyskają poruszające się tęczęwki. Starsza pani Mehta mnie obserwuje. Mam wielką ochotę wylać na nią kubek zimnej wody i patrzeć, jak prychnie, nie mając się nawet komu poskarżyć. Ale nie jestem tego typu osobą, mówię więc tylko:

– Nie zadzwonię do pani syna i nie każę mu odwołać wyjazdu, jeśli do tego pani zmierza. Niemniej z przyjemnością zadzwonię po karetkę. Jeśli o mnie chodzi, może pani spędzić długi weekend wśród lekarzy, którzy będą panią dźgać, kłuć i badać.

Przez chwilę staruszka leży bez ruchu. W końcu, kiedy już zaczynam myśleć, że może jednak doznała udaru, podnosi się do pozycji siedzącej i oświadcza, że chętnie coś by zjadła.

Szykuję ucztę z produktów pozostawionych przez jej synową. Na stół trafia ciecierzycyca w ciemnym sosie, curry z zielonej papryki, ryż, jogurt, pikle z mango, pokrojony w plasterki ogórek, a na deser – barfi.

Staruszka obrzuca dary zażółconym okiem.

– A gdzie chapati?

– Chapati? – Zaglądam do lodówki, lecz widzę tylko kulę ciasta pozostawioną w plastikowym pojemniku.

Staruszka wyjaśnia powoli, jakby mówiła do głupiej.

– Synowa przyrządza je na bieżąco, żeby były gorące, kiedy siadam do jedzenia.

– Nie ma mowy. Chyba że zrobi je sobie pani sama.

– Jesteś służącą. Ty powinnaś je zrobić.

Biorę głęboki oddech.

– Nie jestem służącą. – Ponieważ staruszka patrzy na mnie wyczekująco, rozważam swoje opcje. – Jestem opiekunką, która ma pilnować, żeby pani nie upadła i nie złamała sobie biodra.

Wargi jej drżą.

– Ale ja nie mogę jeść bez chapati.

Rozważam, czyby jej nie powiedzieć, że marna ze mnie kucharka, jednakże obawiam się, że wyjawienie tej słabości postawiłoby mnie w niekorzystnym położeniu. Nakładam więc potrawy na dwa talerze i zaczynam jeść, mimo że staruszka nie wykonuje najmniejszego ruchu, tylko bacznie mnie obserwuje. Nie powiem, aby to był najbardziej udany posiłek. Skończywszy, zmywam naczynia, wkładam nietknięty drugi talerz do lodówki i mówię dobranoc. Staruszka nie odpowiada. Kiedy opuszczam kuchnię, wciąż stoi przy ladzie.

Miałam nadzieję na spokojną, wolną od szopów noc we własnej sypialni. Tymczasem gdy w końcu moszczę się pod satynową narzutą, która roztacza woń lawendy, zaczynam rozmyślać o mojej podopiecznej. Oczyma wyobraźni widzę jej ostre obojczyki, chcące niemal przebić skórę, i zwieszony wzdłuż boków ramiona świadczące o tym, że się poddała.



Muszę coś wyznać: byłam nieuczciwa. Nie poinformowałam moich chlebodawców, że w piątek – czyli za parę godzin – będę musiała pójść do pracy. Prawdą jest, jak by powiedział pan Lawry, że pan i pani Mehta nie pytali mnie o to. Mimo to czuję lekkie wyrzuty sumienia oraz obawę, jak zawiadomić o moich planach staruszkę.

Starsza pani Mehta jest właśnie w kuchni, gdzie trzaska garnkami, robiąc niepotrzebnie wiele hałasu. Nigdzie nie ma śladu po niezjedzonej kolacji.

– Zaparzyłam herbatę – oznajmia. – Ty pewnie nie wiesz, jak to się robi. Dziś na śniadanie zjemy alu paratha. Możesz ugotować ziemniaki, a następnie obrać je i utłuc. Ja przyszykuję przyprawy.

– Nie mogę. Muszę iść do pracy.

Gotuję się na atak hysterii, jednakże staruszka tylko na mnie patrzy z na wpół

otwartymi ustami. Dolną wargę ma spierzchniętą, jakby ją przygryzała.

– Tylko na parę godzin – dodaje. – Poradzi sobie pani...

Staruszka odstawia patelnię.

– W takim razie idę z tobą.

Przed oczyma staje mi starsza pani Mehta przechadzająca się po sklepie z zadartym nosem. „Tutaj pracujesz?“, zapyta mnie, niweczając magię tego miejsca.

– Nie – protestuję.

Staruszka chwytą mnie za łokieć.

– Tu jest tak cicho. Nie ma nikogo, w domu czy na ulicy, komu mogłabym pomachać. Czuję się, jakby pogrzebano mnie żywcem.

Mama po przeprowadzce z Indii do Karoliny Północnej czuła się okropnie samotna. Pewnego zimowego dnia, gdy tata był w pracy, wybrała się do parku i usiadła na ławce tylko po to, by uciec z ciemnego, pustego mieszkania. Nie ruszyła się z miejsca nawet wtedy, gdy zaczęła się burza. Siedziała na marznącym deszczu, dopóki tata nie wrócił i nie zaczął jej szukać. Potem musiał zanieść ją do domu, tak zziębnięte miała stopy. Kazał mamie wziąć prysznic, natarł jej klatkę piersiową kamforą i zmusił ją do wypicia pierwszej w życiu szklaneczki whisky. Mimo tych wszystkich zabiegów i tak zachorowała na zapalenie płuc.

Opowiedziała mi o tym po odejściu taty.

– Okazał mi tyle miłości. Żałuję, że wtedy nie umarłam.

Staruszka wyczuwa, że się waham.

– Zabiorę robótkę na drutach i usiądę w kąciku. Nawet nie będziesz wiedziała, że tam jestem. – Rusza na piętro, aby się przebrać, zanim zdąży ją powstrzymać.

Dopiero w połowie drogi do „Rzeczy Mało Używanych” zauważam, że staruszka ma puste ręce.

– Gdzie pani robótką?

Odwraca się do mnie z miną niewiniątka.

– Ojej! Przez to zamieszanie całkiem zapomniałam!

—

– To nie żłobek – stwierdza pan Lawry. – To nie dom starców. To sklep. – Podnosi teatralnie głos. Wokół nas gromadzą się wszyscy obecni: Blanka, Kejsza i dwie dziewczynki, które powinny być w szkole. – Ludzie przychodzą tu na zakupy.

Miażdży spojrzeniem starszą panią Mehta, która przyszła z pustymi rękami.

Chcę odpowiedzieć, że trzy czwarte naszych klientów nic nie kupuje, a dwadzieścia procent ma tendencję do opuszczania sklepu z towarami, za które nie zapłacili. Jednakże zanim zdążę stanąć w obronie staruszki, ona sama się odzywa.

– Dlaczego myśli pan, że nie mam zamiaru niczego kupić? – Niczym Houdini wyciąga zza pazuchy małą materiałową portmonetkę i wyjmuje z niej kilka dwudziestodolarowych banknotów, którymi macha przed nosem właścicielowi sklepu. – Chociaż nie wygląda mi na to, aby miał pan coś, co bym chciała. – Oddała się wyniosłym krokiem w stronę lady z pościelą.

Pan Lawry odprowadza ją chmurnym spojrzeniem i skazuje mnie na mycie podłogi.

Staruszka wyłania się po kilku godzinach. Przedarła się przez góry plew i odkryła elegancką parę czarnych spodni, błękitną bluzeczkę z dzianiny i prawie nieużywaną płócienną torbę, przeciwko której sama nic bym nie miała. Gdy wchodzi do przymierzalni, wszyscy przestają udawać, że pracują, i otwarcie czekają, jaki będzie efekt.

Zachodnie stroje pasują staruszce zadziwiająco. Widzę, że zaraz rzuci się do przymierzalni, aby włożyć z powrotem swoje stare ubranie. Gdy starsza pani Mehta drobi ostrożne kroczyki, uświadamiam sobie, że pierwszy raz w życiu ma

na sobie spodnie. Przechwytuje moje spojrzenie i spogląda na mnie z potwornym poczuciem winy. Widzę, że zaraz rzuci się do przymierzalni, aby włożyć z powrotem swoje stare ubranie.

Klaszczę głośno i gwizdzę. Blanka przyłącza się do mnie, a Kejsza wiwatuje. Nieśmiały, dziewczęcy uśmiech wypełza na twarz staruszki.

Po tym nie sposób jej powstrzymać. Wynajduje spódnice w cętki, dzinsy, sweter, haftowaną białą bluzkę oraz parę rybaczek i rzuca wszystko tryumfalnie na ladę. Pan Lawry jest tak zbulwersowany, że liczy całość w promocyjnej cenie, mimo że dziś nie ma promocji.

Do tej pory w sklepie zdążył się zebrać spory tłumek klientów. Czyżby ktoś rozpuścił wici? Staruszka pokazuje wszystkim, gdzie wynalazła swoje skarby.

– Tam po lewej, obok sukien ślubnych, jest wspaniała narzuta – woła za jakimś brodaczem, który wygląda tak, jakby dość dawno wziął rozbrat z prysznicem.

Gdy brodacz wraca z narzutą i dwiema parami butów, pan Lawry ceduje na mnie kasę. Starsza pani Mehta zdjęła do tej pory okulary.

– I tak są tylko do czytania – wyznaje z szerokim uśmiechem, niefrasobliwie zarzucając torbę na ramię.

Ciągnę ją do kąta i przestrzegam, aby nie wydała wszystkich pieniędzy.

– Nie bawiłam się tak dobrze od przyjazdu do Ameryki – odpowiada. – Wszyscy tutaj są tacy prawdziwi. Nawet pan Lawry... pies, który dużo szczeka, ale nie gryzie. Powiedziałam mu, że może na mnie mówić Sonu. To zdrobienie, którego używali rodzice. Poza tym – dodaje – po co mi oszczędności?

Patrzy na mnie ciekawie, a ja zdaję sobie sprawę, że to prawdziwe pytanie, na które jednak nie znajduję odpowiedzi.

20

Podczas przerwy telefonuję do Roberta, aby powiadomić go o rozwoju sytuacji.

Śmieje się śmiechem, który w moich uszach brzmi tak samo wspaniale, jak smakuje kostka lodu spragnionemu.

– Hinduska hipiska! Może powinnaś ją przyprowadzić do Wiktora... – Po chwili dodaje ciszej: – Tęsknię za tobą.

Serce rośnie mi w piersi. Ja też za nim tęsknię, bardziej, niż mogłam się spodziewać.

Kiedy zapraszam staruszkę na imprezę, jej twarz kurczy się przeproszająco.

– Ojej! Pan Lawry zamówił mnie na jutro. Ciebie zresztą też, ponieważ zapowiedziałam, że inaczej nie przyjdę. Twierdzi, że od świąt Bożego Narodzenia tyle nie sprzedał. Poza tym jutro Blanka zrobi mi fryzurę.

– Fryzurę! Jak...

Przerywa mi pan Lawry, który macha nam na pożegnanie.

– Do widzenia, pani Sonu. Proszę nie zapomnieć o naszej jutrzejszej randce.

Sytuacja zaczyna mi się wymykać spod kontroli.

– Randka? – odzywam się w samochodzie. – Oszalała pani? Nigdzie pani z nim samej nie puszczę. To... To... – Przetrząsam pamięć w poszukiwaniu faktów, które zmuszą ją do odrzucenia zaproszenia. – To alkoholik. I kanciarz. Oszukuje swoich klientów, a nawet...

W odpowiedzi starsza pani Mehta dotyka mojego kolczyka, tego, który kupiłam sobie po odejściu ojca. Choć dotknięcie jest drżące i lekkie jak piórko, ucisza mnie.



Wieczór. Starsza pani Mehta i ja robimy chapati. Moje – jak zawsze – przypominają kształtem różne stany USA. Mimo to staruszka twierdzi, że smakują wybornie. Zjada trzy, zapewne aby mnie nie zniechęcić.

Zatelefonowałam do Roberta jeszcze ze sklepu, by mu powiedzieć, że nie dam rady przyjść na imprezę.

– Zostaw ją w sklepie i przyjdź – zaczął mnie namawiać. – Moi kumple chcą cię poznać.

– Nie chciałam jej zostawiać samej. Jest jak... małe dziecko.

– Przesadzasz. Ani z niej dziecko, ani nikt inny. Oznacza dla ciebie jedynie parę dolarów. Tymczasem ja, twój chłopak, proszę cię, żebyś przysłała. Czy to się nie liczy?

Przez głowę przeleciała mi masa myśli. Oczywiście, że się liczy. Kocham cię. Ale nie mogę zawieść staruszki, która mi zaufała. Tu nie chodzi tylko o pieniądze... Staralam się nadać tym myślom zrozumiały kształt, jednakże koniec końców wydusiłam z siebie tylko:

– Wybacz.

– Jak chcesz – skwitował Robert.

Przed wyjściem ze sklepu zadzwoniłam do niego jeszcze dwukrotnie, ale każdorazowo trafiałam na pocztę głosową.

Przy kolacji starsza pani Mehta opowiada mi o swoim życiu w Indiach, gdzie dorastała wśród licznej rodziny, na którą składało się jedenaścioro jej kuzynów. Mieszkali wszyscy w wiekowym domu, który miał dodanych tyle skrzydeł, że przypominał labirynt. Młodzi nie musieli nawiązywać przyjaźni, ponieważ mieli siebie nawzajem.

Ja nigdy nawet nie byłam w Indiach. Nigdy nie chciałam tam pojechać. Ale teraz, słuchając opowieści staruszki, ogarnia mnie z tego powodu żal.

Dowiaduję się, że jej mąż wypatrył ją na przyjęciu z okazji święta Diwali, kiedy miała siedemnaście lat, i wysłał do jej rodziców swojego wuja, aby wystąpił z oświadczeniami w jego imieniu. Sonu nie chciała wychodzić za mąż tak wcześnie; właśnie została przyjęta do jednego z lepszych koledżów dla kobiet. Jednakże uległa, tak jak wszystkie dziewczęta w tamtych czasach. Byli małżeństwem przez czterdzieści pięć lat, głównie dobrych. Pewnego wieczoru, gdy oglądali telewizję, starszy pan Mehta przechylił się na jedną stronę. Zmarł,

zanim zdążyła zadzwonić na pogotowie. Wkrótce potem zapadła decyzja, aby wprowadziła się do syna.

Staruszka milknie. Spodziewam się łez albo wylewania żalów, albo co gorsza żądania podobnych zwierzeń, ale Sonu mówi tylko:

– Opowiedz mi o amerykańskim stylu życia.

Pragnę podzielić się z nią czymś głębokim i prawdziwym, ale w głowie mam pustkę. Większość z tego, czego byłam pewna, okazała się zawodna.

Mówię, że będę musiała się zastanowić.

Staruszka kiwa głową.

– I tak trzeba iść spać. Jutro czeka mnie wielki dzień.

Znalazłszy się w ogromnym łóżku, sama, bez Roberta, który by mnie chronił, czuję się osaczona przez wspomnienia. Ostatni raz widziałam tatę w dniu, w którym wyprowadził się z domu. Pamiętam, jak kroczył do drzwi, skrupulatnie i zdecydowanie unosząc stopy nad wszystkim, co leżało mu na drodze.

W stosunku do taty, którego kochałam bardziej niż kogokolwiek innego, moje uczucia są jasne jak słońce. Mama stanowi trudniejszy przypadek. Prawdopodobnie wciąż mieszka na przedmieściach Houston, gdzie się wychowałam – aczkolwiek nie w naszym rodzinnym domu, który padł ofiarą rozwodu. Gdy widziałam ją ostatnio – tuż przed tym, zanim rzuciłam studia – twarz miała napuchniętą, a piękne rysy naznaczone żalobą. Nie ścieliła łóżka ani nie wyrzucała śmieci. Nalała nam po kieliszku wina.

– Na zdrowie – powiedziała z wesołością, która była gorsza od płaczu.

—

Starsza pani Mehta, odziana w spódnicę w cętki, przechadza się dostojnie po sklepie, dzierżąc miotelkę do kurzu niczym różdżkę. Ruch jest jak nigdy; Sonu ma zdolność mówienia właściwych rzeczy właściwym ludziom. Tuż przed

południem Sonu i Blanka biorą naręczce czasopism modowych i udają się na zaplecze. Po niecałej godzinie staruszka wyłania się z krótką fryzurką na głowie i wyzywającym uśmiechem na twarzy.

– Chwileczkę! – woła Kejsza. Podkreśla wargi Sonu swoją ulubioną szminką barwy krwistej czerwieni, po czym odsuwa się, aby podziwiać swoje dzieło. – Super!

Ma rację, lecz ja i tak postanawiam odebrać resztę wynagrodzenia, zanim pan Mehta zobaczy matkę.

W końcu nadchodzi pora lunchu. Pan Lawry włożył – na cześć swojej partnerki – garnitur w kratę i taki sam kapelusz.

– Panie przodem – rzuca kurtuazyjnie, otwierając z rozmachem drzwi.

– Spokojnie, dziewczyno – mówi do mnie Blanka. – Idą do lokalu tuż za rogiem. Co im się może przytrafić?

Aby zająć czymś myśli, zadaję Blance pytanie o amerykański styl życia.

– O tym nie da się opowiedzieć – stwierdza. – To trzeba pokazać. Zabierz ją w parę miejsc... może do klubu, może do muzeum. Pewnie spodobałby się jej masaż. Zawsze możesz poprosić Roberta o zniżkę!

Miażdżę ją spojrzeniem. Po chwili zaś poddaję się wewnętrznemu pragnieniu, które mnie gnębi. Tym razem Robert odbiera, ale moje usiłowania, by prowadzić poważną rozmowę, spełzają na niczym z powodu ogłuszającej muzyki, wrzasków i faktu, że mój chłopak wypił o jednego za dużo.

– Żałuj, że nie przyszedłeś – rzuca zaczepnie. – Byłem gotów się tobą pochwalić. Zawiodłeś mnie.

– Będzie inna okazja. Obiecuję!

Robert milczy.

– Powiedz kumplom, że nie mogę się doczekać, kiedy ich poznam. – To niezupełnie prawda, ale nie pora teraz na szczerość i ekspresyjność.

Robert wydaje się trochę udobruchany.

– O której wracasz do domu w niedzielę?

Odpowiadam, że moi chlebodawcy wrócą dopiero w nocy. Spodziewam się wyrzutów, lecz Robert mówi tylko, że w takim razie zostanie na noc u Wiktora.

W tle czyjeś głosy – mężczyzn i kobiet – wołają jego imię.

– Muszę już iść. Kocham cię, mała.

Na jego obronę muszę przyznać, że czeka, aż też zapewnię go, iż go kocham, po czym dopiero się rozłącza.



Sonu i ja wisimy nad mapą Houston rozłożoną na stole. Pokazuję jej różne atrakcje: siedzibę NASA, muzeum sztuki nowoczesnej przezywane Garage Mahal, rezerwat aligatorów, ona jednak stuka palcem w błękitny przestwór na południu.

– Czy to ocean? Syn nigdy mi nie mówił, że mieszkamy tak blisko oceanu! Nigdy go nie widziałam...

– Chce pani pojechać na plażę i urządzić sobie piknik?

Staruszka zapewnia mnie, że o niczym innym nie marzy. Ma niejaki doświadczenie, gdy idzie o pikniki, ponieważ jako młoda dziewczyna brała udział w rodzinnych wycieczkach, na które zabierano góry jedzenia: curry ziemniaczane, puri, dzalebi na deser, niezliczone termosy z herbatą, a nawet żywą kozę dla babki pijącej wyłącznie świeże mleko.

– My zabierzemy tylko pieczywo, ser i może jakąś sałatkę – ostrzegam.

Godzi się na to łaskawie.

– Oczywiście. Rozumiem. Jesteśmy w Ameryce.

Przed pójściem spać snuje plany na przyszłość. Zachęci syna i synową – jeśli trzeba, to złym zachowaniem – aby robili sobie wycieczki częściej. I za każdym razem będzie się domagać, abym to ja się nią zajmowała. Będziemy pracować

w „Rzeczach Mało Używanych” i nurzać się w amerykańskim stylu życia.

Kiwam głową, starając się nie myśleć, jakie to stworzy problemy dla mnie i Roberta.

~

Pierwszy przystanek robimy sobie w domu towarowym, ponieważ starsza pani Mehta uparła się, aby popływać w oceanie. Nie zniechęciły jej nawet opowieści o meduzach, od których roi się w zatoce. Niebezpiecznie długo ogląda bikini, ale w końcu na moje szczęście decyduje się na fikuśny szmaragdowy kostium jednoczęściowy. Zapewnia mnie, że jest doskonałą pływaczką; w młodości wszyscy uczyli się pływać w sadzawce za domem. Jednakże mówiąc to, ucieka wzrokiem w bok, a ja postanawiam przez cały czas trzymać się blisko niej. Co znaczy, że też będę musiała wejść do wody.

– Musimy zatrzymać się pod moim domem, żebym zabrała kostium kąpielowy – mówię.

– Super. Chcę zobaczyć, jak mieszkasz.

Uprzedzam ją, że mieszkam skromnie.

– Mam taką nadzieję. A czy zastaniemy też twojego przyjaciela?

– Robert spędził noc u Wiktora. Pewnie nie wróci przed wieczorem. – W głębi ducha jednak trzymam kciuki, aby był w domu. Chcę, żeby Sonu go poznała.

Po drodze kupujemy prowiant: bagietkę, ser brie, owoce, ciasto czekoladowe i dwie butelki białego wina. Staruszka upiera się, że za wszystko zapłaci.

– Mam mnóstwo pieniędzy – oświadcza. – Od syna. Stara się być dobrym chłopcem, dba o moje szczęście.

Albo mi się wydaje, albo starsza pani Mehta faktycznie wzdycha.

~

Muzyka ogłusza mnie, ledwie otworzę drzwi mieszkania. Led Zeppelin. To znaczy, że Robert jest w domu! Właśnie zamierzam go zawołać, gdy dostrzegam szpilki. I falbaniastą niebieską bluzkę porzuconą bezładnie w pół drogi do sypialni. Zerkam na staruszkę, ale ona ogląda sobie dłonie, jakby miała na nich wyryty jakiś sekret. Ze sponiewieranej kanapy gapi się na mnie smutno szop pracz, którego ktoś w pośpiechu tam cisnął.



Leżymy na pustej plaży po ciemku. Dotarliśmy tu późno, gdyż chwilę trwało, zanim ręce przestały mi się trząść po powrocie do samochodu. Bałam się, że Robert będzie mnie szukać – a może miałam taką nadzieję? Tak czy owak, nie pojawił się.

Przykro mi, że Sonu straciła okazję na piknik i pływanie w oceanie. Zostawiłyśmy kosz w bagażniku. Żadna z nas nie miała apetytu. Ale wzięłyśmy ze sobą obie butelki wina, które teraz leżą prawie puste między nami. Obok szopa pracza.

Tak. To była jedyna rzecz, którą zabrałam, zanim stamtąd wybiegłam. Gdy chwytalam zwierzaka za łapę, poczułam, jak przesywa mnie prąd, zupełnie jakby był pod napięciem. Ale to musiał być dreszcz wściekłości. Moje nerwy do tej pory są rozedrgane.

Opowiadamy sobie z Sonu historyjki o gwiazdozbiorach.

– Tam jest Kalpursz – mówi staruszka. – Widzisz miecz? Widzisz koronę? Strzeże bram do nieba. W zamian za swą potęgę musiał złożyć śluby czystości.

– A to Herkules – mówię, chociaż być może wskazuję Wielką Niedźwiedzicę. I opowiadam Sonu historię jego śmierci z rąk własnej żony, która podejrzewała go o miłość do innej kobiety. – Powinnam stawić mu czoło? – pytam. – Powinnam być taką osobą?

– Nie mogę z nimi zostać – mówi Sonu. – Kłócą się przeze mnie. Kilka dni

temu słyszałam, jak padło nawet słowo rozwód. Może w sypialni to nie był twój Robert. Może użyczył mieszkania kolegom na weekend.

Rozumiem, co robi. Oferuje rozwiązanie. Nad głową wiszą mi gwiazdy, niewyraźna, błyszcząca klejnotami sieć. Moja komórka dzwoni i dzwoni. Sięgam po resztkę wina i natrafiam ręką na szopa pracza. Robert miał rację. Jego sierść jest zarazem miękka i szczeciniasta. Zaczyna się przypływ. Fale rozbijają się u moich stóp. Wstrząs, który poczułam, stanąwszy w progu, był okropny. Ale jeszcze gorsze było to, że zaraz minął, zupełnie jakbym jakąś częścią siebie przez cały czas wiedziała, do czego zmierzam. Jakbym wiedziała, że i ja nie jestem warta wiernego mężczyzny.

– Mój tata zdradzał mamę – mówię. – Mimo to w dniu, w którym odchodził, padła mu do stóp i błagała go, aby jej nie zostawiał.

– Nie bądź dla niej zbyt surowa.

– Mnie też kazała go prosić. Nie usłuchałam. Później powiedziała mi, że być może by został, gdybym to zrobiła.

Starsza pani Mehta wzdycha.

– Ludzie uzależniają się od miłości. Albo przynajmniej od obecności drugiego człowieka. Mój mąż nieraz mnie denerwował. Musiałam prosić go o pozwolenie na wszystko: żeby przeczytać książkę, pójść do kina, nawet zadzwonić do rodziców. Wiele razy mi odmawiał tylko dlatego, że mógł to uczynić. A jednak po jego śmierci nie potrafiłam przestać płakać. Nie wiedziałam, co ze sobą począć.

– Pojedzie pani jutro razem ze mną po moje rzeczy? – pytam.

– Tak. Ale dokąd się udasz?

– Nie wiem. Może Blanka pozwoli mi u siebie pomieszkać przez jakiś czas.

– Mogłabyś pojechać ze mną do Indii – proponuje Sonu. – Wciąż mam tam mieszkanie.

Indie! To jedno słowo oblewa mnie niczym fala.

Tulę szopa pracza do siebie. Na słonym wietrze pachnie wilgocią i futrem, tak jak powinien. Wkrótce będzie się kołysał na wodzie, wystawiając nad powierzchnię warczący pyszczek. Komórka przestała dzwonić. Odpływ, przypływ, odpływ, przypływ – na tym polega nasze życie. Czy to dlatego tak nas fascynuje stałość gwiazd?

Woda sięga mi do łydek. Zaczynam opowiadać o Plejadach, kobietach zamienionych w ptaki tak szybkie i bystre, że nie mógł ich schwytać żaden człowiek.





Smakołyki Durgi

1995: Proch



Informacja telefoniczna w sprawie Sabitri nadeszła bardzo wczesnie rano, jednakże nie stanowiło to problemu, gdyż Bipin Bihari Ghatak zdążył już wstać. W gruncie rzeczy od dawna był na nogach. Ostatnimi czasy, odkąd ukończył pięćdziesiąty piąty rok życia, sen stał się w jego wypadku kapryśną panią. A Bipin Bihari nie należał do ludzi, którzy wylegają się w łóżku, czekając, aż sen wróci. Dokończył czyszczenia zębów za pomocą patyczka z drewna miodli indyjskiej i przez chwilę żuł jego włókienka, rozkoszując się świeżym gorzkim smakiem, który pozostał mu w ustach. Mało kto wciąż używał takich patyczków. Bipin Bihari musiał po nie jeździć aż na bazar w dzielnicy Taltola, gdzie zaopatrywał się w zapas na cały tydzień, co mu jednak nie przeszkadzało. Od czasu gdy porzucił pracę w „Smakołykach Durgi”, nie miał wiele do roboty.

Dokończył także kąpieli i właśnie drżał lekko na ciele, gdyż – z konieczności oszczędny, a z natury ascetyczny – wolał używać niepodgrzewanej wody. Zresztą bojler w jego małym mieszkanku miewał humory. Ilekroć odmówił współpracy, Bipin Bihari musiał grzać wodę w garnku do ryżu i prznosić ją z kuchenki do

wanny. Postanowił więc nie uzależniać się od tak kłopotliwego nawyku.

Przesunął stos formularzy (od czasu do czasu przyjmował nadal zlecenia) na małym stoliku, przy którym jadał i pracował, i ustawił filiżankę ze spodkiem. Z drewnianego pudełka opatrzonego monogramem odmierzył łyżeczkę herbaty darjeeling, która była jedyną jego słabością, i zalał ją wrzątkiem. Tego dnia jednak herbata miała się zmarnować, ponieważ zatelefonowała służąca Sabitri, Rekha, która płakała w słuchawkę tak mocno, że Bipin Bihari dwukrotnie musiał ją prosić, aby się uspokoiła i powtórzyła wszystko po kolei.

Gdy w końcu pojawił się, co się stało, nie tracił czasu, tylko narzucił kurtę na koszulę i w przelocie złapał reklamówkę z pieniędzmi trzymanymi pod materacem na wypadek sytuacji awaryjnej. Wrzucił ją do sakwy i pośpiesznie zbiegł po wąskiej, słabo oświetlonej klatce schodowej na ulicę, gdzie wezwał (po raz pierwszy od lat) taksówkę, chociaż wiedział, że będzie go to słono kosztowało, ponieważ dworzec kolejowy Haura znajdował się na przeciwległym krańcu Kalkuty. Pochylił się w przód i złapawszy oparcie fotela, uprzejmie poprosił kierowcę, aby ten się pośpieszył, gdyż w grę wchodzi sprawa życia i śmierci. Kierowca na to uniósł brew, jednakże Bipin Bihari, znany z braku skłonności do przesady, mówił szczerą prawdę.

Na dworcu kupił bilet do Porabazar, czyli stacji kolejowej leżącej najbliżej wioski Sabitri, a następnie pognął na peron, gdzie zdołał wywalczyć sobie miejsce w zatłoczonym pociągu, który właśnie ruszał. Musiał być bardzo blady, ponieważ pewien młodzieniec zerwał się z siedzenia, co było rzadkością w dzisiejszych czasach, i rzekł: „Proszę, dadu”. W każdych innych okolicznościach poczułby się urażony, że ktoś nazywa go dziadkiem, albowiem był dumny ze swojej sylwetki, na którą pracował, spacerując przez godzinę co wieczór w parku nieopodal swojego mieszkania. Jednakże dzisiaj opadł na drewnianą ławę z wdzięcznością i otarł pot z twarzy skrajem dhoti, jako że w pośpiechu zapomniał zabrać chusteczkę. Serce biło mu za szybko, nierównym,

niespokojnym rytmem. Jak do tego mogło dojść? Zaledwie przed tygodniem rozmawiał z Sabitri przez telefon, aby sprawdzić, co u niej. Śmiała się wtedy i nazywała go histerykiem, zapewniając, że wszystko u niej dobrze.

W pociągu sprzedawano herbatę i ciasteczka. Bipin Bihari kupił jedno i drugie, po czym zmusił się do wypicia naparu, który smakował odrażająco (czego użyto zamiast cukru?), i zjedzenia czerstwych, kruszących się słodkości. Wiedział bowiem, że na nic się nie przyda Sabitri, jeśli zbytnio obniży mu się poziom cukru. Aby nie myśleć o tym, co zastanie u celu podróży, skupił uwagę na miarowym turkocie kół, który okazał się zarazem nerwowy i kojący. Trasa była długa, zdążył więc zapaść w drzemkę i wyśnić sobie, że znów pracuje w „Smakołykach Durgi”, siedząc przy biurku na ślepych zapleczu, gdzie jedyne światło dawała pojedyncza żarówka zawieszona na drucie, i pocąc się, ponieważ w pomieszczeniu tym zawsze było za gorąco. Sabitri pochylała się nad biurkiem, spoglądając na hasło, które właśnie wymyślił: „Dzięki nam świat jest słodkim miejscem”. Jej gęste włosy roztaczały jedwabisty hibiskusowy zapach i muskały go w szyję. „Doskonałe”, zakrzyknęła, klaszcząc w dłonie. W tym momencie zrozumiał, że to mu się tylko przyśniło – Sabitri nie pokazywała się w pracy bez koka na głowie i nigdy nie klaskała z młodzieńczym entuzjazmem.

Po przebudzeniu poczuł żal, jakby coś mu odebrano. Nagle przypomniały mu się słowa, których Rekha użyła przez telefon. „Rani ma powiedziała, że jeśli coś jej się stanie, mam zadzwonić do pana w pierwszej kolejności, do nikogo innego”.

No tak, myślał Bipin Bihari, mijając stację za stacją i przyglądając się, jak usmolone podmiejskie fabryki ustępują miejsca polom ryżowym tak jasnozielonym, że od patrzenia na nie bolały oczy. Czyż odkąd pamiętał, Sabitri nie zwracała się do niego w dobrych i złych chwilach? Mimo całego swojego niepokoju poczuł, że uśmiecha się na tę myśl.

Wchodząc do niewielkiego domu, który po przejściu na emeryturę Sabitri wybudowała na tej samej działce, na której niegdyś stała chata jej rodziców, Bipin Bihari zrozumiał, że się spóźnił. Nie stąd, że drzwi frontowe były nierozważnie uchylone. (Zamknął je za sobą, Sabitri nie tolerowała w domu much). Nie stąd, że na wewnętrznym dziedzińcu zgromadziła się grupka służących, z Rekhą w środku, która kołysała się w przód i w tył i lamentowała. (Nakazał jej się uspokoić, Sabitri nie tolerowała hysterii). Nawet nie stąd, że jego oczom ukazało się ciało spoczywające na materacu leżącym na podłodze i nakryte białym prześcieradłem – to nie była Sabitri, w żadnym razie. Bipin Bihari wiedział, że się spóźnił, ponieważ jego serce nie nabrało tego charakterystycznego nierównego rytmu, który go ogarniał, ilekroć miał się spotkać z Sabitri. Od tej pory jego serce, zredukowane do roli zwykłego mięśnia, będzie już tylko pompowało miarowo krew.

Na szczęście nie było czasu zastanawiać się nad takimi rzeczami. Bipin Bihari posłał po lekarza, potwierdził przyczynę śmierci (atak serca) i wprawił w ruch proces mający na celu uzyskanie aktu zgonu. Skontaktował się z miejscowym zakładem pogrzebowym i poprosił, aby poczyniono przygotowania do kremacji. Służącej kazał zawiadomić znajomych zmarłej o dacie ceremonii (jako że Sabitri żyła jak odludek, nie było z tym wiele zachodu). Przejrzawszy z poczuciem winy szuflady, odnalazł notes z adresami i zatelefonował do jej córki w Ameryce. Musiał zadzwonić kilkakrotnie; za każdym razem zostawił szczegółową wiadomość, starając się nie myśleć o rachunku i tym, kto go pokryje. Jednakże Bela nie odbierała. W tym upale nie można było trzymać ciała dłużej w domu. Już teraz w powietrzu dało się wyczuć słodkawy odór. W końcu Bipin Bihari był zmuszony poprosić pracowników zakładu pogrzebowego, aby zapakowali zwłoki na pakę ciężarówki i je wywieźli.

Wieś, w której mieszkała Sabitri, była mała i staromodna – tak samo jak

zakład pogrzebowy. W Kalkucie kremacji dokonywano w nowoczesnych warunkach, tymczasem tutaj ciało miało zostać spalone na stosie na wolnym powietrzu. Po wszystkim prochy Sabitri zostaną rozsypane nad wodami leniwej, burej rzeki płynącej nieopodal. Bipin Bihari zsiadł z paki ciężarówki, gdzie towarzyszył zmarłej, z uczuciem wielkiego znużenia. Ból przenikał go do szpiku, nawet jego plomby w zębach wibrowały, przysparzając mu cierpienia. Mimo to stał przy stosie pogrzebowym, upewniając się, że pracownicy układają odpowiednią ilość drewna sandałowego (za które dodatkowo zapłacił) i obchodzą się delikatnie z ciałem, odzianym w najlepsze sari Sabitri i ukwieconym girlandami. Zwłoki miały odkrytą twarz, aby duch mógł łatwiej je opuścić.

Gdy kapłan zapytał, kto zapali stos, do przodu wystąpił Bipin Bihari, ponieważ Sabitri nie miała we wsi krewnych. Sądził, że podoła, że przytknie płonąca pochodnię do ciała, ale kiedy spojrzał na zastygłe rysy pozbawione jakichkolwiek oznak człowieczeństwa, ręce zaczęły mu się trząść tak bardzo, iż potrzebował pomocy kapłana. Był starym mężczyzną, miał za sobą długi dzień; nieliczni sąsiedzi zgromadzeni wokół stosu nie zwrócili na to większej uwagi.

Do domu Sabitri wracał w ciemnościach. Musiał przenocować na miejscu i wyruszyć w podróż powrotną do Kalkuty dopiero nazajutrz. Wszakże w domu było tylko jedno łóżko – zmarłej. Rekha pościeliła je dla niego, ale on powiedział, że byłoby to oznaką braku szacunku dla Sabitri.

– Rani ma nie miałyby nic przeciwko temu – oświadczyła Rekha z uporem.

Bipin Bihari był nie mniej uparty, tak więc koniec końców służąca pościeliła mu w salonie, rozkładając matę do spania. Wykąpał się i zjadł to, co w niego wmusiła: rozgotowany ryż i fasolę, którą w roztargnieniu posoliła dwa razy. Zanim udał się na spoczynek, zapewnił Rekhę, że rani ma przed śmiercią zadbała o jej los. Wiedział o tym, gdyż Sabitri – podobnie jak on planująca wszystko z wyprzedzeniem – już lata temu pokazała mu swój testament, którego

wykonawcą miał być teraz. Wreszcie zapytał, czy Rekha wie, co spowodowało atak serca. Czy Sabitri chorowała?

– Rani ma była zdrowa jak ryba – odparła służąca. – I tak samo szczęśliwa, dopóki nie zadzwoniła Bela Didi.

Twarz Rekhy wykrzywiła się i Bipin Bihari zrozumiał, że podobnie jak on kobieta nie wybaczyła nigdy Beli smutku, jaki ta spowodowała Sabitri swoją ucieczką przed laty. Pozwolił, aby przez chwilę przepelniał go żal do dziewczyny, z którą kilkakrotnie w okresie jej dorastania usiłował się zaprzyjaźnić, nadaremno jednak. Bela była podejrzliwa i oschła, a traktowała go tak, jakby kierowały nim jakieś niskie motywy.

– Bela Didi głośno płakała, nawet ja to słyszałam – podjęła Rekha. – Same z nią były problemy. Nigdy się nie przejmowała, jak bardzo martwi rani ma swoimi nowinami. Po zakończonej rozmowie rani ma nagle ścichła. Mimo że prosiłam wiele razy, nie chciała zjeść kolacji. Wieczorem zaczęła coś pisać. Chyba list. Odmawiała położenia się spać. Powiedziałam jej, że musi, bo inaczej podniesie jej się ciśnienie. Nakrzyzczała na mnie i kazała mi zostawić ją w spokoju. Odesłała mnie na posłanie. Nie powinnam była jej usłuchać...

Rekha ponownie wybuchnęła płaczem.

Bipin Bihari czekał, aż kobieta się uspokoi. Potem zapytał, gdzie znajdzie ten list. Służąca poprowadziła go do stołu, przy którym zwykła siadać Sabitri. Bipin Bihari podniósł jedną z leżących na blacie kartek. Pomyślał przy tym, że dotyka czegoś, czego ręce Sabitri dotykały tuż przed jej śmiercią. Chciał przyłożyć kartkę do ust, jednakże Rekha go obserwowała. Pragnienie, aby poznać ostatnie myśli Sabitri, ogarnęło go niczym ogień. Przeczytał: „Najukochańsza Wnuczko!”.

Ale nie, nie mógł w ten sposób naruszyć jej prywatności, skoro nie mogła się przed tym bronić. Zebrał wszystkie kartki, nawet te rzucone na podłogę. Wyglądził je i ostrożnie włożył do sakwy. Na koniec znalazł kopertę

zaadresowaną charakterem pisma Sabitri, który znał tak dobrze. Adresatką była córka Beli. Kopertę także zabrał.

Postanowił, że po powrocie do Kalkuty nada całość pocztą do wnuczki Sabitri. Zamieści również swój adres i numer telefonu, na wypadek gdyby ktoś z Ameryki chciał poznać szczegóły. Będzie czekał, mając nadzieję na kontakt. Pragnął, aby bliscy Sabitri wiedzieli, że ostatnie chwile życia spędziła, myśląc o nich i starając się przekazać coś tak ważnego i trudnego, iż doprowadziło to do jej śmierci. Z zaciętością, która była do niego niepodobna, chciał, aby krewni Sabitri – a zwłaszcza Bela, która w takim pośpiechu opuściła matkę – poczuli się winni. Nikt jednak nigdy się z nim nie skontaktował. Czy list w ogóle dotarł do Tary? Bipin Bihari nie miał jak się tego dowiedzieć.



Po ceremonii kremacji pracownicy zakładu pogrzebowego zebrali prochy Sabitri i umieścili je w glinianym naczyniu, które następnie przekazali Bipinowi Bihariemu. Przy prowizorycznym pomoście czekała już stara motorówka. Miała go zabrać na środek rzeki, aby mógł rozrzucić prochy. Na pokładzie znajdowali się trzej inni mężczyźni, których czekało to samo zadanie. Bipin Bihari poczuł zdenerwowanie; miał nadzieję dopełnić ceremonii na osobności, nic jednak nie mógł poradzić. Łódź płynęła do przodu zrywami, coś było nie tak z jej silnikiem. Patrząc ze środka rzeki na brzeg, po raz pierwszy zauważył sępy, które kołowały w górze, od czasu do czasu pikując niczym czarne strzały, zgrabniejsze, niżby mógł przypuszczać.

Przewoźnik zatrzymał łódź i oznajmił, że to już pora. Jeden z mężczyzn – młodziak z ogoloną głową, co sugerowało śmierć rodzica – zaczął płakać, nie przejmując się publicznością. W jego otwartej żałobie było coś zaraźliwego; Bipin Bahari poczuł, że ma wilgotne oczy. Jednakże Sabitri nie pochwalała okazywania uczuć, dlatego patrzył w przestrzeń nieruchomym wzrokiem.

Wszyscy trzej opróżnili urny za burzę i położyli naczynia na powierzchni wody. Łódź zawróciła w stronę brzegu. Bipin Bihari nie odrywał spojrzenia od urny, którą niedawno trzymał w rękach. Z jakiegoś powodu wydawało mu się ważne, że potrafi ją odróżnić od pozostałych. Niestety wzrok już miał nie ten i wkrótce nie umiał wypatrzeć ani jednej urny.

– Żona? – zapytał jeden z pasażerów.

Bipin Bahari chciał potwierdzić, chciał zaanektować Sabitri po śmierci, tak jak nigdy tego nie zrobił za życia. Jednakże nie był kłamcą. Mógł powiedzieć, że pochował swoją mocodawczynię, lecz i to nie oddawało prawdy. Rzekł więc:

– Przyjaciółka.

1991: List lotniczy

– Nie możesz tego zrobić! – wykrzyknął Bipin Bihari, pochylając się nad biurkiem Sabitri. Znajdowali się na zapleczu „Smakołyków Durgi”, sklepu, który na przestrzeni lat stał się dla niego domem bardziej niż jego małe mieszkanko. Był późny wieczór. Kucharze już wyszli, podobnie jak sprzedawcy, dlatego pozwolił sobie na podniesienie głosu. Uniósł zapisane pismem maszynowym kartki, które wręczyła mu Sabitri, i potrząsnął nimi. – To byłby twój największy błąd. Nie pozwolę ci na to.

– A jak zamierzasz mnie powstrzymać? – zapytała tonem lekkiego zainteresowania.

Czuł, jak gniew pulsuje mu w mózgu niczym tętniak. Jedna Sabitri potrafiła przywieść go do takiego stanu. Pragnął za wszelką cenę wyleczyć ją z uporu.

– Masz rację. Nie jestem w stanie cię powstrzymać. Ale czy nie widzisz, jak straszny błąd chcesz popełnić? Żeby sprzedać firmę teraz, gdy przynosi

największe dochody? I to po tym wspaniałym artykule w „Telegraphie”, który z pewnością przyciągnie do nas nowych, młodszych klientów?

Sabitri przybrała zaciętrzewioną minę, z wystającą lekko dolną wargą. Bipin Bihari postanowił zmienić taktykę.

– Co będzie z twoimi wiernymi pracownikami, którzy stali przy tobie w najtrudniejszych chwilach? Chcesz, żeby wylądowali na ulicy? Nawet Balaram i Szirisz Kaka, którzy są zbyt starzy, aby szukać nowej pracy? – Przemilczał to, czego nie mógł powiedzieć na głos: „Co będzie ze mną bez ciebie?”.

– Najwyraźniej niecierpliwość nie pozwoliła ci doczytać umowy do końca, Bipinie Babu – powiedziała Sabitri, zwracając się do niego oficjalnie, jak chlebodawczyni do pracownika. Robiła to zawsze, ilekroć zaszedł jej za skórę. – Na stronie czwartej napisano: „Warunkiem sprzedaży jest zatrzymanie personelu”.

Jakże dobrze go znała. Oczywiście miała rację. Przeczytał tylko pierwszą stronę dokumentu. Był zbyt zdenerwowany. Jednakże nie chodziło tylko o niepokój, co będzie z nim i z pracownikami. Głównie martwił się o nią.

– A co z tobą? Co będziesz robić, gdy już sprzedasz firmę?

– Wrócę do rodzinnej wsi.

– Nie cierpisz rodzinnej wsi. Ile razy mi opowiadałaś o jej małoszkowych mieszkańcach, o plotkach i wzajemnym podgryzaniu... Poza tym „Smakołyki Durgi” to twoje życie.

– Nie mam powodów dalej tego ciągnąć – rzekła głuchym tonem.

Poczuł się tak, jakby wyrznięta go pięścią w brzuch. Co w ogóle chciała przez to powiedzieć? Chodziło jej o sklep czy o własne życie?

– Dlaczego tak mówisz? – Głos miał cichy i płaczliwy.

W odpowiedzi przesunęła w jego stronę list lotniczy. Po czerwono-granatowej obwódce zorientował się, że nadawcą jest Amerykanka – Bela. Bardzo się starał darzyć Belę sympatią, w dzieciństwie woził ją do szkoły i z powrotem, a nawet oddawał jej we władanie swoje biurko, aby mogła odrabiać

lekcje blisko matki. Jednakże dziewczynka pozostawała nadęta i niewdzięczna.

Widząc list od niej, poczuł skurcz żołądka. Wiadomości od Beli – przynajmniej te, które pokazywała mu Sabitri – oznaczały kłopoty. Bipin Bihari nie chciał go czytać. Wszakże Sabitri czekała, a on zdawał sobie sprawę, że jest jedyną osobą, której jego mocodawczyni może pokazać tę korespondencję.

Kochana Mamo!

Z przykrością Cię zawiadamiam, że odwołuję swoją wycieczkę do Indii. Wiem, że bardzo jej wyczekiwałaś, jak również zobaczenia po raz pierwszy Tary. Ja także się na to cieszyłam. Niestety Sandżaj nie chce nas puścić. Wczoraj bardzo się o to pokłóciliśmy. Jego zdaniem podróż byłaby niebezpieczna. Obawia się, że skoro oboje opuściliśmy Indie na podstawie nie do końca legalnych dokumentów, mogłabym zostać zatrzymana, a Tara razem ze mną. Sandżaj boi się też, że pewni ludzie mogliby nas odszukać i skrzywdzić, ponieważ on znajdował się na ich czarnej liście przed wyjazdem. Nie jestem pewna, ile z tego jest prawdą, ale że Sandżaj stawia sprawę na ostrzu noża, postanowiłam nie sprzeczać się więcej o to, przynajmniej na razie. To jedyna rzecz, o jaką mnie prosi, poza tym zaś jest takim dobrym mężem, który zawsze dba o moje potrzeby. Co najważniejsze, jest doskonałym ojcem dla Tary. Pomaga jej w odrabianiu zadań domowych. Trenuje jej drużynę koszykarską, mimo że nie ma na nic czasu. Tara za nim przepada. Zresztą wiesz, jaka jest wrażliwa: kłótnie między nami wywołują u niej choroby. Na przykład po wczorajszej awanturze wymiotowała...

– Ona nigdy nie przyjedzie w odwiedziny, prawda? – zapytała Sabitri.

Po jej tonie Bipin Bihari zorientował się, że choć go pyta, sama zna odpowiedź. Zagotował się z gniewu. Żałował, że nie może zmusić Beli do

złożenia matce wizyty – swoim listem sprawiła, że Sabitri się skurczyła i jakby postarzała. Mimo wszystko zachował milczenie. Okazane współczucie mogłoby Sabitri załamać, a to by ją zawstydziło.

– Ten jej mąż... znienawidził mnie od pierwszego spotkania. I nadal stara się nas rozdzielić. Przez cały czas prowadziłam „Smakołyki Durgi” przez wzgląd na Belę, na wypadek gdyby coś jej się przytrafiło i musiała wrócić, aby zacząć wszystko od nowa. Nie ufam Sandżajowi. Po prostu mu nie ufam. Ale nic z tego nie ma znaczenia. Głęboko zatopił w niej swoje szpony. A od niedawna ma nową broń: Tarę. To biedne, wrażliwe dziecko. Użyje Tary, aby zmusić Belę do robienia tego, co jest po jego myśli...

Nakręcała się, mówiąc coraz głośniej i bardziej niewyraźnie. Sabitri była silną kobietą, jednakże Bela stanowiła jej piętę achillesową. Bipin Bihari musiał jej przerwać, zanim powie przy nim coś, czego będzie potem żałowała.

– Nie sądzę, aby Sandżaj był złem wcielonym – rzekł. – Myślę, że szczerze kocha Belę i Tarę.

Sabitri zmiażdżyła go spojrzeniem. Nieomal słyszał, jak trybiki w jej umyśle wirują, kiedy szuka czegoś odpowiednio podłego do rzucenia mu w twarz. Bipin Bihari skrzyżował ramiona na piersi i popatrzył jej w oczy. Tak naprawdę chciał ją przyciągnąć do siebie i przytulić. Sabitri była wysoka; ciekawe, czy miałyby czoło na wysokości jego ust, tak jak to sobie wyobrażał. Jednakże musiał się zadowolić byciem dla niej opoką, o którą mogła ciskać głazy, roztrzaskując je na niegroźne odłamki.



Lata temu – Bela w tamtych czasach jeszcze studiowała – w środku pewnego deszczowego dnia nadeszła inna wiadomość. List dostarczył nieznajomy. Bipin Bihari odebrał go w progu sklepu i przyniósł Sabitri do tego biurka, Sabitri zaś, rozpoznawszy charakter pisma córki, uśmiechnęła się.

– Pewnie prosi o słodycze – powiedziała. – Domyślam się, że chodzi o sandesz. To jej ulubiony deser. Dziwne, że nie zadzwoniła. Może znowu mamy awarię. Niech Rekha zostanie dłużej, to zanieś pakunek.

– Rekhy tutaj nie ma – powiedział cicho, tak że nikt poza nim nie usłyszał tych słów.

Zresztą okazały się niepotrzebne. Do tej pory Sabitri zdążyła przeczytać list, który składał się tylko z paru linijek, i właśnie przesunęła kartkę w jego stronę. Pismo było krągłe i niewinne jak u dziecka.

Zanim to przeczytasz, będę w drodze do Ameryki, gdzie mam zamiar wyjść za Sandżaja. W Indiach jego życiu groziło niebezpieczeństwo. Dlatego musiał opuścić Kalkutę. A ja nie potrafię bez niego żyć. Wybacz, że nie powiedziałam nic wcześniej, ale wtedy byś mnie zatrzymała.

Sabitri poszarzała na twarzy. Wstając, zachwiała się na nogach.

– Powinam wracać do domu – powiedziała tak niewyraźnie, że musiał się ku niej nachylić, aby ją zrozumieć. – Nie czuję się dobrze. Zajmiesz się wszystkim?

Wyciągnął rękę, aby ją podtrzymać, ale ona zdążyła już się cofnąć.

– Tak – odparł. – Wszystkim się zajmę.

Dotrzymał słowa. Codziennie o szóstej rano otwierał sklep, żeby kucharze mogli rozpalić ogień pod wielkimi piecami, na których następnie gotowali mleko; zwarzone przerabiali zaś na czhenę, a z niej tworzyli większość swoich popisowych smakołyków. Przez cały dzień siedział przy telefonie, zbierając zamówienia na różne ceremonie, takie jak zaręczyny i nadawanie imion dzieciom. Choć nie miał równie gładkiej mowy jak Sabitri, radził sobie całkiem nieźle. Późnym popołudniem, gdy w sklepie robiło się tłoczno – ludzie wracający z pracy zachodzili na świeżo usmażone singary i dżalebi, popijane słodką herbatą

– stawał za ladą. W międzyczasie próbował się uporać z własną pracą, sprawdzał księgi rachunkowe, wydzwaniał do dłużników, planował wydatki i opłacał rachunki. Jeśli ktoś pytał, mówił, że Sabitri złapała paskudną gripę. Był wykończony, zamykając sklep o dziewiątej wieczorem. (Sabitri przechytrzała konkurencję, obsługując te osoby, które smak na słodkości nachodził po zmroku, i do ostatnich minut serwowała chrupkie gawdze czy jedwabiste jogurty).

Po zamknięciu „Smakołyków Durgi” na noc Bipin Bihari jechał autobusem do domu Sabitri, aby sprawdzić, jak się ona miewa. Wcześniej przez cały dzień potrafił myśleć tylko o tym, aby ją zobaczyć. Z tym że właściwie jej nie widywał; drzwi sypialni zastawał zamknięte i nie pomagało nawet pukanie ani wołanie jej imienia. Musiał się więc zadowolić okruchami informacji, które przekazywała mu Rekha. A służąca donosiła o małych zwycięstwach: rani ma wypić dzisiaj szklankę mleka; przepłakała wiele godzin w pokoju Beli Didi, ale wieczorem wzięła kąpiel i zasiadła na balkonie; dziś wieczorem zjadła trochę ryżu. Czasami był tak zmęczony, że zasypiał w połowie zdania, oparty plecami o zamknięte drzwi sypialni Sabitri. Rekha musiała go z przykrością budzić, gdyż nie byłoby właściwe, gdyby mężczyzna spędził noc pod dachem kobiet.

Minęły dwa tygodnie. Gdy pewnego ranka przyszedł otworzyć sklep, stwierdził, że drzwi są uchylone. Sabitri siedziała za biurkiem i przeglądała kalendarz, robiąc notatki. Wydawała się szczuplejsza, a gdy się uśmiechnęła, jej wargi rozszerzyły się ostrożnie, jakby raptowniejszy ruch mógł rozpołować jej twarz. Mimo to Sabitri była pełna energii i spostrzegawcza jak zawsze, tak że wkrótce wszyscy z wyjątkiem Bipina Biharięgo zapomnieli o jej nieobecności.

Sabitri składała i rozkładała list, tworząc z niego coraz mniejsze prostokąty.

– Nie mogę tak dalej – powiedziała, nie patrząc na Bipina Biharięgo. –

Powinam była cię posłuchać już przed wielu laty. Pamiętasz, jak mi radziłeś, żebym sprzedała sklep?

Powinien poczuć szczęście, a przynajmniej satysfakcję. Sabitri rzadko przyznawała się do błędu, jeszcze rzadziej zaś była skłonna przyznać mu rację. Chciał odpowiedzieć: „Jak mógłbym zapomnieć? Człowiek nie zapomina chwili, w której jego życie rozpadło się na kawałki”. Chciał odpowiedzieć: „Nie zostawiaj mnie tu”. Jednakże na to było za późno. Sabitri już odeszła, wirującym pyłem nad wyschniętą rzeką, pędzony silnym wiatrem.

—

1980: Łódź

Pora była późna, w sklepie siedzieli tylko Bipin Bihari i Sabitri. Ostatni sprzedawca zdążył już dawno pójść do domu, opuściwszy kratę na frontową witrynę i przekręciwszy głośno zamek. Bipin Bihari uporał się z pracą na ten dzień i odsunął od siebie księgi rachunkowe. Ponieważ jednak Sabitri nie była wciąż gotowa do wyjścia, czekał. Nie chciał zostawiać jej samej w sklepie nocą.

Tego popołudnia przyjęła największe jak dotąd zamówienie: zorganizowanie obiadu dla trzystu osób z okazji pierwszych urodzin wnuka Mahendry Biswasa. Celem jego złożenia do sklepu pofatygował się sam Mahendra Babu, który przyniósł też zaliczkę – jako człowiek interesu starej daty posługiwał się wyłącznie gotówką. Suma była ogromna, połowa całej należności. Co ważniejsze jednak, mocodawca pozostawił Sabitri wolną rękę, jeśli chodzi o dobór menu. „Ufam pani całkowicie, pani Dasgupta. Proszę pamiętać: nie musi pani na niczym oszczędzać”. To dlatego teraz Sabitri siedziała za biurkiem i żując końcówkę pióra, zapępiała kolejne kartki nazwami ekstrawaganckich potraw, jakich nigdy

nie było jej dane stworzyć, po czym zaraz je wykreślała jako zbyt niepraktyczne. W tym czasie Bipin Bihari usilnie starał się ukrywać ziewnięcia.

Właśnie gdy Sabitri pytała go, co lepiej się nada na główny deser: rasgulla pajesz czy khir, usłyszeli, jak frontowa krata się podnosi. Zanim zdążył pomyśleć, jak to możliwe, w środku pojawiło się trzech mężczyzn. Twarze mieli zasłonięte przez kominiarki z ciemnobrązowej wełny. W dłoniach trzymali pistolety. Bipin Bihari w całym swoim życiu nie widział pistoletu. Nie potrafił oderwać wzroku od błyszczącego metalu, który zdawał się żywym stworzeniem. Kominiarki zasłaniały wszystko z wyjątkiem roziskrzonych oczu i spieczonych warg mężczyzn. Ich przywódca – chudzielec z popsutymi zębami i rozbieganym wzrokiem – kazał Sabitri przynieść pieniądze z sejfu. Gdy podała mu gruby plik banknotów, pogroził jej pistoletem. „Zebrało ci się na gierki, paniusiu?”. Najwyraźniej wiedział o zaliczce Mahendry Biswasa. Bipin Bihari próbował się domyślić, który z pracowników ich wydał, ale miał pustkę w głowie. Sabitri zaczęła błagać przywódcę, aby pozwolił jej zostawić połowę pieniędzy, gdyż w przeciwnym razie będzie zrujnowana. Na to przywódca zwinnym ruchem uniósł broń i wycelował nią w pierś kobiety. Bipin Bihari miał wrażenie, że słyszy szcęk odciąganej kurka. Zalało go przerażenie, które nie pozwoliło mu się ruszyć ze swojego miejsca w kącie. Wtem znalazł się – sam nie wiedząc jak – pomiędzy Sabitri a napastnikiem. Wyciągał przed siebie ręce i coś mamrotał. Przywódca skrzywił się z niesmakiem i skinął na jednego ze swoich ludzi. Na czaszkę Bipina Bihariego spadło coś ciężkiego – najpierw rozbłysło mu w oczach, a potem ściemniało. Zginąłem, pomyślał. Moment później naszała go druga myśl. Okazałem się bezużyteczny, nie zdołałem jej ochronić...



Obudził go ból straszniejszy niż cokolwiek, co mógłby sobie wyobrazić. Dopiero po chwili zrozumiał, że leży na podłodze zaplecza z głową złożoną na stercie ręczników. Obok niego klęczała Sabitri. Owinęła kostki lodu szmatką do

odcedzania i przykładala mu je do skroni, w której Bipinowi wciąż tępo łupało.

– Co z pieniędzmi? – zapytał. Słowa były niewyraźne, ale Sabitri go zrozumiała.

– Powinam była dać im je od razu. Naiwnością z mojej strony było wierzyć, że będą słuchać tego, co mam do powiedzenia. – Zaśmiała się gniewnie. – Zabrali wszystko. – Chyba się skrzywił, bo dodała pośpiesznie: – Nieważne, niczym się nie przejmuj. Na szczęście cię nie postrzelili, tylko ogłuszyli kolbą. Przerwali linię telefoniczną, przez co nie mogłam zadzwonić po karetkę, a nie chciałam cię zostawiać samego i ruszać na poszukiwania działającego telefonu. Tyle dobrego, że przestałeś już krwawić, chociaż ból musi być nadal potężny. Może chcesz parę moich tabletek przeciwbólowych? – Uniosła jego głowę, aby było mu łatwiej przełknąć, po czym poprawiła stertę ręczników. Następnie powiedziała zmieszana: – To, co dla mnie zrobiłeś... To było bardzo bohaterskie.

Nieprzespana noc pozostawiła pod jej oczyma worki, a ostre górne światło nadało jej cerze odcień żółci. Jaka ona piękna... Bipin Bihari wyciągnął rękę.

Przyłożyła ją sobie do policzka. Pod palcami czuł wyschnięte strużki łez.

– I niemądre – dorzuciła po chwili milczenia.

Bipin Bihari zdobył się na wypowiedzenie słowa, które nosił w sobie od dłuższego czasu.

– Miłość.

– Och, Bipinie – szepnęła, przymykając oczy. Rzęsy znów miała mokre; kłuły go w grzbiet dłoni.

– Sprzedaj sklep – wymruczał. – Pobierzmy się. Wyjedźmy stąd. Daleko. Zapomnijmy o wszystkim. – Przed oczyma stanął mu plakat, który widział w witrynie mijanego biura podróży. – Góry Nilgiri...

Znowu zaczęła szeptać. Musiał wyęzgać słuch.

– Jestem wdzięczna za ciebie każdego dnia. Bez twojej pomocy „Smakołyki Durgi” już dawno wypadłyby z rynku. Ale przede wszystkim jesteś moim

przyjacielem, jedynym człowiekiem, z którym potrafię rozmawiać. – Tym razem dosłyszał w jej głosie smutek. – Ja także cię kocham. Ale nie w ten sposób.

Upokorzenie sprawiło, że zacisnął mocno powieki. Jak mógł być aż tak ślepy przez te wszystkie lata? W pomieszczeniu panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu starej lodówki. Betonowa podłoga pod jego plecami była zimna i lepka – od lodu albo od krwi.

– Czy to zepsuje wszystko między nami? – zapytała w końcu. Głos miała niespokojny i nabrzmiały strachem.

Potrząsnął głową, chociaż sprawiło to nieznośny ból. Nigdy, pomyślał, aczkolwiek być może odpowiadał na inne pytanie. Skoncentrował się na wrażeniu dotyku jej policzka pod swoimi opuszkami, miękkości starzejącej się cery, aby zapamiętać to uczucie na nadchodzące lata.

~

1970: Szafran

Sabitrī dostała obsesji na punkcie swego nowego pomysłu, pokazowego deseru, który zamierzała nazwać „Durga Mohan” na cześć swojej matki. Mozoliła się nad nim tygodniami, pracując w kuchni. Zaanektowała jeden piec, spowalniając normalną produkcję i powodując opóźnienia. Do tego terroryzowała personel: domagała się, aby pracownicy kosztowali każdej wersji tworzonych deserów, przyrządzonych z użyciem różnych proporcji purée mangu i cukru, chhany i kardamonu. Nawet gdy byli zachwyceni smakiem, Sabitrī marszczyła brwi nieusatisfakcjonowana. Była perfekcjonistką. Zdaniem Bipina Bihariego jedyne, co ją broniło, to że wobec samej siebie była bardziej surowa niż wobec innych. Wyrzucała partię po partii, marszcząc nos i twierdząc, że coś jest nie tak.

Minionego tygodnia dwukrotnie zatelefonowała Bela (która kończyła szkołę średnią i przygotowywała się do egzaminów), prosząc matkę, aby wróciła i pomogła jej z zadaniem domowym. A Sabitri, choć każdorazowo przytakiwała, w ciągu paru minut o wszystkim zapomniała. Kiedy Bipin Bihari poruszył ten temat, sugerując, że córka potrzebuje Sabitri bardziej, niż Kalkuta potrzebuje jej nowego deseru, w odpowiedzi poprosiła, aby raczył zachować swoje opinie dla siebie.

Obecnie było późne popołudnie, kiedy to w sklepie panował mniejszy ruch. Pracownicy w większości byli na przerwie obiadowej. Bipin Bihari, który miał w zwyczaju przynosić dabbę do pracy, posiłkował się przy kasie: jadł pełnoziarniste roti z curry ziemniaczano-dyniowym, które przyrządził sobie wieczorem. W pojemniku znajdowało się więcej jedzenia niż trzeba dla jednej osoby. Zdarzało się, że niekiedy Sabitri pytała go, co przyniósł, a jemu udawało się ją namówić na wspólny posiłek. „Dobry kucharz z ciebie”, mawiała każdorazowo, jakby zdziwiona. Dziś jednak była nie w humorze. Bipin Bihari słyszał, jak tłucze się w kuchni, przeklinając w złości. Ale w końcu hałasy umilkły, a w powietrzu rozszedł się zapach gotowanego cukru.

– Bipinie! – zawołała jakiś czas później. – Chodź tu szybko!

Humor jej się poprawił; głos miała radosny i nieokiełznany niczym jeszcze nieschwytana w sidła majna. Bipin Bihari natychmiast pomyślał, że to niewłaściwe porównanie. Sabitri była za pan brat z nieszczęściem. Wskutek choroby straciła synka w Asamie. Jej mąż zginął w pożarze rafinerii, który, jak mówiono, został zapoczątkowany przez członków związków zawodowych. Potem musiała toczyć długi i nieprzyjemny bój z firmowymi prawnikami o odszkodowanie. Aczkolwiek Bipin Bihari nic z tego nie usłyszał bezpośrednio od niej. W Kalkucie można dowiedzieć się wszystkiego o każdym, gdy człowiekowi na tym zależy.

Gdy Bipin Bihari znalazł się w kuchni, Sabitri trzymała w ręku talerz z deserem.

– Czyż nie jest wspaniały? – zapytała.

Trzeba przyznać, że deser prezentował się doskonale: uformowany w kształt małego owocu mango odcinał się od białej porcelany barwą bledziutkiego różu.

– Tak – odparł rozkojarzony Bipin Bihari. Jej wygląd: zaczerwieniona twarz, wilgotne kosmyki włosów przyklejone do czoła... wszystko to przeniosło go myślami do dnia ich pierwszego spotkania. Czy to możliwe, że było to pięć lat temu?

– Wypróbowałam nową metodę – oznajmiła. – Skosztuj i powiedz, co myślisz. Tylko szczerze!

Oderwała kawałek smakołyku i włożyła Bipinowi Bihariemu do ust, po czym sama zjadła resztę.

To muśnięcie jej palców o jego wargi. Ten zapach kobiecego potu, nie do pomylenia z niczym innym. Bipin Bihari poczuł, że odjęło mu mowę. Tymczasem smakołyk rozpuszczał się powoli na jego języku. Smak miał idealny.

– No i? – Sabitri przyjrzała mu się z niepokojem.

– Utrafiłaś w sedno – powiedział.

– Też tak uważam! – wykrzyknęła, splatając dłonie. – To pewnie dzięki szafranowi, którego dodałam na koniec. Och, Bipinie, jestem taka szczęśliwa jak nigdy!

– Ja również – powiedział. Nie była to jednak do końca prawda.

1965: Parasol

Była ubrana we wdowie białe sari, którego nie zdołała nawet największa lamówka. Z okazji tego spotkania włosy upięła w ciasny kok, pragnąc nadać

sobie poważny, wręcz surowy wygląd, jednakże wymknęło jej się kilka niesfornych kosmyków. Tańczyły teraz w strudze powietrza z wentylatora. Po żyłce pulsującej jej na szyi zorientował się, że nie ma w tym wielkiego doświadczenia i musi się bardzo starać. Ta konstatacja go zraniła.

Sabitri (aczkolwiek wtedy jeszcze nie myślał o niej w ten sposób) przesunęła jego podanie na poplamionym blacie herbaciarni, w której umówili się na rozmowę kwalifikacyjną.

– Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że ma pan zbyt wysokie kwalifikacje. Ktoś taki jak pan, legitymujący się dyplomem najlepszej kalkuckiej uczelni, bez trudu dostanie pracę w jednej z dużych firm.

Poczuł ukłucie winy. Zaledwie dziś rano otrzymał odpowiedź od Philips International, gdzie był na rozmowie kwalifikacyjnej w minionym tygodniu. Zaproponowano mu stanowisko zastępcy dyrektora handlowego w kalkuckiej centrali. Widząc wysokość pensji, aż zamrugał oczyma ze zdziwienia. Zamierzał zatelefonować tam nazajutrz i przyjąć ofertę.

– Czemu w ogóle odpowiedział pan na moje ogłoszenie? Przecież szukam kierownika do małego sklepu ze słodyczami, który nawet jeszcze nie został otwarty.

Bipin Bihari wśród przyjaciół był znany ze swojej błyskotliwości. Tymczasem w obecności tej kobiety z jakiegoś powodu zapomniał języka w gębie. To dziwne, bo nie była nawet ładna: miała zbyt ostry podbródek i szparę między zębami.

Sabitri zmrużyła oczy.

– Przyszedł pan na mnie popatrzeć? Na młodą wdowę, która pozwała kompanię naftową i wygrała? O to chodzi, prawda? Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami.

Nie mógł zaprzeczyć. Wiadomości na temat jej sprawy rozchodziły się po mieście szerokim echem, a kilka tygodni temu jej nazwisko trafiło do gazety

razem ze zdjęciem, na którym trzyma za ramiona szczupłą, poważną dziewczynkę. Fotograf uchwycił ją z korzystnego profilu. Paru przyjaciół Bipina Bihariego, zwyczajem młodzików, zauważyło ze śmiechem jej ponętne kształty i namiętne oczy. Padło kilka nieprzyzwoitych żartów. Żaden nie wyszedł z ust Bipina Bihariego, który jednak poczuł się zaintrygowany. Szukając pracy, spostrzegł jej ogłoszenie w gazecie, rozpoznał nazwisko i zatoczył wokół niego czerwone kółko. Tak znalazł się tutaj.

Sabitri rzuciła kilka rupii na stół, przy którym pili herbatę, i zerwała się z miejsca, płonąca z gniewu. Była przy drzwiach, zanim Bipin Bihari zdążył zareagować. Musiał rzucić się do biegu, aby ją dogonić.

– Proszę – powiedział, rozpaczliwie pragnąc ją zatrzymać. – Zależy mi na tej pracy.

Te słowa go zdumiały, gdyż nie zamierzał niczego takiego mówić.

– Dlaczego? – Spoglądała na niego nieufnie.

Nie miał na to odpowiedzi – on, zazwyczaj taki pragmatyczny. Jakaś jego część zabrała się do robienia mu wyrzutów. Ty w gorącej wodzie kąpany głupku!... Aby ją udobruchać, obiecał sobie, że to tylko na miesiąc. Jego przyjaciele wybierali się w góry, aby uczcić ukończenie studiów. Tym właśnie dla niego będzie ta praca. Przygodą. Po miesiącu odejdzie i wróci do swego normalnego życia.

Wierzył w to pomimo groźnej zmiany, która już w nim zachodziła. Wybuchnęła gorzkim śmiechem.

– Pewnie myśli pan, że będę dużo płacić. To niemożliwe. Większość pieniędzy wydałam na prawników.

– Nic nie szkodzi – odparł. I dodał przemyślnie, aby nie domyśliła się jego planów: – Oczywiście będę się spodziewał podwyżki, jeśli uda mi się rozkręcić interes.

– Umowa stoi – powiedziała, wyciągając rękę. Wymieniając z nią uścisk

dłoni, zdziwił się jej siłą i wytwornością. – Aczkolwiek nie sądzę, aby został pan u mnie wystarczająco długo.

Uśmiechnął się, nie wychodząc z roli.

– I tu panią zaskoczę.

Ten uścisk dłoni go rozproszył. Gdzie Bengalka odziana we wdowią biel nauczyła się tak ścisnąć rękę? Była to tajemnica warta odkrycia.

Przeszli razem na przystanek autobusowy. Sabitri porzuciła maskę i zaczęła mu opowiadać o swych marzeniach związanych ze sklepem. Zamierzała nazwać go po matce, która zmarła przed dwoma laty.

– Była najzdolniejszą kucharką, jaką znałam, a przy tym najpracowitszą osobą. W całym swoim życiu nie miała jednego dnia wolnego. Niestety nigdy nie spotkała się z zasłużonym uznaniem.

Bipin Bihari z ukłuciem żalu pomyślał o swojej matce. Odmawiała sobie wszystkiego latami, aby on mógł odebrać należytą edukację. „Jesteś moim skarbem”, mawiała. „Tylko poczekaj, aż znajdę pracę”, obiecywał. „Spełnię wszystkie twoje zachcianki”.

Teraz Sabitri powiedziała:

– Zmarła w Asamie. Nie było mnie przy niej, bo miałam masę własnych problemów. Ale zakładając sklep „Smakołyki Durgi”, rozślawię jej imię na całą Kalkutę. Pan mi w tym pomoże, dobrze? O, numer siedemdziesiąt pięć! To mój autobus...

Pojazd zbliżał się do nich chwiejnie, dysząc spalinami i uginając się od pasażerów. Bipin Bihari uniósł rękę, aby go zatrzymać. Następnie ustawił się za plecami Sabitri, blokując dostęp do drzwi innym pasażerom. Ignorował ich gniewne uwagi, byle Sabitri wsiadła do środka niepopychana.

Nie zauważył nawet, że niebo zdążyło poczernieć. Zaczął padać deszcz; grube krople przyciemniały mu błękit niebieskiej koszuli.

– Niech pan weźmie mój parasol! – zakrzyknęła Sabitri przez okno i choć

odmówił, rzuciła mu parasolkę. – Do zobaczenia jutro!

Otworzył parasol i chwycił wygiętą rączkę, którą ona musiała trzymać setki razy. Parasolka była damska, za mała dla niego. Deszcz padał coraz mocniej. Przemokły mu nowe skórzane buty, które kupił z myślą o rozmowach kwalifikacyjnych, mimo że nie mógł sobie na nie pozwolić. Wiedział, że powinien się przejąć, a jednak nie potrafił. „Do zobaczenia jutro!”... Cóż za wspaniały zwrot. W powietrzu czuł zapach kwiatów kadamby, przypominający nieco woń melasy, a także (jak mu się zdawało) zakamarków kobiecego ciała. Klucząc między kałużami, zmierzał w stronę małego mieszkania, gdzie mieszkał razem z rodzicami i dwiema siostrami. Idąc, nucił melodię z najnowszego filmu. *Gata Rahe Mera Dil, Tu Hi Meri Manzil*. Ty, moje przeznaczenie. Wielkodusznie wyobrażał sobie, że zaprzyjaźnia się z poważną dziewczynką ze zdjęcia i zabiera ją, powiedzmy, do zoo. Sabitri byłaby z tego zadowolona.

Był nieświadom kłopotów czekających go pojutrze: kłótni z rodzicami, którzy nie rozumieli, czemu wybrał gorszą ofertę pracy, i byli przekonani, że wdowa zastosowała wobec niego czarną magię. Po szczególnie przykryj awanturze przeniósł się do hoteliku. Od tej pory jego rodzice nie odbierali od niego telefonów. Listy, ze starannie złożonymi czekami w środku, wracały do nadawcy nieotwarte. Ale jakżeby mógł porzucić Sabitri? Och, ta otwarta rana, powstała, gdy miłość ciągnie nieubłaganie w przeciwną stronę. Siostry nie zaprosiły go na swoje skromne śluby. O śmierci matki dowiedział się od dalekiego krewnego.

Na razie jednak szedł w ulewie ze śpiewem na ustach. Przemoczone i ubłocone nogawki spodni trzepotały mu wokół łydek. Serce prężyło mu się w mrocznej kawernie piersi niczym dzikie morskie stworzenie. Tak, to było szczęście. Błyskawica podświetlająca od spodu brzuchy chmur. Ptaszki przycupnięte na gałęzi kadamby i siejące żółty pyłek przy każdym ruchu skrzydeł. Miękka spodnia część ramienia Sabitri, gdy rzucała mu parasol... Bipin

Bihari postanowił, że po powrocie do domu poprosi matkę, aby przyrządziła mu talerz chrupkiej smażonej cebulowej pakory.





Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby: 1973

Gdy Bela przybyła do Stanów Zjednoczonych w wieku dziewiętnastu lat, legitymując się dokumentami, które fałszywie zapewniały, że jest turystką, знаła tylko jedną osobę w całym kraju: Sandzaja. W tym czasie nie był jeszcze jej mężem; zamierzała się pobrać, jak tylko Bela dotrze na miejsce. Szalała za nim – jak inaczej wytłumaczyć ten rozpaczliwy krok, na który się zdobyła? Ale chyba nie ufała mu do końca, w każdym razie gdy jej samolot wylądował w San Francisco, dłonie miała wilgotne od potu. Dokąd pójdzie, jeśli nie będzie na nią czekał w hali przylotów? Jednakże stał tam, po drugiej stronie mlecznych drzwi. Był szczuplejszy, niż go zapamiętała, a także pozbył się niechlujnej studenckiej brody na rzecz schludnego, poważnie wyglądającego węża – który jak jej później powiedział, zapuścił, aby Amerykanie nareszcie zaczęli go brać na serio. Sandzaj wydawał się równie niespokojny jak ona. Zastanowiło ją, że i on miał swoje wątpliwości. Czy naprawdę zostawiła dla niego wszystko, co знаła? Rzuciła studia? Odcięła się od matki? (Ta rana nigdy

się nie zagoi z powodu tego, jaką osobą była jej matka).

Bela sądziła, że wie, czym jest miłość, jednakże gdy zobaczyła Sandżaja na lotnisku po długiej, półtroczej rozłące, poczuła, jak serce w jej piersi skacze gwałtownie, zupełnie jakby chciało mu wybiec na spotkanie. To miłość, pomyślała. To musi być miłość. Była to jednak tylko część prawdy. Na przestrzeni kolejnych lat odkryła, że miłość przejawia się na wiele różnych sposobów i że czasem bywa bardzo bolesna. W każdym razie tamtego dnia na lotnisku ów ucisk w piersi sprawił, że zapomniała o wózku z bagażami i pognąła przez tłum prosto do Sandżaja. Objęła go ramionami, jak nie mogłaby tego zrobić w Kalkucie, i pocałowała go w usta. Nikt nie zagwizdał. Nikt nie poczuł się urażony, nikt im nie przeszkodził, nikt nawet nie zwrócił uwagi, jeśli nie liczyć pewnego staruszka, który posłał im melancholijny uśmiech.

Odzyskawszy oddech, Bela powiedziała:

– Chyba będę szczęśliwa w Ameryce.

Uśmiechając się, Sandżaj odpowiedział:

– Na pewno będziesz.

Tymczasem Bela zorientowała się, że się pomyliła. Ktoś jednak patrzył, jak się całują. Gdy w końcu oderwała się od Sandżaja, zobaczyła wysokiego, muskularnego mężczyznę z eleganckim wąsem (później niejednokrotnie się zastanawiała, czy Sandżaj go celowo zmałpował). W porównaniu z nim Sandżaj wydał jej się młodym i niedoświadczonym chłopcem. Wcześniej Bela nigdy nie myślała o swoim chłopaku w ten sposób. W Kalkucie był przywódcą studenckiej partii, powszechnie poważanym i respektowanym. Na widok jego nowego amerykańskiego awatara poczuła się nieswojo.

Mężczyzna przyglądał się ich powitaniu z lekko sardonycznym wyrazem twarzy. Po wszystkim powiedział:

– Szonu, leć po bagaż, zanim ktoś go ukradnie.

Sandżaj uśmiechnął się zawstydzony i pokiwał głupkowato głową.

– Oczywiście, Biszu-da.

Nagle Bela uświadomiła sobie, że wie, kto to jest. Biszwanath Bhaduri, przyjaciel Sandżaja z lat dziecińczych, jego sąsiad i mentor, a także zbawca ich obojga. Zaczerwieniła się, zdawszy sobie sprawę, że na początek pokazała mu swą szaloną twarz.

Tymczasem Biszu włożył jej torby do bagażnika swojego samochodu.

– Lekko podróżujesz – powiedział.

Bela ponownie się zarumieniła, nie wiedząc, czy to komplement czy wymówka. Musiała się pakować w pośpiechu; trudno było znaleźć chwilę, gdy w domu nie byłoby ani matki, ani służącej. Wrzuciła więc parę sztuk salwar kamizów i sari, kilka swetrów i kostium taneczny, chociaż nie sądziła, aby miała go kiedykolwiek użyć w Ameryce. W ostatniej chwili, gdy taksówkarz na dole trąbił na nią, by się pośpieszyła, porwała jeszcze z komody w salonie album z rodzinnymi zdjęciami. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia, ponieważ album właściwie nie był jej. W tej chwili pożałowała, że zapomniała spakować prezenty – chociaż parę paczek ulubionego przez Sandżaja dalmutu.

Zajęła miejsce z tyłu. Obydwaj namawiali ją, aby usiadła z przodu, ona jednak czuła się wciąż zażenowana. Musiała opatulić się skrajem sari. Nie miała pojęcia, że w Kalifornii będzie tak zimno. Na lotnisku była zbytnio zaferowana, żeby zwracać uwagę na otoczenie, ale teraz nie mogła oderwać oczu od okna. Chciała się napatrzeć na Amerykę. Niestety jechali pogrążoną w ciemnościach autostradą, na której nie było widać nic poza wygiętymi latarniami, które pojawiały się zniemacka, jakby urwały się z planu filmu science fiction, po czym równie szybko znikaly. Mężczyźni rozmawiali o pracy – Biszu upominał Sandżaja, że ten zbyt łatwo ufa ludziom. Bela usiłowała walczyć ze snem, jednakże zmiana czasu zrobiła swoje. Rozmowa zesza na bengalską politykę i policję, a tony głosu obu mężczyzn stały się podenerwowane. Bela starała się je wyciszyć i wtem pomyślała, że słyszy okrzyk matki.

Do tej pory Sabitri musiała już dostać wiadomość od niej, tę, którą Bela przekazała przyjacielowi Biszu w Kalkucie, temu samemu, co pomógł jej zdobyć paszport i bilet. Na pewno ogarnął ją wielki gniew. Bela obawiała się, co zrobi jej matka – sobie albo przyjacielowi Biszu. Poleciała mężczyźnie dostarczyć wiadomość do sklepu, aby Sabitri musiała się kontrolować w obliczu pracowników. „Przeznacz ją Bipinowi Bihariemu, kierownikowi, a potem szybko się oddal”. Bipin Bihari, który pracował w sklepie od dnia jego otwarcia, był zausznikiem sabitri, kimś w rodzaju zaufanego przyjaciela. W dzieciństwie Bela była zazdrosna o to, że jej matka spędza więcej czasu z tym mężczyzną niż z nią, i odrzucała wszelkie jego próby nawiązania bliższej przyjaźni: zaproszenia na lody czy do cyrku. Teraz jednak była wdzięczna za jego obecność. Ktoś o jego charakterze zdoła zaradzić sytuacji kryzysowej.

Bela wyobraziła sobie minę matki po otwarciu listu. Sabitri z pewnością wyprostowała się na całą swoją wysokość – a nie należała do niskich kobiet – i ściągnęła usta w ciup, aby zapobiec drżeniu warg. Być może musiała powstrzymać się siłą, aby nie zmiąć kartki i nie wyrzucić jej na kupę śmieci przed sklepem. Złożyła ją starannie i umieściła w steranej brązowej torebce, którą nosiła, odkąd Bela pamiętała, następnie zaś jakby nigdy nic wróciła do pracy. Zaczęła omawiać zamówienia z Bipinem Biharim lub doradzać klientom. „Kalafiorowe singary dobrze smakują z rasgullami”. Bądź „Do malpuy powinniście zamówić dal puri i curry ziemniaczane, pasują do siebie doskonale”.

Co jednak zrobi po powrocie do domu? Zacznie płakać? Bela nie miała co do tego pewności. W całym swoim życiu nie widziała płaczącej Sabitri, nawet wtedy, gdy jej braciszek Harsza zmarł na dengę w wieku dwóch lat. Po kremacji, gdy Bela i Sabitri wróciły do domu – ojciec odszedł kilka miesięcy wcześniej, ginąc niespodziewanie w tym strasznym pożarze – Sabitri udała się do dziecięcej sypialni i położyła się na łóżeczku Harszy, które było tak małe, że nogi jej zwisały na zewnątrz. Leżąc, wpatrywała się tępo w sufit. Kiedy córka próbowała

ją pocieszyć, nie reagowała, aż w końcu pojawiła się Ajah, aby zabrać Belę. Tymczasem teraz, w Ameryce, gdy nawiedzał ją sen, Bela nieoczekiwanie ujrzała pod powiekami pewien obraz, który będzie ją nachodził wielokrotnie w następnych latach, mimo że uparcie się przekonywała, iż powstał w jej wyobraźni. Sabitri leży na podłodze zagraconego kalkuckiego mieszkania i trzyma głowę przyciśniętą do podłokietnika beżowego aksamitnego fotela, który upodobała sobie Bela (zaledwie przed dwoma dniami Bela siedziała na nim skulona), płacząc i mocząc materiał wylanymi łzami.



Choć od ślubu upłynęły trzy lata, Belę nadal przechodził dreszcz przyjemności, ilekroć słyszała, że Sandżaj skrobie kluczem w zamku. I to bez względu na to, jak bardzo była zmęczona. A na ogół zmęczenie było powalające z powodu długich godzin, jakie spędzała w żłobku. Nienawidziła swojej pracy, nienawidziła ciągłego zmieniania pieluch i wycierania wymiocin, a także cierpiących na kolkę niemowląt, które darły się wniebogłosy, ledwie się je włożyło do łóżeczka. Niestety było to jedyne miejsce, w którym chciano zatrudnić kobietę taką jak ona: bez zawodu, bez doświadczenia, na samym dole łańcucha pokarmowego. Do tego dochodziły prace domowe. Trzeba było dźwigać zakupy ze sklepu mieszczącego się trzy przecznice dalej. Znieść brudną bieliznę do łazienki na dole, gdzie stała pralka. Wnieść pranie na górę i rozwiesić na sznurze. Zamieść i przetrzeć kostropate linoleum, które nie chciało wyglądać czysto bez względu na jej starania. No i na koniec gotowanie, które zabierało jej mnóstwo czasu, gdyż Bela – podobnie jak matka – była perfekcjonistką, chociaż niechętnie się do tego przyznawała. Gardziła amerykańskim jedzeniem i z dumą przyrządzała od podstaw pikantne rybne curry czy ziemniaki z pancz phoron i całymi czerwonymi papryczkami.

Sandżaj także był zmęczony po całym dniu pracy. Zaraz po przyjeździe do Ameryki miał się słabo płatnych zajęć, aby móc wieczorami studiować. Jako że

w Indiach nie zrobił dyplomu, musiał zaczynać od zera. Tym razem wybrał informatykę i dopiero niedawno znalazł pracę jako programista. Z początku Bela była zachwycona tym sukcesem, wkrótce jednak zrozumiała, że sytuacja daleka jest od idealnej. Gospodarka pikowała, pracodawca groził zwolnieniami. Sandżaj musiał pracować o nieludzkich porach, poza tym brał nadgodziny, aby mieli z czego odkładać. Bela czasami odnosiła wrażenie, że prawie w ogóle się nie widują. Mimo to Sandżaj zawsze zachowywał się tak samo po powrocie do domu. Odstawiał teczkę przy drzwiach, zdejmował marynarkę i zaczynał śpiewać którąś ze swoich ulubionych filmowych piosenek z czasów studiów: *Je Śjam Mastani* albo *Pal Bhar Ke Lije*. Otwierał szeroko ramiona, a Bela w nie wpadała i choć śmiała się, bo takie to było niemądre, w duchu dziękowała bóstwu, które ich połączyło.

Spotkali się na studiach. Ona była na pierwszym roku historii sztuki, on na ostatnim chemii. Co ważniejsze, Sandżaj przewodniczył studenckiej partii komunistycznej. Zakochała się w nim w pierwszym tygodniu, stojąc na tyłach tłumy i razem z innymi przysłuchując się jego wicherzycielskiej retoryce. W podziw ją wprowadziło, z jaką łatwością cytuje poezję rewolucyjną. „Prijo ful khelibar din noi adja / Dhangszer mukhomukhi amra”. Powtarzała z rewerencją i zachwytem: „Najdroższa, dziś nie pora na kwiaty / Dzisiaj, razem, stoimy w obliczu katastrofy”. Bela stała nadal, gdy wszyscy już wyszli, zaczarowana jego słowami, dopóki nie zszedł z podwyższenia i nie zapytał, jak ma na imię.

– Co sprawiło, że się we mnie zakochałeś? – dopytywała później. – Byłam taka zwyczajna.

– Zachwyt w twoich oczach. Dzięki niemu uwierzyłem, że jestem zdolny do wielkich rzeczy. A zresztą wcale nie byłaś zwyczajna. Nie pamiętasz, że brałaś udział w konkursie tańca i zdobyłaś pierwszą nagrodę?

Kiedy Bela opowiedziała o Sandżaju swojej matce, rozpętała się między nimi kłótnia, jakiej nie pamiętały, chociaż kłóciły się regularnie i często. Mimo to Bela

przyproceedziła Sandżaja do domu, licząc na to, że matkę przekona ten jego urok pełen pewności siebie. Niestety tak się nie stało.

– Dla ciebie Bela to tylko przelotny romans, tak samo jak polityka – powiedziała mu Sabitri. – Niebawem osiadziesz w pogardzanej teraz pracy burżuja i ożenisz się z ładną żonką, którą wybiorą ci rodzice. A moja Bela zostanie ze złamanym sercem i zrujnowaną reputacją.

Sandżaj opuścił ich mieszkanie, trzaskając drzwiami. Cały dzień trwało, zanim Bela go udobruchała przeprosinami i zapewnieniami. Nigdy jednak nie zapomniał Sabitri tego, co powiedziała, a szczególnie jej uwagi na temat jego rodziców. Bela zrozumiała dlaczego, kiedy dowiedziała się więcej o dzieciństwie Sandżaja.

Gdy Bela oświadczyła matce, że kocha Sandżaja, Sabitri odparła, że jest zbyt młoda, aby móc się rozeznać w swoich uczuciach.

– Będziesz żałować przez całe życie, jeśli zwiążesz się z kimś za szybko – przestrzegala.

Gdy Bela poinformowała matkę, że Sandżaj chce się z nią ożenić, jak tylko zdobędzie dyplom i znajdzie pracę – co nie będzie trudne, gdyż chemicy byli rozchwytywani – Sabitri zaczęła błagać córkę:

– Najpierw skończ studia. Powinnaś myśleć na razie wyłącznie o nauce. Naprawdę chcesz być uzależniona od mężczyzny pod każdym względem? Wierz mi, wiem, jak to jest.

Gdy Bela upierała się przy swoim, Sabitri starała się wykazać, że partia komunistyczna ma wielu wrogów i że Sandżaj igra z ogniem. Jeden jego zły krok i wpadnie w kłopoty, może nawet zginie. Czy naprawdę chciała wiązać się z kimś takim?

Bela odparła, że Sabitri jest paranoiczką. A co do zależności od Sandżaja, nie przeszkadza jej to, ponieważ go kocha.

– Miłość! – Sabitri zaśmiała się krótko, niewesoło. Następnie oznajmiła: –

Skoro odmawiasz wysłuchania głosu rozsądku, zabraniam ci się z nim spotykać.

– Terroryzowałaś mnie przez całe życie, ale tym razem ci na to nie pozwolę!

– Jeszcze zobaczymy – odparła Sabitri. I zaczęła płacić nocnemu dozorczy, żeby odprowadzał Belę na uczelnię i z powrotem. „Czekaj na nią przed salą wykładową. Pilnuj, by Bela Didi nie rozmawiała z żadnym mężczyzną”.

– Znienawidzę cię na zawsze – groziła Bela.

– Tylko do czasu, aż sama będziesz mieć nastoletnią córkę – stwierdziła Sabitri.

Nie wiedziała, że dzięki miłości Bela stała się bardziej pomysłowa i że w porze obiadu wymyka się do biblioteki, gdzie już czekał na nią Sandżaj.

Z dnia na dzień, zupełnie jakby wszechświat był w zмовie z Sabitri, klimat polityczny w Kalkucie się pogorszył. Naksalici, mało znana grupa militarna, zyskali na znaczeniu. Doszło do eskalacji zachowań, podkładania bomb, starć z policją, w których wyniku ucierpieli liczni młodzi ludzie. O wzrost agresji winiono partię komunistyczną. Upadł rząd koalicyjny. Zamknięto uczelnie, odroczone egzaminy. Pośród tego wszystkiego zniknął Sandżaj. Czyżby został ranny? Zabity? Nie odzywał się do Beli, która szalała coraz bardziej.

Jedno trzeba oddać Sabitri: robiła, co mogła, aby pocieszyć córkę, i nie powiedziała: „A nie mówiłam?”. Wysyłała ludzi na komisariat i do dzielnicy Sandżaja, żeby się dowiedzieć, co mu się przytrafiło. Na pewien czas wynajęła nawet prywatnego detektywa. Nic to jednak nie dało.

Pewnego popołudnia Bela siedziała niespokojnie na beżowym fotelu w salonie. Od tygodnia nie wychodziła z domu. Dokąd mogłaby pójść, nawet gdyby znalazła niezbędną energię, skoro uczelnia została zamknięta? Była w domu sama, ponieważ Sabitri przebywała w pracy, gdyż – bez względu na sytuację – Bengalczyki muszą dostawać swoje słodczyce. Wychodząc, zapytała, czyby córka nie poszła razem z nią. Jednakże choć Bela lubiła wizyty w sklepie, pachnącym zawsze czekoladowym sandeszem, tym razem tylko pokręciła głową,

zbyt przybita, aby się odezwać. Nie kąpała się drugą dobę ani nie przebierała; śniadanie tylko podziobała, nic nie jedząc. Kiedy zadzwonił telefon, niemalże go zignorowała.

Na szczęście jednak w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Albowiem dzwonił Sandżaj. Podczas gdy ona szlochała z ulgi i żalu, on szeptał przeprosiny za tak długie milczenie. Jego życie było zagrożone. Musiał zejść do podziemia. Szukała go policja, a także pewni członkowie grupy naksalitów. Obserwowali dom – i jego, i zapewne jej. Nawet jej telefon mógł być na podsłuchu. Właśnie dlatego nie śmiał się kontaktować wcześniej. Teraz wyjeżdżał do Ameryki, już był przy lotniskowej bramce, dzięki czemu jego wrogowie nie mogli go osiągnąć. Za parę minut miał wsiąść do samolotu. Tak, opuszczał Indie bez dyplomu. Jaki miał wybór? Cieszył się, że udało mu się unieść cało głowę!

Kiedy Bela rozplakała się, myśląc, że już nigdy go nie zobaczy, głos Sandżaja stał się chropawy od wstrzymywanych łez.

– Nie płacz – poprosił. – Kocham cię. Poślę po ciebie, jak tylko będę mógł. Masz moje słowo. Spisałem wszystko, co powinnaś tymczasem robić. Jutro rano o dziesiątej idź do sklepu swojej matki. Po drodze ktoś ci przekaże list.

I rzeczywiście, nazajutrz gdy wysiadała z autobusu w pobliżu „Smakołyków Durgi”, niechlujny młodzieniec wcisnął jej w dłoń zmiętą kartkę. Bela dowiedziała się, że Biszu, przyjaciel Sandżaja, obecnie pracujący w Ameryce i mający tam koneksje, zdołał załatwić mu fałszywe dokumenty. W przyszłości zrobi to samo dla niej. Kiedy bilet i papiery będą gotowe, ten sam młodzieniec, który wręczył jej list, zadzwoni do niej. Na razie jednak Bela musi udawać, że wybiła sobie Sandżaja z głowy, i postępować, jak każe jej matka.

Bela wierzyła Sandżajowi, ponieważ alternatywa była nie do zniesienia. Zgodnie z jego instrukcjami co dzień rano wkładała starannie wyprasowane sari i zdobiła czoło bindi. Gdy uczelnia znowu otworzyła swoje podwoje, Bela nie narzekała na towarzystwo dozorczy. Sabitri sugerowała delikatnie, że córka

powinna zapomnieć o zaginionym Sandżaju i żyć dalej, a Bela nie oponowała. Pozwoliła, aby Sabitri zabrała ją w dzień urodzin do restauracji, na co zwyczajnie nie było ich stać, i dała się podjąć bezami z bitą śmietaną. Kilka miesięcy później Sabitri zapytała, czy córka zgodzi się na aranżowane małżeństwo – oczywiście z mężczyzną, który pozwoli jej dokończyć studia. Bela protestowała cicho, lecz w końcu się poddała. Siedziała potulnie podczas spotkań z kandydatami, uśmiechając się i równocześnie powtarzając w głowie jak mantrę: „Tylko mnie nie wybierz, tylko mnie nie wybierz”. Być może to zadziałało, gdyż z małżeństwa nic nie wyszło. Wieczorami masowała matce nogi gliceryną, ponieważ Sabitri dostawała skurczy od stania w sklepie przez cały dzień. Nie udawała przy tym troski. W ten sposób przepraszała matkę, którą kochała bardziej niż kogokolwiek, nie licząc Sandżaja, za mającą nastąpić zdradę.



Dziś wieczorem, gdy Sandżaj wrócił do domu, zabrakło śpiewania i tańczenia, ponieważ był z nim Biszu, cały zasapany od wchodzenia po schodach. (Winda znowu nie działała). Biszu dorobił się przez lata wydatnego brzuszka, jeśli niewiele więcej. Od roku, odkąd został zwolniony z firmy inżynierskiej, miał się różnych zajęć. Niedawno Sandżaj powiedział Beli, że żona Biszu, biała kobieta, którą poznał w biurze przed paroma laty, złożyła pozew o rozwód. „Kazała mu się wyprowadzić z domu”, dodał zagniewany Sandżaj. Nie zdradził nic więcej, a Bela – choć ciekawa – wolała nie dopytywać.

Biszu był ciemniem w ich związku od samego początku. Sandżaj często upominał Belę za to, że nie jest wobec niego tak serdeczna, jak powinna.

– Mówiłem ci, wychowywałem się jako sierota w domu wuja, gdzie nikt o mnie nie dbał. Przez całe dzieciństwo Biszu-da był dla mnie kimś więcej niż brat. Pomagał mi w nauce, starał się, abym brał udział w zabawach, a nawet raz, gdy byłem ciężko chory, sprowadził lekarza. Gdyby Biszu-da nie zwrócił się do paru osób o przysługę, kiedy popadłem w kłopoty, gdyby nie zaciągnął

wysokiej pożyczki, aby ktoś w Indiach załatwił mnie, a potem też tobie fałszywe dokumenty, żadne z nas nie mieszkałoby teraz w Ameryce. W gruncie rzeczy ja byłbym martwy.

Bela wiedziała, że to prawda. I była wdzięczna Biszu, naprawdę. Ale nie potrafiła znieść, że wpada na obiad niezapowiedziany, ilekroć przyjdzie mu ochota.

– Mmm, Bela, porządne, prawdziwe bengalskie jedzenie – mówił, bekając po sotym posiłku. – Ta smażona ryba była doskonała. Ale curry kalafiorowemu przydałoby się trochę więcej kolendry.

Nie podobało jej się także, że Biszu wciąż udziela Sandżajowi rad odnośnie do pracy, mimo że to Sandżaj obecnie zarabiał więcej od niego. Nienawidziła tego, że jej mąż – normalnie zaradny (zaledwie przed tygodniem wywalczył, aby sąsiad opuścił ich miejsce parkingowe, zajęte bezprawnie) – cofał się do poziomu bezradnego nastolatka. „Tak, Biszu-da, masz rację, Biszu-da, powinienem uważać na to, co mówię do przełożonych”.

Tego wieczoru, ledwie odzyskał oddech, Biszu oznajmił:

– Mamy dla ciebie wspaniałe wieści, Bela!

Bela zerknęła na męża. Dlaczego, zapytała milczącym językiem małżeństwa, dlaczego nie przekażesz mi tych wspaniałych wieści sam? Dlaczego muszę je usłyszeć od kogoś obcego?

Biszu-da nie jest obcy, odparł w ten sam sposób Sandżaj, marszcząc czoło.

– Ty jej powiedz, Szonu – wspaniałomyślnie rzucił Biszu.

Na twarzy Sandżaja pojawił się szeroki uśmiech.

– Kupujemy dom!

Te dwa słowa zawirowały w głowie Beli niczym dzikie ptaki. Od zawsze marzyła o własnym domu. Mieszkała w takim tylko raz, za czasów dzieciństwa, w Asamie. Po dziś dzień pamiętała tamto magiczne, rozległe miejsce porośnięte gigantycznymi hortensjami. Jej ojciec wciąż wtedy żył; urządzali sobie spacer

po gaju mangowym i zbierali z ziemi złociste owoce. Czy to dlatego tak jej zależało na własnym domu? Nie mówiła o niczym Sandżajowi, gdyż jej marzenie wydawało się takie nierozsądne, zwłaszcza że sama w dalszym ciągu zarabiała tylko minimalną płacę, a mieli tyle długów do spłacenia: pożyczkę studencką Sandżaja, pieniądze za bilety i wizy...

– Biszu-da wynalazł dla nas świetną ofertę! – dodał Sandżaj, wręczając jej niewyraźne zdjęcie. – Spójrz!

Pomyślała, że szeregowiec z gontowym dachem jest najpiękniejszym domem, jaki kiedykolwiek widziała. Musnęła drżącym palcem wąskie frontowe okno, linię dachu, drewniane ogrodzenie. Wyobraziła sobie, jak gotuje w nowej kuchni z wystarczającą liczbą półek, aby wszystkie jej przyprawy miały swoje miejsce, zamiast stać chaotycznie na blacie. W niedzielne ranki będzie pić przy stole z Sandżajem herbatę i wyglądać na tyły domu, gdzie zasadzi gardenie. W sypialni zaś nie będą się musieli przejmować tym, że sąsiedzi usłyszą ich krzyki.

– Nie stać nas na niego – rzekła głucho, choć nie potrafiła się rozstać ze zdjęciem.

– Nie będziemy w nim mieszkać, głuptasko – wyprowadził ją dobrotliwie z błędu Biszu. – To inwestycja. Oszczędności przeznaczymy na zaliczkę. Potem będziemy go wynajmować. Czynsz pokryje miesięczną ratę kredytu hipotecznego. Nieruchomości szybko drożeją w tej okolicy. Za kilka lat będziemy mogli go sprzedać z zyskiem albo zaciągniemy pod niego drugi kredyt na zakup innego domu.

Przez całą kolację obaj mężczyźni rozprawiali o tym, co trzeba zrobić: zbić cenę u pośrednika, który był znajomym Biszu, wystąpić o kredyt (na szczęście Biszu zna człowieka w banku, gdyż inaczej nigdy by się nie zakwalifikowali), wreszcie dać ogłoszenie o wynajmie. Trzeba było również pomalować ściany i wymienić wykładziny, aby móc żądać wyższego czynszu. Zawsze mogli

zabawić się w malarzy i zaoszczędzić trochę pieniędzy, prawda? Sandżaj i Biszu rozmawiali z podnieceniem, pewnie i konspiracyjnie, zupełnie jak kiedyś w Indiach, gdy byli przywódcami politycznymi. Przyglądając się im, Bela pomyślała, że być może Ameryka ocaliła im życie, ale też ich umniejszała.

Zanurzona we własnych planach Bela słyszała tylko urywki. Odnosząc brudne naczynia do kuchni, zerknęła na zdjęcie domu, które postawiła na blacie i które później wklei do albumu ze zbieranymi powoli – ponieważ filmy były drogie – fotografiami dokumentującymi ich życie w Ameryce. Kilka dni temu widziała ogłoszenie w supermarkecie: szukano tam osób do wykładania towaru na półki. Mogłaby się zatrudnić na trzecią zmianę, po całym dniu w żłobku. I odkładać całość wynagrodzenia. Gdy uzbiera dość, wręczy pieniądze Sandżajowi z prośbą, aby wykupił udziały Biszu. Wtedy nareszcie będzie miała własny dom.



Szybciej, niż wydawało jej się to możliwe, stali się dumnymi współwłaścicielami niewielkiego domu we Fremont, kilka mil od ich mieszkania. W najbliższy weekend udali się tam we troje, uzbrojeni w wałki i pędzle. Bela niosła wiadro z mopem i środkami do czyszczenia. Ależ przestronny był ten nowy dom, co najmniej trzy razy taki jak ich sześćdziesięciometrowe mieszkanko. Miał osobny salon, a na górze dużą sypialnię z własną łazienką. Z okna rozciągał się ponad autostradą widok na gaj eukaliptusowy. Bela polerowała lustro, wycierała półki w kuchni, szorowała przepastny zlew i zmywała plamy z farby, która kapnęła na sztuczny jasny marmur w holu. (Sandżaj i Biszu pracowali z entuzjazmem, ale niezdarnie). Od czasu do czasu musiała przerwać to, co robi, zamknąć oczy i głęboko odetchnąć, tak ją zżerała nienawiść do kobiety, która tu zamieszka. Było to niemądre, ale silniejsze od niej. Gdy wróciła do mieszkania, wydało jej się ono jeszcze bardziej zapuszczone i nie do zniesienia. Zbierało jej się na wymioty, kiedy patrzyła na spękane kafelki w łazience, odbarwione linoleum

w kuchni i poplamioną wykładzinę w pokoju, która roztaczała woń niegdysiejszych ulubieńców domowych.



A jednak nie. Okazało się, że powodem mdłości jest ciąża. Odkrycie to przeraziło Belę. Jak to możliwe? Czyż nie uważali, wydając majątek na niezwykle kosztowne prezerwatywy? W żłobku poruszała się jak lunatyk, wycierając nosy, rozdzielając bijące się dzieci i na próżno starając się uspokoić rozhisteryzowane brzdące, które rzucały się z wrzaskiem na ziemię. W weekendy, zamiast rozmawiać z Sandżajem, włączała telewizję i udawała, że z maniacką fascynacją ogląda kolejne seriale komediowe. Tylko taki знаła sposób na to, aby nie zamienić się w fontannę łez. Tęskniła za Sabitri bardziej niż kiedykolwiek. Czuła ciągle zmęczenie. W dni powszednie zasypiała na kanapie, czekając na Sandżaja, i budziła się niechętnie, gdy potrząsał nią za ramię i wołał jej imię. Wzięcie drugiej pracy nie wchodziło w grę. Pa, pa, wymarzony domku.

Przez głowę przelatywały jej niebezpieczne rojenia. Gdyby zgodziła się na aranżowane małżeństwo, mieszkałaby w Indiach. Zgodnie z tradycją na czas porodu przeniosłaby się do matki, gdzie wszyscy by jej nadskakiwali i spełniali wszystkie zachcianki. Sabitri znała ją tak, jak Sandżaj nigdy nie zdoła jej poznać. Bela dostawałaby swoje ulubione desery ze „Smakołyków Durgi”: sandesz nadziewany czekoladą czy ciemne, lśniące kulki pantuji w syropie różanym i piłaby herbatę parzoną z taką ilością mleka, że miałaby ona kolor brzoskwiniowy. Sabitri codziennie fundowałaby jej masaż olejkami musztardowymi i pilnowałaby, aby Bela zjadała świeżo usmażoną rybę rui dla spożycia odpowiedniej ilości białka.

Bela nie potrafiła przyznać się mężowi do tego, że własne ciało ją zdradziło, on jednak sam się domyślił, gdy nakrył ją w łazience podczas wymiotów. Obawiała się, że będzie ją winił. Tymczasem, jak tylko otrząsnął się z pierwszego szoku, wydawał się uszczęśliwiony. Bela wolałaby, aby zachowali nowinę tylko

dla siebie przez jakiś czas, jednakże Sandżaj uparł się, aby o wszystkim powiedzieć przyjacielowi.

Bela spodziewała się, że Biszu wyskoczy z dobrymi rodzicielskimi radami (mimo iż sam nie miał dzieci) bądź z łagodnym napomnieniem, karcąc ją za ciążę nie w porę i ich brak planowania. „Myślicie, że macie dość pieniędzy, żeby wychować dziecko? Coś takiego w Ameryce jest niezwykle drogie!”. Tymczasem on tylko powiedział: „Będę wujkiem! Wyobrażacie to sobie?”. I resztę wieczoru przesiedział na kanapie nadzwyczajnie cichy i ze speszonym uśmiechem na twarzy. Bela obserwowała go z wnęki kuchennej, myjąc naczynia, również lekko speszona. Czy to nie dziwne, że można znać kogoś latami, a jednak pewnego dnia odkryć, że jest zupełnie inny, niż się myślało?

Przed wyjściem Biszu oświadczył:

– To dziecko przyniesie nam szczęście, czuję to.

Być może Biszu miał rację, ponieważ jeszcze tego samego tygodnia, właśnie gdy Bela zaczynała się martwić, jak zapłaci ratę kredytu, pojawił się najemca. Był to mężczyzna pracujący w salonie samochodowym, żonaty, do tego z trzyletnim synem, a więc człowiek solidny. Sandżaj i Biszu, idąc przekazać mu klucze do domu, zabrali ze sobą Belę.

Najemca, który miał szczery, rehotliwy śmiech, klepał obu mężczyzn po plecach i zapewniał ich, że będzie dbał o dom jak o własny. Chłopczyk w tym czasie wyglądał ciekawie zza pleców matki. Kobieta posłała Beli uśmiech, przywitała się i rzuciła uwagę, że dom jest bardzo ładny i czysty. Bela starała się powściągnąć nienawiść do niej, ale niespecjalnie się do tego przykładła. Czemu bowiem ta kobieta o ciastowatej twarzy ma mieszkać w przestronnych luksusach domu Beli, podczas gdy ona sama będzie musiała się gnieździć wraz z dzieckiem w ciasnym, zagrzybionym mieszkanku?

Najemca miał również pekińczyka, o którym im nie powiedział. Było to małe, siwe, upierdliwe stworzenie, które ujadło im koło kostek. Bela

spozrzegła, że Biszu nie jest zadowolony z tego przeoczenia. Mimo to jednak zachował nad sobą kontrolę. Jaki by miało sens kłócenie się teraz, gdy wszystkie dokumenty zostały już podpisane? Poza tym nie mogli sobie pozwolić na to, aby dom stał dalej pusty. Powiedział więc tylko, że najemca będzie musiał wpłacić specjalny depozyt wymagany w wypadku zwierząt, na co mężczyzna przystał bez oporów.

W drodze powrotnej Sandżaj narzekał, że psy sikają na podłogi i niszczą meble.

Biszu wzruszył ramionami, zadziwiając ich swoim filozoficznym podejściem.

– Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

Belę zaskoczyło to znajome powiedzenie. Poznała je w trzeciej klasie, zapełniając linijki powtarzaniem w kółko zdaniem podczas nauki kaligrafii. Jak mogła zapomnieć te przydatne przysłowia? Lepiej zapobiegać, niż leczyć. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Nagle zastanowiła się, co jeszcze z własnej przeszłości zepchnęła w niepamięć?



Pewnego wtorkowego wieczoru kilka tygodni później Bela zauważyła w supermarkecie żonę najemcy z dzieckiem. Ruszyła za nimi w swego rodzaju misji rekonesansowej. Chłopczyk siedział na wózku na zakupy i krzyżując nóżki, wskazywał matce produkty, które chciał, a ona podawała mu je kolejno, by mógł je układać w równe stosy. Bela zapamiętała ich kolory i kształty, aby następnie je obejrzeć. Jakież egzotyczne rzeczy wybierali! Było to wejrzenie w prawdziwe amerykańskie życie, którego nie znała. Ciasto w proszku. Ravioli w sosie pomidorowo-mięsny. Wołowina była tabu, jednakże Bela kupiła ravioli serowe. Później rozczarowała się jego nijakim smakiem.

Bela zmieniła swój plan tygodnia tak, aby robić zakupy we wtorkowe

wieczory. I tak jak się spodziewała, wielokrotnie natknęła się na tę parę. Obserwowała kobietę i chłopca bardzo uważnie. Czasami matka kręciła głową, a dziecko przyjmowało odmowę z wdziękiem. Chłopiec był potulny i w niczym nie przypominał potworów, z którymi miała do czynienia w żłobku – starsze maluchy potrafiły kopnąć ją w łydkę, gdy były nie w humorze, a raz czy dwa została nawet ugryziona. Bela musiała przyznać, że obserwowana kobieta jest dobrą matką, aczkolwiek nawet to nie zmniejszyło jej niechęci do niej. Przy którejś okazji kobieta odwróciła się i dostrzegłszy Belę, pomachała jej przyjaźnie. Szepnęła coś do chłopca, który także pomachał. Bela niemal odpowiedziała tym samym gestem, lecz nagle skrzyła wózką i wjechała w sąsiednią alejkę.



Nie wiedziała, czego się spodziewać po ciąży. Umysł miała równie rozdęty jak ciało. Czy to było normalne? Porady, które znalazła w książkach pożyczonych z biblioteki, wydawały się mylące i sprzeczne ze sobą; świat nagle stał się niebezpiecznym miejscem. Należy wykonywać dużo ćwiczeń fizycznych. Nadmierny wysiłek może wywołać poronienie. Dużo wypoczywać. Nie rozleniwiać się. Pić soki owocowe. Zredukować ilość spożywanych cukrów. Unikać jajek na miękko, kofeiny, farby, teflonowych patelni, środków owadobójczych, chemikaliów. Jak w takim razie żyć? Czyżby zrobiła dziecku krzywdę, wdychając opary środków czystości podczas sprzątania w jej – a zarazem nie jej – domu? Marzyła o tym, by zadzwonić do matki i wypytać ją o wszystko. Jednakże Sandżaj nienawidził Sabitri. Chociaż na ogół kierował się rozsądkiem, wciąż gotował się z wściekłości na wspomnienie upokorzenia, które go spotkało, gdy Sabitri kazała dozorczy pilnować przed nim Beli. W dodatku miał zwyczaj sprawdzania rachunku telefonicznego, ponieważ Biszu przestrzegł go, że firmy telekomunikacyjne liczą sobie za rozmowy, których człowiek nie przeprowadził. Zauważyłby połączenie z Indiami, Bela musiałaby się tłumaczyć, doszłoby między nimi do kłótni – a na to nie miała sił. Dlatego napisała list.

Odpowiedź nadeszła tak szybko, że Sabitri musiała ją napisać natychmiast po otrzymaniu wiadomości od Beli.

Nie przejmuj się tymi nowomodnymi wymysłami. Wywodziś się z rodu twardych wieśniaków. Wszystko będzie dobrze. Chcę przyjechać do Ameryki, aby zająć się Tobą i dzieckiem, gdy już przyjdzie na świat. Na kiedy zaplanować podróż? Bipin Bihari zajmie się sklepem na miejscu, jeśli udzielę mu paru wskazówek. Będę gotować dla Ciebie i robić dziecku masaż olejkiem. Nie musisz kupować mi biletu, mam dość oszczędności w banku...

Bela się rozpląkała. Wiedziała, że jej matka nie ma oszczędności. Wszystkie pieniądze włożyła w sklep, a że czerpała dumę z używania tylko najlepszych produktów i przygotowywania smakołyków na świeżo każdego dnia, interes nie przynosił takich zysków, jakie mógł. Dorastając, Bela zarazem uwielbiała sklep matki i była o niego zazdrosna, ponieważ „Smakołyki Durgi” stały się całym życiem Sabitri. Zaglądała tam nawet w wolne dni – aby odetchnąć słodkim powietrzem, jak mawiała. Ależ musiała kochać Belę – i mające przyjść na świat dziecko – skoro była gotowa zostawić sklep w rękach kogoś innego. Niestety Sandżaj nigdy się nie zgodzi na to, aby z nimi zamieszkała.

Z gardła Beli wyrwał się potężny szloch. Nie zachłystywała się tak płaczem, odkąd była mała. Nie potrafiła przestać, mimo że wiedziała, iż nerwy szkodzą dziecku – co do tego poradniki były zgodne. Jednakże wszystko, co dotąd tłumiała, całe rozczarowanie małżeństwem, które czuła – tak, przyznała to sama przed sobą po raz pierwszy – ogarnęło ją niczym burza piaskowa. Tkwiła uwięziona w ciasnym mieszkanku, wykonywała znienawidzoną pracę bez perspektyw i ugiwała kark pod natłokiem pożyczek, spod których nigdy się nie wywinie, aby móc wrócić na studia.

– O, moje maleństwo – szepnęła. – Co ja mam począć?

I wtedy to poczuła. Pierwszy ruch dziecka. Przypominał łaskotki, tyle że od wewnątrz. „Zupełnie jakbyś próbowała mnie pocieszyć”, powie Tarze później. „Zupełnie jakbyś chciała powstrzymać mój płacz”.

Wstrząśnięta tym nagłym cudem przeszła do sypialni i położyła się na łóżku, trzymając się za brzuch, aby nie uronić kolejnego ruchu dziecka; czekała, aż znowu do niej przemówi. Ciepło pulsowało z jej podbrzusza przez rękę do reszty ciała. Wszystko, czym tak bardzo przejmowała się przed kilkoma minutami, nagle przestało mieć znaczenie.

Kiedy Sandzaj wrócił do domu, wybiegła mu na spotkanie i przyłożyła jego dłoń do swojego brzucha. Porusz się, skarbie, poprosiła w myślach i dziecko, jakby ją słysząc, zatrzepotało pod skórą. Raz, drugi. Roześmiała się, widząc niedowierzanie na twarzy męża. „Ono naprawdę istnieje”, powtarzał przy kolacji, na którą podała zupę pomidorową i grzanki z serem; jadł je bez skargi dzień w dzień, gdyż wszystko inne przyprawiało Belę o mdłości. Ależ był z niego dobry mąż! Później, w sypialni, leżąc w jego objęciach i pozwalając mu muskać wargami swój kark, Bela pomyślała, że nazajutrz wspomni mu o wizycie matki. Może Sandzaj zgodzi się przez wzgląd na dziecko.

Obudziwszy się w środku nocy, stwierdziła, że jest sama. Sandzaj siedział przy stole, pochylony nad książeczką czekową, marszcząc czoło.

– Co się stało? – zapytała przestraszona.

– Nic, nic.

Zaczęła mu masować spięte ramiona. Czekwała.

– Chodzi o najemcę – powiedział w końcu. – Stracił pracę. Zadzwoniliśmy do niego po tym, jak nie uregulował kolejnego czynszu. Poprosił, żeby dać mu miesiąc na zebranie pieniędzy. Sprawdziłem właśnie, czy starczy nam na zapłacenie naszej połowy raty kredytu.

Serce zabiło jej mocniej z niepokoju. Ostatnimi czasy zdarzało się to coraz częściej.

– I starczy?

– Tak.

Wypuściła wstrzymywane powietrze.

– Ale ledwo, ledwo – dodał. – Będziemy musieli zacisnąć pasa...

– W moim wypadku to może być trudne – zażartowała, klepiąc się po brzuchu.

Niepokój pulsował w niej niczym żywe stworzenie. Postanowiła zepchnąć go do zamkniętego na cztery spusty zakątka umysłu, w którym przechowywała wszystko to, o czym nie chciała myśleć. Zaśmiali się równocześnie, a dziecko wywinęło koziołka dla towarzystwa. Gdy znaleźli się z powrotem w łóżku, trzymała Sandżaja za rękę, dopóki jego oddech nie stał się równy i głęboki. Ona jednak nie mogła zasnąć. Rozczarowanie przygniatało jej pierś niczym bryła betonu. Bela zdawała sobie sprawę, że będzie musiała poczekać z zaproszeniem Sabitri do Ameryki, aż sytuacja się poprawi.

~

Tymczasem z miesiąca na miesiąc było coraz gorzej. Najemca nie płacił. Przestał też odbierać telefony. Pewnego dnia Bela dostrzegła jego żonę w supermarkecie. Zastanawiała się, czy powinna coś powiedzieć. Jednakże gdy kobieta ją zauważyła, odwróciła się i szybko odeszła, ślizgając się obcasami na durafleksie. W końcu któregoś wieczoru Sandżaj i Biszu udali się do najemcy z zamiarem rozmowy. Zadzwonili do drzwi, ale nikt im nie otworzył, chociaż Biszu był pewien, że widział jakiś ruch w oknie na piętrze. Sandżaj spróbował otworzyć sobie zapasowym kluczem, ale okazało się, że zamki zostały zmienione. Biszu krzyczał i walił w drzwi. Wszystko na nic. Nagle z sąsiedniego domu wyszedł krzepki mężczyzna i kazał im przestać hałasować. Zagroził, że jeśli nie odejdą, wezwie policję.

Sandżaj opowiadał to Beli, krążąc wokół stołu w aneksie jadalnym, podczas

gdy Biszu siedział na krześle i trzymał głowę w dłoniach. Bela nigdy go takiego nie widziała, poczuła więc strach.

– A nie możemy sami pójść na policję? – zapytała szeptem. – Na pewno są przepisy, które każą eksmitować najemców niepłacących czynszu.

Biszu gapił się tępo w blat. Ostatnim razem, gdy do nich przyszedł, tryskał energią i miał w rękach drogie, bo po sezonie, mango. Wiedział, że Bela za nimi przepada.

– Musisz teraz jeść to, co najlepsze – oświadczył wtedy. – Gdyby było jeszcze coś, czego byś chciała, tylko powiedz, a ci to przyniosę. W końcu od czego są wujkowie.

Obecnie poruszał bezgłośnie wargami i skrobał blat paznokciem.

– Eksmisja to niełatwy proces. Przyjrzałem się temu. Najpierw trzeba wysłać wezwanie, a potem założyć sprawę w sądzie. Samo to może potrwać dobry miesiąc. Następnie trzeba doręczyć wyrok najemcy, udać się na policję i...

Biszu pokręcił głową. Gdy się odezwał, Bela musiała się nachylić, aby go w ogóle usłyszeć.

– Żadnej policji – rzekł chrapliwie. Czyżby chodziło o zwykłą nieufność do amerykańskich instytucji, czy raczej o jakieś jego kłopoty w przeszłości? Może w kartotece miał coś, co według niego powinno pozostać w ukryciu?

– Ale Biszu... – zaoponował Sandżaj. – Nie mam w banku dość pieniędzy na następną ratę kredytu. Ty zresztą też nie.

Kiedy Bela skończyła osiemnaście lat, Sabitri podarowała jej złoty łańcuszek, który następnie zapięła na szyi chłodnymi, zręcznymi palcami. Łańcuszek był cienki, nic specjalnego, toteż Bela nie przykładła do niego większej wagi w Indiach. Tutaj jednak nosiła go codziennie ze względu na dotyk matki. Nie licząc obrączki, była to jej jedyna biżuteria. W tej chwili, kryjąc się z żalem, zdjęła łańcuszek i położyła go na stole.

– Nie! – szepnął Sandżaj. Miał spojrzenie złamanego człowieka.

Jednakże to Biszu oddał jej łańcuszek.

– Co by z nas byli za mężczyźni, gdybyśmy sprzedawali biżuterię swoich kobiet? – rzucił ostro. – Pożyczę pieniądze od kolegi w tym miesiącu. – Rozciągnął wargi w próbie uśmiechu. – Bela, nie wolno ci się martwić. Nerwy są złe dla dziecka. Coś wymyślę. Wkrótce pozbedziemy się tego drania, obiecuję.



W początkach małżeństwa irytowało Belę, gdy Sandżaj wykrzykiwał: „Biszu-da to cudotwórca! Potrafi wszystko załatwić!”. Przy jakiejś okazji powiedziała mężowi, że choć Biszu bywa skuteczny, daleko mu do cudotwórcy. Wiedziała, co mówi, gdyż w dzieciństwie, w Asamie, poznała prawdziwego magika.

– O, naprawdę? – rozżłościł się Sandżaj. – No to może mi powiesz, jak wygląda prawdziwy magik?

Nic na to nie odpowiedziała. Pożałowała, że w ogóle poruszyła ten temat, wracając do odległej przeszłości. W Asamie wydarzyło się wiele złych rzeczy; bała się, że Sandżaj zacznie dopytywać o sprawy, o których nie była gotowa rozmawiać.

Tym razem jednak wyglądało na to, że to Sandżaj miał rację. Najemca zniknął w ciągu trzech tygodni. Gdy Bela zapytała Sandżaja, jak to możliwe, wyjaśnił jej, że Biszu czekał pod domem, aż żona najemcy wyjdzie na zakupy. Pojechał za nią do supermarketu i naskoczył na nią, ledwie wysiadła z samochodu.

– Trzęsa dupą ze strachu aż miło! – oznajmił z tryumfem. Bela skrzywiła się na wulgarność jego słów, on jednak tego nawet nie zauważył. – Musiała pognać do męża i tak długo wiercić mu dziurę w brzuchu, aż zgodził się opuścić lokal. Źle się stało, że musieliśmy ją tak nastraszyć. Ale jak się nad tym zastanowić, wszystko to wina jej męża. Gdyby nie był takim skurczybykiem, nie musielibyśmy się uciekać do tej taktyki.

Sandżaj miał rację. Mimo wszystko Bela czuła silny niepokój – gnębił ją na podobieństwo niestrawności, która zdaniem jej lekarza miała się jeszcze pogorszyć. Pamiętała dziecko, które pomachało jej w supermarkecie.

– Czy był z nią syn? Na pewno się przeraził, że ktoś krzyczy na jego mamę.

Kiedy Sandżaj jej nie odpowiedział, ponowiła pytanie. Ostatnimi czasy często miał myśli zaprzątnięte czymś innym. Twierdził, że pracuje nad trudnym projektem w biurze. Teraz zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć. W końcu odparł, że nie, kobieta była sama. Dziecko musiało być w przedszkolu.



List od matki leżał na blacie, nadal bez odpowiedzi. Bela miała wyrzuty sumienia, ilekroć go mijala, ale nie umiała się zdecydować, jakich słów użyć, aby złagodzić odmowę. Po jakimś czasie koperta zniknęła pod stosem ulotek i rachunków, a potem całkiem wypadła Beli z pamięci.

Później Bela złapała paskudną gripę.

Kiedy rzucała się i przewracała w łóżku, mając od gorączki, pokazała jej się Sabitri, która wyglądała tak jak w dzień pogrzebu męża. To wtedy Bela ujrzała ją pierwszy raz w siermiężnym, białym wdowim sari i bez cynobrowej kropki na czole będącej przywilejem mężatek. Pełna dobrych chęci sąsiadka powiedziała:

– Musisz się wypłakać i wyrzucić to z siebie, w przeciwnym razie oszalejesz.

Sabitri obdarzyła ją spojrzeniem bez wyrazu.

– Nie oszaleję. Mam córkę, którą muszę wychować.

Właśnie temu poświęcała swoje życie Sabitri od tamtej pory. Bela zrozumiała nagle, że „Smakołyki Durgi” były ważne dla jej matki tylko dlatego, że stanowiły sposób na zaspokojenie wszystkich potrzeb Beli. Która w końcu opuściła Indie i wyjechała do Ameryki.

– Przepraszam – płakała Bela, ciskając się pod prześcieradłem, które zdawało

się ważyć tonę.

Mówiła do matki, ale też do ojca. Jej skołowany gorączką umysł wydobył na powierzchnię na wpół zapomnianą rozmowę dwu innych kobiet na pogrzebie, które szeptały między sobą o tym, jak to nieszczęsny incydent z Belą przywiódł jej ojca z powrotem do pijaństwa, a potem już było tylko z górki. Ale o jakim incydencie mowa? Co takiego zrobiła Bela? Nie pamiętała dokładnie, aczkolwiek wiedziała, że miało to jakiś związek ze szpitalem. A także z magikiem, którego zapamiętała – co dziwne – jako ważkę. Bela nigdy nie rozmawiała z Sabitri o śmierci ojca. W ogóle nie poruszały bolesnych tematów.

– Przepraszam...

Teraz myślała o braciszku. Chłopczyk dostał konwulsji, na przemian to się trząsał, to sztywniał, a na twarz wystąpiły mu biało-czerwone plamy. W końcu Ajah wyprowadziła Belę z pokoju. Jak on miał na imię? Nie potrafiła sobie przypomnieć. W jej umyśle zlał się w jedno z płodem, który nosiła. Zawołała do nich obu:

– Dziecko, dziecko, nie umieraj!

Znienacka zawisła nad nią twarz Sandżaja; przykładał mokre kompresy do jej czoła i ramion. Łyzeczką wlewał do ust lodowatą wodę. „Cii, szona, nie ekscytuj się, dziecku nic nie będzie”. Jakże chłodne miał palce. Biszu także tam był – a może chodziło o inny dzień? Przyprowadził ze sobą pewnego człowieka, który w Indiach był lekarzem (jak dowiedziała się później Bela). „Dawajcie jej lekarstwo na grypę. Jeśli temperatura jeszcze się podniesie, chora może doznać ataku, a to by było ze szkodą dla dziecka”. Biszu trzymał jej głowę nad miednicą, podczas gdy Sandżaj polewał ją zimną wodą. „Cii, nie walcz tak, choroba minie”. Woda ściekała do uszu, zbierała się w ustach, smakując słonawo. Gdy gorączka w końcu osłabła, Sandżaj podał rosół. Unosił filiżankę do jej ust, gładząc ją równocześnie ręką po włosach i odwracając głowę, aby nie widziała jego łez. Spędził bezsennie całą noc, masując żonie plecy i podając jej leki

o odpowiednich porach. Nawet Sabitri nie mogłaby uczynić więcej. W przyszłości, gdy sprawy wezmą zły obrót, Bela o tym nie zapomni. Będzie dawała Sandżajowi drugą szansę i kolejną – dopóki ich nie zabraknie.

Kiedy Bela poczuła się lepiej, z wizytą przyszedł Biszu. Przyniósł jej prezenty. Małe mydełka i szamponiki. Herbatę w torebkach. Miętówki w białoczerwone paski. Zaczepił się w pracy jako kierownik motelu. Ponieważ motel serwował swoim gościom kolację, w niektóre wieczory Biszu przynosił sałatkę coleslaw i kurze skrzydełka. Albo lazanie. Bela rzucała się na nieznanne jej amerykańskie potrawy z dzikim apetytem, miażdżąc zębami kruche kostki. Mdłości minęły, za to opanował ją ciągły głód. Od czasu do czasu przechwytywała aprobujące spojrzenia mężczyzn. Nie przejmowała się tym. Przestała żywić niechęć do Biszu. Ciężka choroba sprawiła, że nareszcie stali się rodziną.

Sandżaj i Biszu znaleźli nowego najemcę, tym razem na szczęście Hindusa. Projekt, nad którym pracował Sandżaj, okazał się fortunniejszy, niż się spodziewali, dzięki czemu czekał go awans. Za swoją pierwszą pensję Biszu kupił kołyskę dla dziecka, nie zwracając uwagi na protesty małżonków. Dziecko było już sporych rozmiarów. Ilekroć się poruszyło, widzieli, jak przez brzuch Beli przechodzi fala. Gdy to się działo, przerywali, cokolwiek akurat robili, i uśmiechali się do siebie. Bela uznała, że to będzie chłopiec.

Bela była już w siódmym miesiącu. Przytyła do tego stopnia, że ledwie się mieściła za kierownicę używanego chevroleta, którego ostatnio kupił jej mąż. Sandżaj nie czuł się jeszcze swobodnie na amerykańskich drogach i wolał nadal korzystać z transportu publicznego. Bela też się bała, ale strach przegrał z determinacją. Umiejętność prowadzenia samochodu pozwoli jej się rozejrzeć za lepszą pracą, kiedy już dziecko przyjdzie na świat. Lepsza praca bowiem oznaczała szansę na odzyskanie wymarzonego domu. Dlatego Bela zaszalała

i wykupiła kurs prawa jazdy. Jeździła, kiedy tylko mogła. Ilekroć zaś znalazła się w trudnej sytuacji na drodze, powtarzała sobie niczym mantrę: „Dom, dom, dom”.

Tego dnia po raz pierwszy wjechała na autostradę, aby dostać się do kliniki, która była położona w pewnym oddaleniu od ich mieszkania i gdzie Bela miała wizytę kontrolną u lekarza. Wyniki okazały się dobre: wszystko przebiegało zgodnie z planem. W pobliżu kliniki mieścił się sklep, w którym po wizycie zamierzała się zatrzymać na lody: w końcu należała jej się jakaś nagroda.

Kiedy przeglądała stojak z czasopismami (czytała głównie w sklepach, ponieważ nie było jej stać na zakup kolorowych magazynów kulinarnych, które uwielbiała), poczuła, że ktoś się w nią wpatruje. Nie przejęła się tym zbytnio. Ludzie nieustannie się na nią gapili, szczególnie gdy miała na sobie hinduskie ubranie. Choć gniewało ją to, tłumaczyła sobie, że taki jest koszt życia w Ameryce. Jednakże uczucie bycia obserwowaną nie przeminęło; gdy się odwróciła, stwierdziła, że w jej stronę spogląda żona pierwszego najemcy. Skulony w wózku na zakupy siedział jej syn, który ssał kciuk, mimo że z pewnością był na to za duży. Oboje wydawali się zmierzwieni, jak ptaki, które nierówno ułożyły sobie pióra. Bela postanowiła nie zwracać na nich uwagi. Z żalem odłożyła nieprzeczytane czasopisma na stojak i ruszyła w stronę działu mrożonek.

Jednakże kobieta ruszyła za nią. Normalnie Bela lubiła stać przed ladą chłodniczą i napawać się obfitością smaków, większość sobie tylko wyobrażając, zanim na któryś się zdecydowała. Chyba to właśnie cenila najbardziej ze wszystkiego w Ameryce. Tym razem wszakże, czując się niezręcznie, złapała pudełko lodów waniliowych i skierowała się do kas.

Zdążyła zapłacić i niemal wyjść za drzwi, gdy usłyszała głos kobiety.

– Zadowolona teraz jesteś, że masz znów dom dla siebie, ty mordercza dziwko?

Zaskoczona Bela okręciła się na pięcie. Żona pierwszego najemcy stała tuż za nią, z wózkiem zupełnie pustym, jeśli nie liczyć dziecka, które obejmowało rączkami kolana i wpatrywało się w nią szeroko otwartymi oczyma. Czy ta kobieta zwariowała? Istotnie, było coś szalonego w jej spojrzeniu. Bela poczuła ból brzucha. Zabrakło jej tchu. Zastanawiała się, czyby nie zawołać pomocy. Zamiast tego jednak tylko zapytała:

– O czym pani mówi?

– Nie zgrywaj niewiniątka – odparła kobieta, mierząc ją wściekłym wzrokiem. Ale po chwili zaśmiała się kwaśno. – Nie powiedzieli ci, co zrobili, prawda?



Bela siedziała przy stole kuchennym, gapiąc się w ścianę. Ręce nadal jej się trzęsły, chociaż od powrotu do domu minęło parę godzin. Kiepsko jej się kierowało w drodze do mieszkania. Kilkoro kierowców zatrąbiło na nią, a jakiś mężczyzna nawet wychylił się przez okno i krzyknął coś, wykonując nieprzyzwoity gest.

Pozwoliła tamtej kobiecie odprowadzić się na parking, chociaż instynkt podpowiadał jej, że źle robi. Później stała w palącym słońcu i pocąc się, słuchała opowieści, jak to Biszu pewnego razu wysłedził kobietę na podobnym parkingu i zaatakował ją, jak tylko wysiadła z samochodu. Wygrażał jej pięścią przed nosem. Mówił, że spotka ich coś złego, jeśli nie wyniosą się w ciągu tygodnia. Jeszcze gorsze rzeczy staną się ich udziałem, jeśli będą zwlekać z wyprowadzką dłużej. Kobieta go przekonywała, że nie mają dokąd pójść, że nie stać ich nawet na mieszkanie i że potrzebują więcej czasu.

– Ale jego to nie obchodziło – zakończyła opowieść kobieta. – Stwierdził, że nie jest organizacją dobroczynną.

Bela, choć rozdarta, odparła:

– Mówił prawdę. Sami nie mieliśmy czym spłacać kredytu hipotecznego, skoro nie dostawaliśmy od was czynszu...

– Wróciłam do domu i powiedziałam o wszystkim mężowi – kontynuowała kobieta, jakby Bela w ogóle się nie odezwała. – Ale on mnie nie słuchał. Nigdy mnie nie słucha. Kazał mi tylko nastraszyć Biszu policją, w razie gdyby znowu kiedyś mi groził.

Bele bolały stopy. Była pewna, że lody, które kupiła, już się zaczęły topić.

– Muszę wracać do domu – rzekła. – Nie mówi mi pani nic nowego.

Spróbowała sięgnąć do klamki, lecz kobieta zasłoniła drzwi własnym ciałem. A następnie jej powiedziała.

Jakiś tydzień po spotkaniu z Biszu jej syn wyszedł do ogródka za domem, aby się pobawić. Usłyszała jego krzyk i wybiegła na zewnątrz. Znalazła go kucającego nad ich pekińczykiem, Hankiem, który leżał przy płocie. Pies został otruty.

Bela poczuła, że ziemia pod jej nogami drży. Wyciągnęła ręce i oparła się o pierwszy z brzegu samochód, mimo że nie należał do niej.

– Może po prostu... umarł ze starości – powiedziała. Jednakże zabrzmiało to nieprzekonująco nawet w jej uszach.

Kobieta rzuciła jej pogardliwe spojrzenie.

– Hank miał pianę na pyszczku. I coś ciemnego na języku. Gdy przeszukałam podwórko, odkryłam, że ktoś przerzucił przez boczną furtkę otwartą tabliczkę gorzkiej czekolady, która jest zabójcza dla psów.

~*~

Chociaż nastał już wieczór, w mieszkaniu nie paliło się światło. Kolacja była nieprzygotowana. Bela nie potrafiła się skupić na niczym poza głosem tamtej kobiety.

– Jimmy zaczął szaleć po tym, jak znalazł Hanką – opowiadała żona

pierwszego najemcy. – Ja zresztą też. Ten pies był z nami od dziesięciu lat. Należał do rodziny. Od tamtej pory Jimmy przestał mówić. Byłam z nim u lekarza, ale to nic nie pomogło. Proszę tylko na niego spojrzeć! Nie mamy żadnego dowodu, więc nie możemy pójść z tym na policję ani nigdzie indziej. Ale chcę, abyś przekazała swojemu znajomemu: niech zgnije w piekle!

Co Bela miała zrobić z tą informacją, z tym uczynkiem Biszu? Jeśli ujawni go przed Sandzajem, rozpadnie się ich trzyosobowy świat. A nawet dojdzie do czegoś gorszego, ponieważ odkąd Sandzaj był małym, niechcianym chłopcem w domu wuja, najbardziej ze wszystkich ludzi ufał właśnie Biszu. Kochał Belę, zgoda, ale nadzieję pokładał w Biszu. Jak mogła mu to odebrać? Zresztą sama także przywykła do jego ciągłej obecności w ostatnich miesiącach. Pamiętała dłonie, którymi podtrzymywał jej rozgorączkowaną głowę, i czuła zarazem mdłości oraz zagubienie.

Bela zmusiła się, aby wstać, powłócząc nogami niczym staruszka. Dziecko ani drgnęło od chwili, gdy tamta kobieta napadła na nią w supermarkecie. Czyżby także było w szoku, jak ona? Na jaki świat chciała je sprowadzić? Co będzie, jeśli ktoś kiedyś uczyni mu to samo, co Biszu uczynił Jimmy'emu?

Mrożona pizza w piekarniku, karton soku na stole. Resztę energii musiała zachować na moment powrotu Sandzaja do domu, aby móc się uśmiechać i podawać twarz do pocałunku, jakby nic się nie stało. Kochała go, tego mężczyznę, który noc po nocy masował jej plecy i dla którego odpisała matce: „Mieszkanie jest za małe, może przyjedziesz kiedy indziej?”, wiedząc, że Sabitri nie zaproponuje wizyty powtórnie.

Jednakże gdy znaleźli się w łóżku po ciemku, Bela na boku, a Sandzaj za nią, wtuleni w siebie jak dwie łyżeczki, i gdy Sandzaj gładził ją delikatnie po brzuchu, przekonała się, że nie zdoła zatrzymać tego dla siebie. Nie wyobrażała sobie, aby mieli spędzić ze sobą resztę swoich dni rozdzieleni przez sekret kłujący niczym odłamek szkła.

Kiedy zaczęła mówić, poczuła, jak Sandżaj sztywnieje na całym ciele. Mimo to nie była w stanie powstrzymać furii.

– To przestępstwo. Powinieneś być widzieć to dziecko, skulone na sklepowym wózku i z kciukiem w buzi. Musisz powiedzieć Biszu, że wiemy, co zrobił. Musisz mu powiedzieć, że nie może tu dłużej przychodzić, ponieważ nie zniosę widoku jego twarzy. Pomyśleć, że przez cały ten czas udawał, iż pozbył się najemców wyłącznie rozmową! Proszę, sprzedajmy ten dom, bylebyśmy nie musieli być z nim w spółce...

Sandżaj coś mówił. Bela dopiero po chwili zdała sobie sprawę z jego obojętnego tonu.

– Nie mieliśmy pieniędzy na następną ratę kredytu. Biszu obawiał się, że dom trafi pod młotek. Stracilibyśmy naszą inwestycję i wszystkie włożone w nią oszczędności. Zrujnowalibyśmy swoją zdolność kredytową. Do końca życia nie kupilibyśmy domu dla siebie. Musieliśmy wymyślić jakiś skuteczny sposób...

– Wiedziałaś, co Biszu zamierza?!

– Tak. Na tydzień przedtem poszedłem do motelu i wszystko dokładnie przedyskutowaliśmy. Postanowiliśmy nic ci nie mówić, bo tylko byś się zdenerwowała. Co do tego mieliśmy rację: spójrz na siebie teraz.

Bela zignorowała ostatnią uwagę i poderwała się do pionu.

– Nie próbowałeś go powstrzymać?

– Nie. Właściwie to dałem mu wolną rękę.

Usłyszała w jego głosie hardość i brak jakiegokolwiek żalu. Jakąś częścią siebie była na niego wściekła. Zarazem musiała go szanować za to, że jej nie okłamuje.

– Jak mogłeś pozwolić mu zrobić coś tak strasznego? – zapytała szeptem.

– Mam rodzinę na utrzymaniu. Moi bliscy są dla mnie ważniejsi niż jakiś tam pies skurwiela, który nas wykorzystywał. Biszu był tego samego zdania. Powiedział mi: nikt nie odbierze naszemu dziecku tego, co mu się należy; nikt

nie odbierze nam domu, który Bela uwielbia. Tak, dobrze wiedział, że tak jest. A ty... spójrz tylko na siebie: zachowujesz się tak, jakbyś była od niego lepsza. Jakbyś była lepsza od nas obu. Nie masz pojęcia o świecie, nie masz pojęcia, jakich poświęceń trzeba, jakich wyborów... Żyjesz w nieświadomości, bo ja i Biszu przez cały czas troszczyliśmy się o ciebie.

Ciemność napierała na nią ze wszech stron niczym gęste algi. Po raz pierwszy poczuła do Sandzaja nienawiść – za to, że bez wahania ujął się za Biszu, lekceważąc ją. Zdołała jednak zastanowić się, czy w tej ostatniej sprawie Sandzaj nie ma przypadkiem racji. Przesunęła się na brzeg łóżka i chwiejnie wstała na nogi. Po ciemku chwyciła spodnie i bluzkę. Przeszła do salonu i włożyła je na siebie. Złapała torebkę i kluczyki. Wysunęła szufladę w kuchni, ostrożnie, żeby nie zaskrzypiała, i wyjęła ze środka paszport. Nie zwracała uwagi na słowa Sandzaja: „Wracaj do łóżka, jest środek nocy, co ty wyprawiasz?”. Bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi mieszkania. Miała pięć minut drogi do bankomatu, kolejne pięć spędzi przy nim, wypłacając tyle gotówki, aby starczyło jej na bilet do Indii. Dotarcie na lotnisko powinno zająć nie więcej niż godzinę.

Ale nie. Nadal siedziała na łóżku, bez ruchu, ponieważ na miejscu trzymała ją kotwica w brzuchu, cięższa od wszystkiego, co знаła wcześniej. Tym razem Sandzaj się mylił. Bela rozumiała, co znaczy poświęcić się w imię miłości. Pojęła to właśnie w tym momencie, tak samo jak Sabitri w swoich wdowich latach, wychowując Belę sama. Była to lekcja, której musiały się nauczyć wszystkie matki.

Bela odchyliła się na plecy i przycisnęła rękę do brzucha tak mocno, aż dziecko – które do tej pory zapewne spało – kopnęło z niezadowoleniem. Znienacka Belę naszła pewność, że to będzie dziewczynka. Ta wiedza przepęłniła ją czułością i smutkiem. Poczowała potrzebę przekazania córce jakiejś mądrości, czegoś, co pomoże jej w przyszłości dokonywać wyborów w bezlitosnym świecie. Wszakże ciemność dalej na nią napierała, wymazując całą elokwencję,

tak że jedyne, co była w stanie szeptać, to: „Moje dziecko... Moje dziecko...
Moje dziecko...”.





U stóp bogini: 2004



estem w podłym nastroju. Ze względu na wspomnienia mam tak zawsze, gdy jadę drogą 288, a tym razem nie pomaga i to, że wypita minionego wieczoru wódka łomocze mi pod czaszką, jakby ktoś tłukł mnie kijem bejsbolowym. Dziś jednak jest też inny powód mojej złości: siedzi z tyłu z marsem na czole. Aczkolwiek skąd u niego ten mars, nie mam pojęcia, skoro jest wieziony w klimatyzowanym luksusie do Pearland na zwiedzanie. Mierzy niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów, ma bardzo śniadą cerę i okulary w grubej oprawie. Pochodzi z Indii, tak jak ja.

Tyle powiedziała mi Yvonne, moja szefowa, dzwoniąc do mnie skoro świt z pytaniem, czybym nie mogła przyjść wcześniej, bo ma dla mnie kurs. Naciągnęłam sobie kołdrę na głowę, licząc, że Yvonne mi odpuści, jednakże ona zna mnie jak nikt inny. Pracuję dla niej dorywczo, odkąd rzuciłam studia, czyli już jakieś sześć lat. Jestem uniwersyteckim kierownicą. Yvonne dzwoniła tak długo, aż przetoczyłam się na bok, żeby sięgnąć po omacku po słuchawkę. Klęłam przy tym jak szewc. Przy okazji strąciłam na ziemię butelkę wódki, co jednak było bez znaczenia, bo nie ostała się w niej ani kropelka, a zresztą nawet gdyby była pełna, na dywanie jest tyle plam, że jedna więcej by nie zaszkodziła.

Pod czaszką rezonował mi głos szefowej:

– Pochodzi z Indii, Taro. Tak jak ty. Przyjechał z wizytą na naszą uczelnię

i chce odwiedzić świątynię w Pearland. Uznałam, że to ty powinnaś go tam zawieźć.

Chciałam odpowiedzieć, że nie, nie ma mowy. Czułam pewność, że ten człowiek, kimkolwiek jest, w niczym mnie nie przypomina. Ja nigdy nawet nie byłam w Indiach, nie zadawałam się z Hindusami, w ogóle nie myślałam o sobie jako o Hindusce. A zresztą nawet gdyby, trudno mówić o podobieństwie między dwiema różnymi osobami. Niestety było bardzo wcześnie, w ustach miałam sucho, a mój język zdawał się wielki i bezwładny jak ryba wyrzucona na brzeg.

Jednakże milczenie nie zniechęciło Yvonne. Zaczęła opowiadać, że ten Hinduś to jakiś geniusz ekonomii prosto z Indii. Minionego dnia wygłosił przy pełnej sali wykład na temat modelu drobnej przedsiębiorczości, dzięki któremu miał się poprawić los wielu ubogich kobiet w Trzecim Świecie. Ponoć oklaskiwano go na stojąco.

Nie zdziwiło mnie to. Ludzie uwielbiają słuchać o problemach innych. To sprawia, że zapominają o własnych kłopotach.

– Byłaś na tym wykładzie? – zapytała, choć bez większej nadziei.

– Yvonne, daj spokój – odparłam z jękiem. – Znajdź sobie kogoś innego. Nie wiem nawet, gdzie jest ta przeklęta świątynia. Do diabła, nie mam pojęcia, gdzie leży Pearland.

– Pożyczę ci mapę – powiedziała Yvonne. Głos jej stwardniał i stał się bardziej apodyktyczny. – Tylko się nie spóźnij. Potem będziesz musiała zawieźć go na lotnisko. – Rozłączyła się.

Zastanawiałam się, czyby do niej nie oddzwonić i nie poinformować, że źle się czuję. Problem polegał na tym, że tego miesiąca już dwukrotnie poszłam na zwolnienie. Odłożyłam z hukiem słuchawkę, złapałam ze sterty ciuchów na podłodze wczorajsze dzinsy i tylko w połowie świeżą koszulkę, po czym potykając się, ruszyłam do łazienki.

Dopiero pod prysznicem przypomniałam sobie, jaki dzisiaj jest dzień. Prawie

udało mi się o tym zapomnieć dzięki wódce. Wyszłam spod prysznic, ociekając wodą i mydłem, z zamiarem powiedzenia szefowej, że jednak nie dam rady. Koniec końców nie zatelefonowałam do niej, bo przyszło mi do głowy, że zostanie w domu samej byłoby jeszcze gorszym rozwiązaniem.



Gdy doktor Wenkataczalpathi dostrzegł tego ranka w hotelowym holu młodą Hinduskę, poczuł skurcz żołądka i zmówił spóźnioną modlitwę: oby nie okazała się moim kierowcą, oby uczelnia przysłała kogoś innej rasy, białego albo czarnego, obojętne. Nie chodziło o to, że czuł się swobodnie w towarzystwie osób innej rasy (gdyż tak nie było). Jednakże jeszcze gorsze było przebywanie w obecności Hinduski, która miała sterczące farbowane włosy, kolczyk we brwi oraz – jak miał się niebawem przekonać – drugi w języku. Do tego fakt, że dziewczyna była mniej więcej w wieku Miny, tylko komplikował sprawę. Właśnie dlatego, gdy z lekkim uśmiechem otworzyła mu przednie drzwi, powiedział stanowczo, że woli usiąść z tyłu.

– Jak pan chce. – Uśmiech zniknął.

Żującą przez cały czas gumę dziewczyna zrobiła balon, który pękł z głośnym trzaskiem, świadcząc zarazem o jej gniewie i pogardzie. Potem zamknęła z hukiem drzwi, sprawiając, że pasażer aż podskoczył na tylnej kanapie.



Dwa lata temu, tego samego miesiąca, też podróżowałam drogą 288. Siedziałam wtedy na fotelu pasażera podrasowanego używanego mustanga, którego mój chłopak kochał bardziej ode mnie. Byłam zgięta w pół i właśnie wymiotowałam, a Justin prosił, żebym użyła specjalnej torebki, którą mi podał, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że na samochodzie zależy mu bardziej niż na tym, w jakim stanie jest jego dziewczyna – nawet jeśli odpowiadał za ten stan. Wysiadając, umiejętnie przechyliłam torebkę, aby jej zawartość zalała trudną do

wyczyszczenia przestrzeń między fotelami. Przeprosiłam natychmiast skruszonym tonem, tak że Justin nie mógł mieć pewności, czy to był niefortunny wypadek, czy nie.

Sądziłam, że jestem górą, ale gdzie tam. Parę tygodni później, jadąc znów tą trasą do kliniki świadomego rodzicielstwa, byłam sama, ponieważ wkrótce po incydencie z torebką na wymioty Justin opuścił moje życie.

Doktor Wenkataczalapathi zorientował się, że siedząca za kierownicą młoda kobieta nie ma pojęcia, dokąd jadą. Co jakiś czas spuszczała wzrok na notatki, sprawiając, że samochód niepokojąco zbaczał z wąskiego pasa. Pojedyncza zmarszczka na jej czole zadziwiająco przypominała mu o Minie. Dawno temu zostały w tyle wieże centrum medycznego, zniknęły nawet pstrokate ciągi handlowe, które zdawały się typowe dla tego miasta. Przed paroma chwilami minęli stado bydła o wielkich, nieprzyjaznych rogach. Najwyraźniej zanurzyli się w głęboką prowincję. Czy ta dziewczyna zdąży dowieźć go do świątyni, a następnie z powrotem na lotnisko?

Wyjął z kieszeni białą chusteczkę, którą pani Wenkataczalapathi uprasowała i umieściła w jego walizce, zanim opuścił Indie, po czym otarł nią spocony kark. Pożałował, że wspomniał jej o świątyni Minakshi w jednym z amerykańskich miast, do których został zaproszony. Twarz jego żony najpierw pobladła, a potem się zaczerwieniła. Pani Wenkataczalapathi miała delikatną jasną cerę, którą uwielbiał i którą odziedziczyła ich córka.

– To znak! – wykrzyknęła z rozgorączkowanym, szklistym wzrokiem. – To okazja! Obiecuj, że odwiedzisz tę świątynię i złożysz pudzę dla naszej Miny.

Od dawna o nic go nie prosiła. Nie miał sumienia jej odmówić.

Przez jakiś czas żywiłam podejrzania; teraz nabrałam pewności. Droga, która

coraz bardziej się zwężała, kończyła się bramą z tablicą: STAJNIE PINEY CREEK – WSTĘP WZBRONIONY POD GROŹBĄ ZASTRZELENIA. W Teksasie podobny napis może być żartem, ale nie musi. Próbuję zawrócić, ale nie mam wystarczająco dużo miejsca. Samochód niebezpiecznie się przechyla. Zdaje się, że jedno z tylnych kół zawisło w rowie. Cholera! Zerkam we wsteczne lusterko. Mój pasażer wygląda tak, jakby był na skraju apopleksji, więc szybko uciekam wzrokiem. Sama też nie czuję się za dobrze. Moje serce zachowuje się jak narwany więzień, wałąc o kraty z żeber, jakby chciało natychmiast wydostać się na zewnątrz.

Robię to, co zalecił mi doktor Menaghan z poradni na wypadek ataku paniki.

– Uspokój się, dziewczyno – mamroczę. – Bywałaś w gorszych opałach. Dasz sobie radę.

Czasami to działa, czasami wręcz przeciwnie. Dziś najwyraźniej nie mam szczęścia. Czuję, jak wspomnienia rozpychają mi się w głowie tuż za oczyma. Nie jestem pewna, które z nich wygra. Tata, przyjechawszy w odwiedziny na uczelnię podczas pierwszego semestru, zabrał mnie do mojej ulubionej restauracji i oznajmił, że rozwodzi się z mamą. A może Robert, mój pierwszy prawdziwy chłopak, którego pewnego dnia nakryłam w łóżku z inną kobietą. Dziś zwyciężcą jest klinika z jej oślepiająco rażącymi światłami. Dwa lata temu. Tyle zapamiętałam: leżałam na sali pooperacyjnej sama i przez wieczność. Tyle czułam: lodowato zimne strzemiona, w których umieszcza się stopy, zanim lekarz włoży w ciebie rozszerzacz.

~

Z początku doktor Wenkacaczalpathi nie był pewien, co się dzieje. Czyżby dziewczyna nagle się rozchorowała? Zaciągnęła hamulec ręczny i trzymała się kierownicy, jakby od tego zależało jej życie. Zaczęła się pocić i oddychać chrapliwie. Jej oczy, które widział we wstecznym lusterku, były rozbiegane.

Samochodem nieprzyjemnie zarzucało. Możliwe, że wylądują w rowie, a tym samym on nie zdąży na samolot do Indii. Może nawet skończy w szpitalu. Czuł, że napięcie w nim rośnie jak ciśnienie w szybkowarze.

Zamknął oczy i skupił się na oddechu. Gdy już się uspokoił, przejaśniło mu się w głowie i nagle wiedział, co robić. Czyż nie poradził sobie w gorszych sytuacjach w przeszłości? Gdy dotarły do nich wieści o Minie, zaprowadził rozhisteryzowaną żonę do kuchni i ochlapał jej twarz zimną wodą. Darła go paznokciami, on jednak pewnie schwycił jej dłonie i powiedział: „Musimy pomóc sobie wzajemnie”. To uspokoiło ją na tyle, że była w stanie wsiąść do radiowozu, który miał ich zawieźć do szpitala.

Teraz powiedział do dziewczyny:

– Wsiądę i cię pokieruję.

Posłała mu chmurne spojrzenie i mruknęła coś w stylu: „Mam to pod kontrolą”.

– Nalegam – rzekł, po czym wyszedłszy na skwar, zaczął rzucać wskazówki. W przód, w tył. W przód, w tył, dosłownie o milimetry za każdym razem. W końcu udało się zawrócić samochód.

Uszczęśliwiony tym małym tryumfem, obserwował dziewczynę podczas jazdy powrotnej. Siedziała za kierownicą zgarbiona i naburmuszona, w żaden sposób nie okazując wdzięczności. Budziła w nim naukowca. Stanowiła zagadkę, z hinduskimi rysami twarzy i teksańskimi butami, wyzywającym piercingiem, skórą napiętą na kościach policzkowych i zwiotczałą pod oczyma. No i te nastroszone włosy, opadające dziecięcą grzywką na czoło. Czytał gdzieś, że podobne fryzury noszą lesbijki. Co za Hindusi, nawet amerykańscy, wyprodukowali taką hybrydę?

Zaraz jednak jego uwagę zaprzętnęły sprawy bardziej praktyczne. Przede wszystkim musieli znaleźć świątynię. zaproponował, że będzie czytał notatki na głos. Tymczasem ona włączyła radio, jakby go nie usłyszała; wewnątrz samochodu

zalała kakofonia dźwięków. Mając w pamięci nastoletnią córkę, wiedział, co to znaczy: młoda kobieta wstydziła się skorzystać z pomocy. Sięgnął więc nad oparciem fotela pasażera i wyrwał jej kartki, zanim zdążyła cofnąć rękę.

Problem polegał na tym, że drogi, którymi jechali, miały oznaczenia numerowe, a wskazówki posługiwały się wyłącznie nazwami. Kazał dziewczynie zawrócić na główną drogę, po czym zaczął odliczać mile – kolejna zagadka! – i zdołał pokierować nią tak, że w końcu zamajaczyła przed nimi biała bryła świątyni.

Gdy wreszcie zaparkowali, rzuciła:

– Dzięki. – To krótkie, niechętnie słówko przeppełniło go, o dziwo, szczęściem.

Zerknął na zegarek.

– Mogę tu pobyć tylko przez dwadzieścia minut. Obawiam się, że nie będziesz miała czasu na lunch. Musisz na mnie poczekać i podrzucić potem na lotnisko.

Skinęła głową. Po chwili się odezwała:

– Przykro mi, że się zgubiłam.

– Nic się nie stało – odparł i ze zdziwieniem stwierdził, że istotnie nic się nie stało, ponieważ czas (podobnie jak większość elementów jego życia) był wymysłem człowieka. – Bogini nie przejmuje się tym, ile czasu możemy jej poświęcić – dodał. – Interesuje ją tylko to, jak bardzo chcemy tu być.

Dziewczyna wpatrywała się w niego, ważąc w duchu jego słowa. Pod jej spojrzeniem poczuł się jak oszust. Gdyby nie obietnica wymuszona na nim przez żonę, nawet by nie chciał odwiedzić tej świątyni. Aby ukryć zmieszanie, zapytał pośpiesznie:

– Wejdiesz ze mną do środka?

Pożałował tego, ledwie skończył mówić. Dziewczyna mogła być chrześcijanką albo muzułmanką. Bądź ateistką. Z dzisiejszą młodzieżą nigdy nic

nie wiadomo.

Spodziewał się szorstkiej odmowy, jednakże dziewczyna wskazała na dżinsy i czarną koszulkę, która opinała jej szczupły tors.

– Mogę wejść tak ubrana?

Stłumił własne wątpliwości.

– Oczywiście. Bogini nie przejmuje się tym, co mamy na sobie. Interesuje ją tylko to, co kryje się w naszych sercach.

– Nie jestem pewna, czy kwalifikuję się także pod tym względem – rzekła.



Z tego, co mi wiadomo, nigdy nie odwiedziłam żadnej świątyni. Tata, który za młodu był komunistą, sprzeciwiał się religii. Mama musiała się z nim wyklócać, aby urządzić w kuchni ołtarzyk i postawić małą figurkę dziesięciorekwej bogini wśród buteleczek z przyprawami. Ponieważ to ojciec stanowił centrum mojego świata, dorastałam w przekonaniu, że religia jest opium dla mas. Gdy mama podarowała mi święty obrazek, kiedy wybierałam się na studia, wrzuciłam go na samo dno walizki, po czym na miejscu nawet nie wyjęłam przy rozpakowywaniu.

Wkraczając teraz do świątyni, czuję, jak moje nozdrza atakuje intensywna woń. Ta mieszanina zgniecionych kwiatnych płatków, kadzidełek i leśnego zapachu świętego popiołu, jak dowiem się niebawem, jest dziwnie znajoma. Czyżby mama zabrała mnie do świątyni, kiedy byłam niemowlęciem i nie mogłam jej zdradzić przed ojcem? Miała powody mi nie ufać: odkąd nauczyłam się mówić, opowiadałam tacie o wszystkim. Do czasu, aż doprowadził naszą rodzinę do ruiny – wtedy całkowicie przestałam się do niego odzywać.

Po rozwodzie rodziców nie rozmawiałam też zbyt wiele z mamą. Ostatnio słyszałam ją dwa lata temu, w wieczór przed aborcją. Zadzwoiłam na jej komórkę z automatu telefonicznego przy supermarkecie, ponieważ nie chciałam,

aby oddzwoniła – zastając mnie pijaną i zapłakaną – a miała w zwyczaju to robić, dopóki nie zmieniałam numeru telefonu.

Skontaktowałam się z nią, bo się bałam. Bo nie miałam pewności, czy postępuję właściwie. Powtarzałam sobie: „Jeśli powie «Nie rób tego», odwołam wizytę. Jeśli zaprosi mnie do siebie, pojedę do niej, gdziekolwiek by mieszkała”.

Ale nie miałam okazji z nią porozmawiać. Telefon odebrał jakiś mężczyzna. W pierwszej chwili myślałam, że to pomyłka, ponieważ pora była naprawdę późna. On jednak wyprowadził mnie z błędu. Kazał mi poczekać na linii. Odłożył słuchawkę i krzyknął coś, a ton jego głosu był familiarny, wręcz intymny. Usłyszałam, że mama coś odkrzykuje. Wprawdzie nie zrozumiałam słów, ale wyczułam uśmiech w jej głosie. W życiu nie czułam się tak samotna.

Rozłączyłam się wtedy. Mama najwyraźniej żyła dalej swoim życiem. Ja musiałam zrobić to samo.

Idziemy przez salę kolumnową w stronę bóstw, z których każde połyskuje w swojej wnęce. Doktor W – powiedział, że mogę tak do niego mówić dla ułatwienia – zapoznaje mnie skrótowo ze świętą rodziną. Tu jest bogini z mężem po prawej i bratem po lewej. Dalej są żony jej brata. Tam zaś zwierzęta, na których bóstwa się poruszają. Fascynujące są te misterne niebiańskie zależności. Wielosylabowe nazwy natychmiast umykają mi z pamięci. Szczerze mówiąc, nie przykładam się zbytnio. Umiejętność zapominania jest moim zdaniem ważniejsza.

Zaspany starszawy kapłan w białym dhoti siedzi na rozkładanym metalowym krzeselku przed wnęką bogini. Przygląda mi się podejrzliwie, mimo że – przez wzgląd na doktora W – przed wejściem do świątyni wyjęłam kolczyk z brwi. Owinęłam się nawet szalem, który doktor W wyciągnął z walizki. A jednak oczy kapłana mówią: „Nie zwiedzisz mnie. Nie pasujesz tutaj”.

Świątynia okazała się rozczarowaniem pod względem architektonicznym. Doktor Wenkacaczalpathi uznał, że stanowi ona jeszcze jedną – szumną, ale z góry skazaną na niepowodzenie – próbę odtworzenia hinduskości przez miejscową diasporę. Coś takiego nie mogło się równać z oryginalną świątynią Minakszi w Maduraju, gdzie czternaście zdobnych bram wznosi się na wysokość dwudziestu pięter. Jakże ktoś mógłby marzyć o odtworzeniu energii buzującej w jej wnętrzu, zrodzonej ze stuleci modlitw, w tym płaskim krajobrazie upstrzonym dziwnymi drzewami, po złej stronie czarnej wody? Nawet on, który nieczęsto odwiedzał świątynie, czuł potęgę tego miejsca. Dwadzieścia lat wcześniej, wskutek namów żony, złożyli ofiarę dziękczynną na ołtarzu bogini, gdyż nareszcie obdarowała ich żywym dzieckiem. Podróż pociągiem zajęła cały dzień. Pojechali wszyscy: doktor Wenkacaczalpathi, jego żona i dziesięciomiesięczna Mina. Dziewczynka klaskała w rączki z uciechy, gdy natknęli się na procesję słońi. Klejnot jego starości, dar bogini, który teraz przepadł na zawsze...

Nie. Błądził w tym ciemnym lesie nazbyt długo. Zawołał po tamilsku kapłana i ostrym tonem zażądał, aby ten odprawił arczaną w intencji Minakszi Wenkacaczalpathi. Udzielił niezbędnych informacji, po czym kapłan odkuśtykał w stronę bogini, niosąc dzwonek i miseczkę z proszkiem cynobrowym.

Rozmyślając o Minie, zapomniał na chwilę o towarzyszącej mu młodej kobiecie. Ale teraz podeszła do niego, lśniąca w jego białym szalu, i zaczęła szeptem zadawać pytania, których entuzjazm go zadziwił. Co kapłan będzie robił? Co znaczy arczana? Czy ta modlitwa niesie jakieś specjalne znaczenie? Przez pełne zachwyty oczy wydała mu się nagle jeszcze młodsza.

– To błogosławieństwo, na szczęście – odparł. – W tym i w następnym życiu. Czekaj, zamówię też arczaną w twojej intencji. Tylko musisz mi zdradzić swoje imię.

– Och, nie. Nie musi pan tego robić! – Mimo to twarz jej jaśniała, gdy

podawała informacje.

– Och – stwierdził zdziwiony. – Też nosisz imię bogini.

Gdy doktor Wenkaczałapathi poprosił kapłana o dodanie imienia Tary do arczany, starszek zmarszczył brwi.

– Do jakiej rodziny należy? Pod jakim znakiem się urodziła? Jaka przyświeca jej gwiazda? – zarzucił pytaniami doktora Wenkaczałapathiego. Obaj wiedzieli, że bez tych kluczowych informacji modlitwa zmówiona w świątyni nie będzie w pełni skuteczna.

Doktor Wenkaczałapathi zerknął na Tarę. Spoglądała na niego pytająco, wychwyciła bowiem w tonie starszka dezaprobatę. Doktor Wenkaczałapathi obawiał się, że dziewczyna nie będzie znać odpowiedzi, ponieważ ewidentnie wywodziła się z rodziny, która nie przykładła wagi do takich spraw. Pewnie nawet nikt nie postawił jej horoskopu w dniu urodzin. Miał nadzieję, że się myli. Bez horoskopu – skąd człowiek miałby wiedzieć, kim jest? Przyszłoby mu dryfować przez życie, zamiast nawigować przez nie.

– Co on mówi?

– Nic ważnego. – Odwrócił się do wyczekującego kapłana. – To moja krewna. Z tej samej gotry... Z tej samej rodziny.

– Ale...

Nie pozwolił mu skończyć, podając nazwę własnej gwiazdy.

Było jasne, że kapłan mu nie uwierzył. Ale koniec końców był tylko człowiekiem do wynajęcia. Doktor Wenkaczałapathi słusznie się domyślał, że starszek marzy jedynie o tym, by dobrnąć do kresu zmiany i udać się do domu, gdzie nareszcie będzie mógł się wyspać. I rzeczywiście: wzruszył tylko ramionami, po czym zaczął inkantować święte imiona zadziwiająco dźwięcznym głosem.

W świątyni coś się wydarzyło. Czytałam z twarzy kapłana, z jego głosu. Nietrudno jest wychwycić nieufność, nawet gdy nie zna się języka. Chciałam odejść, jednakże doktor W mnie zatrzymał. Porozmawiał z kapłanem, roztaczając aurę autorytetu i sprawiając, że staruszek coś mruknął i odwrócił wzrok. Modlitwa w mojej intencji została zmówiona – prawdopodobnie pierwszy raz, odkąd żyję. Teraz niosę dumnie garść zgniecionych płatków, jabłko, papierowy kubeczek z popiołem i pojemnik z brejowatą owsianką. Dolatuje mnie magiczna mieszanka zapachów. Ciekawa jestem, jak długo się utrzyma w powietrzu. Oczywiście znam już odpowiedź: wszystko, co dobre, szybko się kończy.

Wyszędłszy na zewnątrz, zdejmuję z ramion biały szal i oddaję go właścicielowi. W duchu zaklinam doktora W, aby mi go podarował, jednakże on przyjmuje ode mnie szal z zamyśloną miną i odkłada na tylne siedzenie. Zdumiewa mnie siła rozczarowania i – tak! – gniewu. Wiem, że to głupie. Niby co miałabym zrobić z takim szalem? Nigdy więcej nie będę mieć okazji, aby go włożyć, a zresztą ostatnie, czego mi trzeba, to jeszcze jedna rzecz, która zagrabi moją kawalerkę.

Wsiadamy do samochodu, podkręcamy klimatyzację i jemy. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka jestem głodna. Upma – to jest owsianka – smakuje znacznie lepiej, niż wygląda. Kiedy wysiadam, żeby wyrzucić puste pojemniki, otwieram tylne drzwi i gmeram za oparciem fotela, jakbym coś poprawiała, ale tak naprawdę utykam szal szybkim, niezauważalnym ruchem. Dzięki temu doktor W o nim zapomni na lotnisku, a ja będę mogła zatrzymać go dla siebie.

Wskakuję za kierownicę z dudniącym sercem. Wiem, że nie powinnam była tego robić, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Od czasu do czasu nachodzi mnie taka chęć – nieokiełznana niczym rosnąca gorączka. Wtedy po prostu muszę zabrać to, co mam przed oczyma, mimo że wiem, iż pewnego dnia wpadnę przez to w poważne kłopoty.

W świątyni nie rozumiałam, co śpiewa kapłan, lecz i tak rytm jego głosu był

hipnotyzujący. Doktor W powiedział mi, że mantra ma tysiąc lat. Przez długi czas była zbyt święta, aby ją zapisać. Zastanowiłam się nad tym, jak trwała przez wieki, zanim przedostała się tutaj, do Ameryki, i została wyrecytowana dla mnie. Aż mi zapało dech w piersiach.

– Co kapłan mówił na sam koniec? – pytam doktora W. – Gdy podszedł do czarnego kamienia Sziwy i zaczął go obchodzić z lampą?

– To była modlitwa przebaczenia – odpowiada. Mam nadzieję, że powie coś więcej, on jednak jest zajęty zgniataniem pustego pojemnika w ręce. Dodaje tylko: – Pora jechać już na lotnisko.

Prowadzę, a siedzący na fotelu pasażera doktor W mnie kieruje. Opanowaliśmy tę sztukę do perfekcji. Bardzo szybko wyjeżdżamy na Broadway, skąd zjeżdżamy na drogę 288. Na lotnisku będziemy za mniej niż godzinę, po czym doktor W zniknie z mojego życia. Zdumiewa mnie świadomość, że chcę, aby było inaczej. Ale dlaczego? Odkąd tata dał nogę, unikałam Hindusów, zwłaszcza płci męskiej. Czemu więc ten łysy starszy pan nagle zaczął mieć dla mnie znaczenie?

Doktor W gapi się przez okno, najwyraźniej błędząc myślami gdzie indziej. Chciałabym wiedzieć gdzie.

– Ta kobieta, w której intencji była modlitwa... Czy to pańska krewna? – pytam.

– To moja córka. – Milknie na długą chwilę. Kiedy już myślę, że nic więcej nie powie, on dodaje: – Zmarła w ubiegłym roku.

Cholera.

– Przykro mi... – zaczynam, on jednak odwraca się do okna jeszcze bardziej, ucinając moje przeprosiny.

Mijamy zjazd do kliniki świadomego rodzicielstwa. Jesteśmy już blisko centrum. Pasy ruchu rozdzielają się i scalają. Pojawia się coraz więcej samochodów, kierowcy szaleją jak to w piątek, zupełnie jakby świat miał się

skończyć, jeśli czym prędzej nie dotrą na miejsce. Wymijam sznur ciężarówek, szukając w głowie słów, które mogłabym powiedzieć. Nie chcę, aby nasza rozmowa zakończyła się w ten sposób.

Doktor W ma chyba podobne odczucia, ponieważ rzuca pytanie.

– Co studiujesz?

Przypominam sobie sytuacje, w których hinduscy znajomi moich rodziców denerwowali mnie, pytając o to samo, ilekroć rozmowa utknęła w martwym punkcie. Często odpowiadałam coś na odczepnego, dziś jednak nie wiem, jak zareagować. Jeśli powiem doktorowi W, że rzuciłam studia i zaczęłam się w pracy bez perspektyw, zacznie mną gardzić. Z drugiej strony, wyznał mi prawdę, zasługuje więc na to samo. Ostatecznie decyduję się na złoty środek.

– Wzięłam urlop dziekański.

Zerkam na niego, aby wysondować jego reakcję. Doktor W krzywi się i wyrzuca ręce w górę. Nie spodziewałam się aż tak żywiołowej reakcji na moje wyznanie. Wtem i ja dostrzegam osiemnastokołową ciężarówkę, której kierowca zjeżdża na nasz pas, najwyraźniej nieświadomy, że przyczepa znajduje się dosłownie o cale od naszego samochodu. Spanikowana szarpie kierownicą w prawo, za późno jednak. Tył ciężarówki nas uderza. Rozlega się donośny hałas, w miejscu tarcia metalu o metal sypią się iskry. Chociaż może to mnie mieni się przed oczyma. Impet uderzenia sprawia, że nagle znajdujemy się na pasie obok. Moment później lądujemy na barierce ochronnej. I znowu te iskry. Ktoś krzyczy. Chyba ja. Znikąd pojawia się poduszka powietrzna. Wpycha mnie w oparcie. Znienacka wokół jest biało i cicho, zupełnie jak na filmie, gdy ktoś umiera i budzi się w niebie.

Nagle jednak poduszka wiotczeje i znów jestem na tym świecie. Słyszę kakofonię klaksonów i pisk hamulców, czuję smród spalonej gumy. W ustach mam gorycz – to żółć albo krew, sama nie wiem. Maski samochodu zrolowała się w harmonijkę, tak że niewiele widzę ponad nią. Na desce rozdzielczej walają

się okruchy rozbitej przedniej szyby. Część dostała mi się chyba nawet za koszulkę. Z silnika dobywają się kłęby pary. Czyżby samochód miał eksplodować? Mam takie wrażenie, jakby wszystkie moje kości były luzem. Zerkam na doktora W i widzę, że ma na czole paskudne rozcięcie. Próbuje odpiąć pas bezpieczeństwa, ale ręce zanadto mu się trzęsą. Pomagam mu gwałtownym ruchem i jakimś cudem oboje lądujemy na asfalcie; czołgamy się w kierunku przeciwnym niż auto. Po chwili siedzimy na poboczu, oparci o barierkę, i wtedy dociera do mnie, co się stało. Również zaczynam się trząść. To coś mi przypomina. Już pamiętam! Miałam tak po aborcji: drżałam i dygotałam, nie mogąc przestać.

– Przepraszam – mamroczę. – Bardzo, bardzo przepraszam.

Mój głos nie przebija się przez szum ruchu ulicznego. Nie jestem pewna, do kogo właściwie się zwracam.



Gdy doktor Wenkataczalpathi zobaczył tył ciężarówki zmierzający w jego stronę, zdziwił się, jak bardzo jest mu obojętna bliskość śmierci. Oczywiście bał się bólu i żałował swojej żony, która zostanie na świecie sama, a także młodej kobiety, która była z nim w samochodzie i którą czekały poważne obrażenia albo nawet coś gorszego. Ale koniec życia? Właściwie nie mógł się go doczekać. Jego córka obsesyjnie bawiła się w gry wideo i ilekroć wszystko sprzysięgało się przeciwko niej, po prostu pozwalała swojemu bohaterowi umrzeć, aby zacząć wszystko od nowa, bez żadnych obciążeń. Ciekawe, czy w jego wypadku będzie podobnie? Uderzając głową o deskę rozdzielczą, zastanowił się, czy na drugim świecie spotka Minę, tak jak obiecywały święte księgi. Nie wiedział, co jej powie. Czy Mina w ogóle zwróci na niego uwagę? A może zwyczajnie odwróci się plecami?

Ale jednak nie umarł. Jakimś cudem wydostał się ze zniszczonego

samochodu i teraz siedział na rozgrzanym asfalcie, łapczywie chwytając zadymione powietrze i ze strachem patrząc na przejeżdżające zbyt blisko pojazdy. W oddali zobaczył ciężarówkę, która w nich wjechała: też się zatrzymała i migła jednym tylnym światłem niczym cyklop okiem. Kierowca wysiadł z kabiny i szybkim krokiem zmierzał w ich stronę. Wokół zatrzymywali się inni kierowcy. Jacyż uczynni byli Amerykanie! Ktoś rozmawiał przez komórkę, wskazując na dymiący samochód osobowy. Nad doktorem Wenkacaczalopathim zawisła czyjaś twarz z poruszającymi się wargami. Kiedy nie odpowiedział, twarz po pewnym czasie zniknęła.

Siedząca obok niego dziewczyna kiwała się w przód i w tył, płacząc. „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”. Nagle zaczęła wyrzucać z siebie niewyraźne słowa. Uczyniła coś strasznego. Doktor Wenkacaczalopathi nie był w stanie zrozumieć, co mówi. Do gardła podeszły mu mdłości. Bogini, błagam, tylko nie wymioty w miejscu publicznym, pomyślał. Przed oczyma majaczyła mu zasmarkana, wykrzywiona twarz dziewczyny. Współczucie i niesmak walczyły w nim o lepsze, ale w końcu pokonało go znużenie. Doktor Wenkacaczalopathi złożył czoło na barierce.

Dziewczyna jednak nie ustępowała. Złapała go za ramię, wbiła mu w ciało paznokcie.

– Dokonałam aborcji. Słyszysz mnie pan? Dokonałam aborcji. Nikomu o tym nie mówiłam. Dwa lata temu, co do dnia, zabiłam swoje dziecko.

Jej słowa rozległy się echem wewnątrz jego ciała, jakby był dużym, pustym pokojem. Chciał o nich zapomnieć, chciał zapomnieć o dziewczynie, ale nie mógł tego zrobić.

– Myślałam, że mnie pan zrozumie – ciągnęła. – Ale nie. Czemu miałby mnie pan rozumieć? Nigdy w życiu nie zrobił pan nic tak strasznego.

Łatwo byłoby mu się z nią zgodzić. Powiedziałby wszystko, byle zakończyć tę rozmowę. Mógł poklepać ją po plecach i oznajmić, że jest mu przykro.

W końcu miałyby to za sobą. Przyjechałyby policja, karetka, straż pożarna z jej znajomą, pocieszającą czerwienią.

Tymczasem ku własnemu zdziwieniu dotknął dłoni dziewczyny. Musiał użyć całej swojej siły woli, aby jej się nie wyrwać, gdy go ucapiła. Zaczął opowiadać o Minie. Najpierw niepewnie, potem coraz szybciej, ponieważ miał tylko kilka minut. Tara go słuchała ze zwróconą ku niemu twarzą. Zdał sobie sprawę, że od dnia śmierci córki nie rozmawiał o niej z nikim – jeśli nie liczyć grzecznych, pozbawionych wszelkiego znaczenia odpowiedzi na kondolencje. Nawet z żoną, która prosiła go, aby tego nie robił.

Miała zwariowane poczucie humoru i zwyczaj odgarniania włosów obiema rękoma do tyłu, ilekroć wybuchała śmiechem. Nie brakowało jej charakteru i często wdawała się z nim w sprzeczki, ale też była pierwsza do przebaczenia. Nie grzeszyła nadmierną urodą. Miała za duży nos, za wydatny podbródek – to po nim. W jego oczach jednak była piękna, uczciwa i bystra. Wzdychając, opowiadała mu o koleżankach, które spotykają się potajemnie z chłopcami w kinie; sama nie miała czasu na wykręty.

Tłumaczył jej skomplikowane teorie ekonomiczne, nad którymi pracował, mimo że była dopiero w szkole średniej i z pewnością nic z tego nie rozumiała. Niemniej siedziała zasłuchana długo w noc. Po tym, jak wyjechała na studia do Delhi, dalej prowadzili długie rozmowy, tyle że przez telefon. Jego żona zachodziła do gabinetu rozespana, rozczochrana, skarżąc się, że poświęca nieobecnej Minie więcej czasu niż jej.

W końcu Mina zrobiła dyplom i znalazła w Delhi pracę w organizacji rządowej, która pomagała nastolatkom zakładać małe firmy. Był dumny, że ją zainspirował. Pokazywał krewnym zdjęcia, które przysyłała: przedstawiały grupki dziewcząt z haftowanymi torebkami albo słoikami marynowanych papryczek czy owoców.

Kiedy zaczął dla niej szukać męża, przyjechała do Madrasu, aby się z nim

rozmówić. Pod oczyma miała cienie, jakby za mało spała. Przepracowywała się ta jego córka.

– Tato – powiedziała. – Nie chcę takiego małżeństwa. Jestem w kimś zakochana.

Był to dla niego szok. Małżeństwa z miłości były niespotykane w ich konserwatywnej, bramińskiej rodzinie. Jednakże zdołał przełknąć obiekcje. Czasy się zmieniały, a on był skłonny zmienić się razem z nimi, jeśli to miało uszczęśliwić jego córkę. Tyle dla niego znaczyła.

– Powiedz mi, amma – poprosił. – To ktoś z pracy?

– Tak – odparła, rumieniąc się na szczupłej twarzy. – Chciałabym, abyś ją poznał.

Dzieci... Tylko one potrafią zniszczyć człowiekowi życie jednym słowem.

Z początku myślał, że się przesłyszał. Nawet gdy mu wszystko wyjaśniła, odmawiał przyjęcia tego do wiadomości.

– To pomyłka – powtarzał. – To musi być jakaś pomyłka. Coś takiego jest nienormalne. Sama nie wiesz, co mówisz. Wpadłaś w złe towarzystwo, straciłaś rozeznanie. Pozwól, że zabierzemy cię do lekarza.

Parę razy wybuchnęła płaczem, ale zarazem była stanowcza.

– Taka jestem, appa – odparła. – Nie mogę tego dłużej przed tobą ukrywać.

Co wtedy powiedział, gdy świat rozpadał się wokół niego? Może: „To odrażające”. Może: „Przyniosłaś nam wstyd”. Wiedział tylko tyle, że nie podniósł głosu. Niewykluczone, że jego opanowanie tylko pogorszyło sprawę. Na koniec na pewno rzucił:

– Nie chcemy cię znać. Odejdź i nigdy nie wracaj.

Nie uwierzyła mu. Co wieczór telefonowała z Delhi w nadziei, że jej wysłucha. W końcu musiał zablokować jej numer.

Wkrótce potem przyszła policja. Śmierć z powodu przedawkowania środków

nasennych.

210

Ratownicy medyczni badają nas pod kątem obrażeń – tych, które można stwierdzić przyrządami. Mówią nam, że mieliśmy szczęście. Jesteśmy tylko w szoku, hospitalizacja nie będzie potrzebna. Należycie opatrzeni i spacyfikowani lekami zostajemy przewiezieni na komisariat, gdzie składamy zeznania. To, co mówię, nie ma większego sensu. Myślami wciąż jestem przy Minie. Widzę jej blade nieruchome ciało na szpitalnych noszach, z których smutno opadają ku ziemi długie włosy.

– Moja żona czepiała się jej z łkaniem – powiedział doktor W. – Ja jednak nie byłem w stanie nawet jej dotknąć. Czuję, że nie mam do tego prawa.

Policja najwyraźniej zawiadomiła uczelnię, bo oto pojawia się dziekan Wydziału Ekonomii, który sypie przeprosinami. Zabierze doktora W na lotnisko i postara się mu przebukować lot. Mnie miażdży spojrzeniem, wkładając do bagażnika walizki. Doktor W wyjaśnił mi, że wypadek nie był moją winą, jednakże ja czuję, że niebawem pożegnam się z pracą.

Doktor W odwraca się do mnie, aby się pożegnać. Mam tylko moment.

– Dziękuję, że opowiedział mi pan o swojej córce – mówię. Chcę dodać coś o tym, jak się teraz czuję: może nie do końca lepiej, ale na pewno mniej samotnie. Jednakże słowa tylko by wszystko zepsuły.

– Nie – odpowiada. – To ja dziękuję tobie. – Po czym dodaje: – Wróć na uczelnię, amma. Nie poddawaj się.

Patrzy mi prosto w oczy, dopóki nie kiwnę głową.

Dziekan chrząka. Doktor W wsiada do jego samochodu. Chwilę później już ich nie ma.

Stojąc przed komisariatem i czekając na kogoś, kto mnie podwiezie do domu, podnoszę z ziemi torbę. Znienacka ogarnia mnie zapach ze świątyni.

Zaglądam do torby i widzę, że papierowy kubeczek z popiołem pękł. Miałki szary pył pokrywa wszystko: portfel, szminkę, klucze, nawet moje palce. Pochyliam głowę i biorę głęboki wdech, ale przyprawia mnie to jedynie o atak kichania.

Ile mam oszczędności w banku? Ile mam sił w sobie? Czy tym razem dam radę? Wyczerpuje mnie samo myślenie o wysiłku, jaki trzeba będzie włożyć w zapamiętywanie informacji i odtwarzanie ich na egzaminach.

Głowa mi pęka, zupełnie jakby ktoś założył mi imadło i ścisnął. Taki ból wymaga leków, i to silnych. Valium mi się skończyło, ale wciąż mam w szafce resztkę wódki, trzymanej na sytuacje awaryjne.

Przypominam sobie, że zapomniałam uratować skradziony szal. Przepadł, odciążony razem z autem. Podobnie jak tylu innych rzeczy w swoim życiu, jego także już nigdy więcej nie zobaczę.

Zęby mi dzwonią. To efekt spóźnionego szoku albo odstawienia valium. Ile jeszcze będę czekać na podwózkę?

Rozważam, czyby nie wrócić na komisariat, żeby się poskarżyć. Jestem obywatelką USA. Mam swoje prawa. Ale właśnie wtedy nachodzi mnie pewne wspomnienie.

U wejścia do świątyni doktor W poinformował mnie, że będziemy musieli zdjąć buty. Posłuchałam niechętnie. Płyty szerokiego dziedzińca były rozgrzane do białości. Parzyły mnie w podeszwy stóp. Wyrwałam do przodu na samych palcach, byle prędzej wejść do środka. Jednakże doktor W przywołał mnie z powrotem.

– Zanim staniemy u stóp bogini – rzekł – musimy się oczyścić.

Przy drzwiach był kran z podłączonym zielonym węzem. Doktor W przekręcił go. Chociaż stopy na pewno też go paliły, skierował wąż najpierw na mnie. Woda rozlała się na moim podbiciu i ochłodziła mi poparzone podeszwy.

Ten srebrzysty blask zimna w gorące popołudnie. To małe

błogosławieństwo. Jakże mogłabym je zapomnieć?





Kuchnia Beli: 2002



potkałem ją po raz pierwszy tego samego wieczoru, gdy opuścił mnie David.

Po tym jak szczęknęły za nim drzwi frontowe, poczułem potrzebę wyjścia z domu. Udałem się do delikatesów obok tej niezależnej księgarni, w której organizowałem wydarzenia. Zapłaciłem koszyk produktami, których David nie pochwalał. Kupiłem lody, sześciopak budweisera – zwykłego, nie bezalkoholowego – i wielką paczkę kurzych nuggetów. Mimo wszystko jednak pozostawił po sobie ślad. Złapałem się na tym, że czytam tabele informacyjne na odwrocie opakowań: ile co ma kalorii, ile cholesterolu. Zacząłem się nawet zastanawiać, jakimi hormonami były szpikowane kurczaki. Wyrecytowałem nazwy konserwantów: azotan potasu, kwas izoaskorbinowy, L-cysteina, jak gdybym uczył się do groźnej klasówki z chemii.

Zdziwiło mnie, że Lance, kierownik sklepu, siedzi na kasie. Rękawy koszuli miał podwinięte. Przedramiona mu błyszczały. Wyjaśnił mi, że kasjerka znienacka odeszła, po czym spojrzał kpiąco na wybrane przeze mnie produkty.

– Co to, Kenneth? David wyjechał w delegację?

Bąknąłem coś. Żenujące było to, że Lance tyle wie o naszym życiu.

Lubiłem Lance'a. Od czasu do czasu wpadaliśmy na niego z Davidem w pubie czy w kawiarni, gdzie natychmiast do nas podchodził, aby przedstawić

nam swego partnera. Świetnie opowiadał kawały. Mimo że David twierdził, iż jest z niego chwalipięta, ja lubiłem jego spalone poczucie humoru. Nie zamierzałem jednak mu się zwierzać.

Zanim wróciłem do domu, straciłem apetyt. Jednakże i tak włożyłem nuggetsy do piekarnika. Następnie zacząłem przetrząsać szafę w poszukiwaniu gier wideo, które ukryłem tam, ledwie David się do mnie wprowadził. Odkurzyłem swoje Nintendo 64 i załadowałem przerwana grę *GoldenEye*. Ucieszyło mnie, że choć nie grałem od półtora roku, refleks miałem w dalszym ciągu doskonały. Kiedy nuggetsy były gotowe, zjadłem cały talerz. Nowością dla mnie, przyjemnością wręcz, był smak czegoś innego niż organiczna kuchnia, do której przywykłem za Davida. Po kolacji zamierzałem usunąć numer Davida z mojej komórki. Chciałem też wejść na Facebooka i zmienić status na „stanu wolnego”. Może nawet zablokować jego konto. Ale po tym jak w końcu znalazłem telefon, uznałem, że szkoda zachodu. Zamiast tego poszedłem więc do lodówki po mrożony batonik. W dzieciństwie mama dawała mi je zawsze przy specjalnych okazjach. Odgryzłem spory kawałek w nadziei, że przywróci mi dobre samopoczucie i szacunek do samego siebie. Niestety tak się nie stało.

Nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś jest przy drzwiach. Wyłączyłem telewizor, aby się upewnić, że to nie halucynacje wywołane samotnością. Ale nie. W zamku zgrzytnął klucz. Zaklekotała klamka. Rozległy się dudniące głosy, które zagłuszało walenie mojego bezwstydного serca. Wyrzuciłem resztę batonika do kosza i przykryłem zużytym ręcznikiem papierowym. Twarz przybrałem w wyraz przebaczenia.

Kiedy jednak otworzyłem drzwi, w progu nie stał skruszony David. Zamiast niego zobaczyłem niechlujną kobietę w dżinsach i rozciągniętym swetrze. Na pierwszy rzut oka poznałem, że to Hinduska albo ogólniej: mieszkanka Bliskiego Wschodu. Mogła mieć jakieś pięćdziesiąt parę lat. Na mój widok zmieszła się wyraźnie. Najpierw odezwała się w niezrozumiałym dla mnie języku. Potem

rzuciła:

– Dlaczego mój klucz nie pasuje? Co pan robi w moim mieszkaniu?

Sposób, w jaki mówiła, wskazywał, że wcześniej piła alkohol.

Odparłem, że mieszkanie tak naprawdę jest moje. Rozczarowanie sprawiło, że ton głosu miałem ostry. Moment później zatrzasnąłem drzwi. Nic więcej nie słyszałem.

Wróciłem do pokoju i włączyłem *Saturday Night Live*. To był błąd. Oglądaliśmy ten program co sobotę, skuleni razem pod kołdrą. David każdorazowo ulegał moim plebejskim gustom i przyrządzał popcorn. Tego dnia, oglądając telewizję w pojedynkę, nie byłem w stanie skupić uwagi na przedstawieniu. Co robi David? Z kim jest? Takie myśli zaprzętały mi głowę. Zrywając ze mną, przesunął klucz do mieszkania po blacie i powiedział:

– Kenneth, nie pasujemy do siebie.

Zupełnie jakbyśmy byli kawałkami dwu różnych układanek. Otrząsnąwszy się z szoku, uznałem, że powód jest prawdopodobny, ale teraz, siedząc po ciemku w pokoju rozjaśnianym tylko przez blask telewizora, zacząłem mieć wątpliwości.

David zabrał swoje książki. To, co zostało – głównie podręczniki z czasu moich studiów oraz darmowe egzemplarze z biblioteki – wałało się na półkach. Musiałem przechylić głowę, żeby odczytać tytuły. *Tessa d’Urberville: Historia kobiety czystej*. *Niewidzialny człowiek* Ellisona. *Kultura jako źródło cierpień*. *Atlas chmur*.

Chciałem pójść po drugi batonik, ale myśl o jego słodkim smaku sprawiła, że zrobiło mi się niedobrze. Zresztą w żołądku rozpierały mi się nuggetsy, które atakowały tłuszczem. Postanowiłem położyć się spać. Tego naprawdę było mi trzeba. Nazajutrz czekała mnie praca, za co byłem wdzięczny. Przypomniałem sobie, że lubię swoje zajęcie. Lubiałem księgarnię. Lubiałem szefa. Godziny pracy były elastyczne, klienci inteligentni, no i miałem ubezpieczenie zdrowotne.

Ruszyłem do sypialni, która jednak okazała się nabrzmią pustką. Przeniosłem więc poduszki i koc na kanapę i tam się położyłem. Wyobraziłem sobie Davida. Było to silniejsze ode mnie. Widziałem go z innym mężczyzną, jak przygniata go – do dywanu, a może do stołu. David był pełen pomysłów, jeśli o to chodzi. Uśmiechał się w sposób, który tak dobrze znałem – zadzierając jeden kącik warg w górę. W mojej wyobraźni trzymał drugiego mężczyznę za włosy.

Umysł to podstępna bestia. Zanim się zorientowałem, co mi szykuje, wróciłem wspomnieniami do początków naszego związku, gdy mieliśmy w zwyczaju leżeć obok siebie po seksie i zwalczać sen z całych sił, ponieważ tyle chcieliśmy sobie nawzajem powiedzieć. Czasami obrysowywałem delikatnie kontur jego twarzy, dopóki się nie roześmiał i nie poskarżył, że go łaskoczę.

Co jest bardziej bolesne – przeszłość, która przepadła, czy przyszłość, która nie nastąpi? Nie wiedziałem tego.

Aby się czymś zająć, podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Niechlujna kobieta nadal tam była: siedziała oparta plecami o ścianę korytarza. Zapytałem, czy pamięta numer swojego mieszkania. Odpowiedziała pustym spojrzeniem. Powtórzyłem to samo pytanie jeszcze dwukrotnie. W końcu przetrząsnęła torebkę i wyciągnęła jakąś kartkę. Przekonałem się, że mieszka pod numerem dwudziestym ósmym, piętro niżej, tuż pode mną. Próbowałem jej to wyjaśnić, niestety bezskutecznie.

Pozostało mi sprowadzić ją po schodach i otworzyć drzwi jej kluczem. Następnie przykazałem jej się dobrze zamknąć. Nie byłem pewien, czy to do niej dotarło. Nie spojrzała na mnie ani mi nie podziękowała. Zdumiało mnie, że nie jestem o to zły. Odczekałem, aż rozległ się zgrzyt zasuw.

~

Kilka dni później spotkałem ją znowu, tym razem na parkingu zaraz po powrocie z pracy. Walczyła z paroma torbami pełnymi zakupów. Na mój widok

odwróciła wzrok. Stąd wiedziałem, że pamięta.

Za czasów Davida byłbym ją zignorował. Nawet teraz słyszałem w głowie jego głos, który zdawał się tam zadomowić na dobre. „Lepiej zostaw ją w spokoju, Kenneth. Łatwo się wplątać w czyjeś sprawy, ale znacznie trudniej wyplątać”.

Przedstawiłem jej się i zaproponowałem, że pomogę nieść jedną z toreb. Być może był to z mojej strony akt buntu. A może po prostu chciałem odwlec moment, w którym znajdę się znów w mieszkaniu. Kobieta wydawała się podejrzliwa, ale ostatecznie skinęła głową. Torba, którą niosłem, zawierała szereg porcji do podgrzewania w mikrofalówce i dwie butelki taniego wina. Odstawiłem ją na blat w kuchni i zamarłem. Sam nie do końca wiedziałem, na co czekam. Kobieta miała twarz całą w plamach, pod jej oczyma widniały worki. Mimo to byłem w stanie dostrzec, że niegdyś musiała być piękną. Gdy milczenie zaczęło się zbytnio przedłużać, pożegnałem się. Zdążyłem dojść do drzwi, zanim zapytała, czybym się nie napił herbaty.

W mieszkaniu pełno było pudeł, głównie nieotwartych. Na podłodze wały się kuleczki styropianu. Kobieta przez chwilę się krzątała, aż w końcu wynalazła ronderek i dwie filiżanki nie od kompletu. Herbata okazała się intensywna w smaku dzięki przyprawom – w niczym nie przypominała naparu, jaki piliśmy z Davidem w lokalach, do których chodziliśmy. Kiedyś.

Kobieta nazywała się Bela Dewan. Historia jej życia nie była specjalnie oryginalna, przynajmniej w tych częściach, które mi opowiedziała. Przed paroma laty przeszła ciężki rozwód. W minionym tygodniu przeprowadziła się z Houston do Austin w nadziei, że tutaj zacznie od nowa. Szukała pracy.

– Jakiej pracy? – zapytałem.

Pani Dewan wyznała, że nie ma dyplomu ani większego doświadczenia. Kiedyś, dawno temu, pracowała jako opiekunka w żłobku.

– Przez resztę czasu byłam żoną i matką na pełen etat – powiedziała. – Ale

niedawno straciłam oba stanowiska.

Jej perspektywy nie rysowały się zbyt różowo. Mimo to obiecałem, że popytam.



Gdy wybrałem się następnym razem do delikatesów, zajrzałem do biura Lance'a, żeby zapytać, czy nadal szuka zastępstwa za kasjerkę, która odeszła.

– Już kogoś znalazłem – odparł. – Ale jeśli chcesz u mnie pracować, z miejsca ją zwolnię.

Czy to miał być żart? Oczy Lance'a zalsniły w taki sposób, że nie mogłem się zastanowić. Koszulę miał częściowo rozpiętą. Widziałem zagłębienie jego obojczyka i jędrną, opaloną skórę niżej. W prawym uchu nosił żelazny kolczyk. Odkąd David odszedł, mogłem zwracać uwagę na takie rzeczy. Ta myśl sprawiła, że zrobiło mi się jeszcze bardziej smutno.

Opowiedziałem Lance'owi o pani Dewan.

– Wybacz – rzekł – ale nie zatrudniam osób bez doświadczenia. – Musiałem zrobić rozczarowaną minę, bo zaraz dodał: – Skoro to twoja znajoma, porozmawiam z nią, ale uprzedź ją, żeby sobie nie robiła wielkich nadziei.

Podziękowałem mu chmurnie i odwróciłem się do wyjścia. Już się zastanawiałem, gdzie jeszcze mógłbym popytac o pracę dla pani Dewan. W sklepie żelaznym? W restauracji? Kiedy byłem przy drzwiach, Lance się odezwał.

– Wczoraj wieczorem u Harry'ego wpadłem na Davida.

Czyżby David już miał kogoś innego? Harry prowadził klub taneczny, zatem odpowiedź nasuwała się sama. Zastanowiłem się, czy David wspomniał Lance'owi o naszym rozstaniu. Współczujący wzrok tego ostatniego powiedział mi wszystko.

– Muszę już iść – rzuciłem.

Świat jest pełen dziwów. Jak mogłem o tym zapomnieć?

Parę dni później pani Dewan zaszła do mnie, aby mi powiedzieć, że Lance zatrudnił ją do wykładania towaru na półkach. W ramach wdzięczności zaprosiła mnie na hinduską kolację.

To było przyczyną mojego dylematu.

Znałem kuchnię indyjską, którą przybliżyli mi przyjaciele na studiach, i niespecjalnie za nią przepadałem. Potrawy spożywane w restauracjach były dla mnie za pikantne. Ciężkie sosy zaś przyprawiły mnie o zgagę. Nawet David nie zdołał mnie wyleczyć z tej kulinarnej ostrożności. Ilekroć szliśmy do hinduskiej knajpy, ja zostawałem przy ryżu i raicie, najczęściej wyławiając z niezadowoleniem zielone papryczki z jogurtu. Rzucając mnie, David powiedział:

– Kenneth, ty nigdy nie chcesz spróbować niczego nowego.

Była to wielka niesprawiedliwość. Dzielnie wytrzymałem jego kulinarne fanaberie, od meksykańskich enchilad nadziewanych serem cotija i papryczkami chili do gruszkowo-kapuścianej chińskiej zupy.

– Życie z tobą – dodał z niejakim smutkiem – przypomina powolne zagłębianie się w bagnie.

Teraz postanowiłem mu udowodnić, że się mylił. Odpowiedziałem pani Dewan, że z przyjemnością przyjmuję zaproszenie, aczkolwiek napomknąłem, że preferuję potrawy łagodne i rozpoznawalne.

Wieczór rozpoczął się dobrze. Pani Dewan stanęła na wysokości zadania, jeśli chodzi o wymogi mojego delikatnego podniebienia. Nazywała kolejne dania po bengalsku, w swoim rodzimym języku, zapisując dziwnie brzmiące słowa na papierowej serwetce. Trójkątne przekąski nosiły nazwę singara. Były nadziewane kalafiosem. Na deser zaś dostałem lekki karmelizowany jogurt, mishti doi.

Główną część posiłku stanowiły: murgir dźhol, czyli kurczak duszony

w jogurcie, i muger dal – soczewica zaprawiana kminkiem. Kminek, jak wyjaśniła pani Dewan, pomaga w trawieniu.

– Moja córka Tara – wyjaśniła – także ma wrażliwy żołądek. – Dzięki niej nauczyłam się gotować tak, a nie inaczej.

Zastanowiło mnie, gdzie podziewa się Tara o wrażliwym żołądku w czasie, gdy jej matce przydałaby się pomoc rodziny. Wiedziałem jednak, że nie należy o to pytać.

Przy kolacji pani Dewan otworzyła dużą butelkę wina i opowiedziała mi o Kalkucie, mieście, w którym żyła, zanim wyszła za męża. Zdawało się, że było tam niebezpiecznie i ekscytująco. Mieszkańcy Kalkuty przepadali za deserami – do tego stopnia, że byli gotowi przeprowadzić się na drugą stronę zatkanego korkami ulicznymi miasta, aby w sklepie matki pani Dewan skosztować jej słynnego mohanu. W porze monsunu ulice spływały wodą, dlatego pani Dewan jako mała dziewczynka musiała jeździć do szkoły rikszą. Podczas studiów, gdy do władzy doszli naksalicy, pewnego dnia natknęła się w bocznej uliczce na zwłoki młodego mężczyzny, któremu oprawcy wycięli na czole słowo „zdrajca”.

W ramach rewanżu opowiedziałem jej co nieco o swojej młodości w Waco. Dwa razy w tygodniu chodziłem z rodzicami do kościoła, gdzie z fascynacją przysłuchiwałem się naszemu pastorowi, który opowiadał nam o szatanie i jego tysięcznych sposobach na zaciągnięcie nas do piekła. W szkole średniej urządziłem z kolegami popijawę na tyłach parkingu supermarketu. Przed maturą wybierałem się na długie, samotne spacerunki wzdłuż brzegów rzeki Brazos, czując, że odstaję od rówieśników. Pani Dewan przysłuchiwała mi się ze zmarszczonym czołem i zachwytem w oczach, jakby moje opowieści były równie egzotyczne jak jej.

Pod koniec wieczoru byliśmy przyjemnie wstawieni. Kiedy wychodziłem, pani Dewan zapytała mnie, czy możemy to powtórzyć za tydzień.

Głos Davida szepnął: „Uważaj, Kenneth. Radzę ci dla twojego własnego

dobra. Zostaw ją w spokoju. To wyraźnie kobieta z problemami”.

Odpowiedziałem mu w duchu: „A kto z nas nie ma problemów?”.

Zwracając się do pani Dewan, rzuciłem:

– Z wielką chęcią!

—

Zdumiało mnie, z jaką niecierpliwością wyczekuję naszych wspólnych kolacji. Spotykaliśmy się na przemian to u niej, to u mnie. Dzięki temu miałem powód, aby posprzątać mieszkanie. Przypuszczam, że w jej wypadku było podobnie. W dalszym ciągu nie rozpakowała większości kartonów, ale kiedy przychodziłem, stały równiutko pod ścianą, nakryte kolorowymi sari.

Po paru tragicznych epizodach kulinarnych w moim wykonaniu ustaliliśmy, że od tej pory to ona będzie odpowiadać za jedzenie. Ja zapewniałem napoje. Cała sztuka polegała na tym, aby przynieść dostatecznie dużo alkoholu, aby wprowadzić ją w miły nastrój, nie na tyle dużo jednak, żeby się upiła. Udało mi się to za sprawą słabych owocowych drinków. Czasami rzucała mi spojrzenie mówiące, że rozgryzła moją strategię, nigdy jednak się nie skarżyła. Zresztą wszystko wskazywało na to, że ogranicza picie. Ale może tylko to sobie wyobraziłem. Zawsze zostawaliśmy na nogach do późna. Nazajutrz budziłem się z podpuchniętymi oczyma i potrzebowałem podwójnej dawki kofeiny, aby się dobrać i doczołgać do pracy. Pani Dewan musiało być trudniej, gdyż pracowała na ranną zmianę. Ponieważ jednak Lance nigdy mi się nie poskarżył, uznałem, że mimo wszystko jakoś sobie radzi.

Trudno mi było zasufladkować naszą znajomość. Byliśmy przyjaciółmi, ale też kimś więcej. Od czasu do czasu bawiliśmy się razem w gry wideo. (To znaczy ja grałem, a pani Dewan biła brawo). Niekiedy oglądaliśmy hinduskie filmy. (Pani Dewan włączała co rusz pauzę i tłumaczyła dla mnie, gdyż napisy były egzotyczne i niezrozumiałe). Głównie jednak rozmawialiśmy. Przekonałem się,

że potrafię z nią rozmawiać tak, jak mógłbym to robić ze starszą siostrą albo z ulubioną ciotką. W istocie nie miałem żadnego rodzeństwa, a z mojej ciotki była megiera, z którą starałem się kontaktować jak najrzadziej.

Zdarzało nam się często dywagować na niezobowiązujące tematy. Panią Dewan ciekawiły ekscentryczności autorów, którzy odbywali spotkania w naszej księgarni. Zapraszałem ją kilkakrotnie przy okazji różnych wydarzeń, lecz ona zawsze odmawiała. Twierdziła, że tłum źle na nią wpływa. Lubiła także wypytywać o najnowsze nabytki naszej księgarni, mimo że nigdy nie kupowała żadnych książek. Najbardziej ze wszystkiego jednak uwielbiała, kiedy streszczałem jej fabuły przeczytanych powieści. Upodobała sobie szczególnie kobiecy kryminał traktujący o przemocy domowej. Ilekroć narzeczony bądź mąż okazywał się zbrodniarzem, wciągała z zachwytem oddech.

– Wiedziałam! – mówiła wtedy. – Po prostu wiedziałam!

W rewanżu opowiadała mi zasłyszane w dzieciństwie historie, okropne bengalskie legendy o niemądrych królach, którym ucinano nosy, i o pechowych złoczyńcach, którzy kończyli zakopani żywcem w dołach pełnych ciemi.

Sporadycznie, późno w nocy, schodziliśmy na tematy osobiste. Pani Dewan z czasem opowiedziała mi więcej o Tarze, która rzuciła studia, po czym odseparowała się od niej z chwilą rozwodu.

– Zachowywała się tak, jakby wszystko było moją winą – mówiła zdumiona.

Ja powiedziałem jej o naszym czarnym labradorze, do którego wracałem po szkole, aby mu szeptać na ucho o złych przeżyciach i upokorzeniach zaznanych w ciągu dnia. A tych było niemało, ponieważ przyciągałem oprychów tak, jak śmieci przyciągają muchy.

Pani Dewan nie miała kontaktu z córką od lat, mimo że gdzie mogła, zostawiała swoje dane adresowe. W środowisku amerykańskich Hindusów doszła ją plotka, że Tara wpadła w nałóg narkotykowy.

– Dzwoniłam na jej komórkę – powiedziała – ale ona nie odbierała telefonów

ode mnie. Poszłam nawet na uczelnię, żeby porozmawiać z jej przyjaciółmi, którzy mogli coś wiedzieć. Tak się martwiłam, że całymi dniami jeździłam po mieście w nadziei, iż ją zobaczę. Nie udało mi się to. W końcu zarządca akademika spakował rzeczy Tary i przysłał je do mnie. Wszystko leży tam, w tamtym dużym kartonie w rogu, na wypadek gdyby Tara jednak się pojawiła.

Moim najszczęśliwszym wspomnieniem z dzieciństwa były codzienne samotne spacerunki z psem – byliśmy tylko on i ja. Idąc za nim i trzymając smycz, wyobrażałem sobie, że jestem użyteczny. Nie przeszkadzało mi nawet sprzątanie psich kup. Niestety Tufts – bo tak miał na imię – zachorował na raka. Weterynarz stwierdził, że trzeba go uśpić. Chciałem pojechać z nim do lecznicy, ale rodzice mi nie pozwolili. Powiedzieli, że jestem za mały. Po wszystkim zapewniali mnie, że Tufts odszedł spokojnie. Nie wierzyłem im.

– Czasami mi się śni – wyznałem pani Dewan. – Oczy ma rozszerzone, a ciało w konwulsjach. Rzuca głową na boki, jakby mnie szukał.

Nigdy o tym nikomu nie mówiłem.

– Ojej – zareagowała pani Dewan. – Ja też miewam podobne sny. – Czekałem, aż powie coś więcej, ale ona tylko dodała: – Mój mąż otrął kiedyś psa.

Bywało, że leżąc bezsennie w łóżku, rozmyślałem o pani Dewan. Wydawała się taka zwyczajna. A jednak jej życie przepełnione było przemocą i tajemnicą. Pewnego razu, gdy była dzieckiem, magik – a może hipnotyzer – próbował ją porwać. Zdumiewało mnie, że zaprzyjaźniłem się z taką kobietą.

Nie o wszystkim rozmawialiśmy podczas naszych kolacji. Pani Dewan nie wspominała o swoim problemie alkoholowym. Ani o szczegółach rozwodu. Ani o tym, dlaczego nie wróciła do Indii, gdzie oszczędności w dolarach pozwoliłyby jej na wygodniejsze życie. Ja nie mówiłem o Davidzie, jego zdradzie i tym, jak często o nim wciąż myślę. Nie cofałem się do tamtego dnia na pierwszym roku studiów, kiedy wróciłem do domu, aby powiedzieć rodzicom, że jestem gejem.

Rodzice ani mnie nie potępili, ani nie wydziedziczyli. Popatrzyli na mnie z niezrozumieniem, co było jeszcze gorsze.



Coś było nie tak.

David wyłapałby to wcześniej. Był bardziej spostrzegawczy ode mnie. W każdym razie nasze kolacje stawały się coraz skromniejsze – w jeden wieczór tylko curry z soczewicy i jajek, w drugi zwykły ryż długoziarnisty zamiast ryżu basmati. Pani Dewan rozprawiała jak zwykle z ożywieniem, kreśląc rękoma w powietrzu hieroglify. Jednakże prawie nic nie jadła. Twierdziła, że jest na diecie. Chciała zrzucić dziesięć kilogramów, które przybrała po rozwodzie. Ale któregoś wieczoru, kiedy poszła do łazienki, przejrzałem szafki w jej kuchni. Były puste, jeśli nie liczyć pudełka płatków kukurydzianych i paru puszek fasoli. W lodówce leżały przecenione pączki i stało pół butelki wina. Gdy raz wpadłem z wizytą niezapowiedzianą, w mieszkaniu panował ukrop: klimatyzacja była wyłączona.

– Ciepło mi nie przeszkadza – powiedziała pani Dewan, ukradkiem ocierając czoło.

Zaczynało jej brakować pieniędzy.

To mnie zdziwiło. Wiedziałem, że praca w delikatesach nie wystarczy na wszystkie jej potrzeby, jednakże zakładałem, że jako rozwódka otrzymuje alimenty. Była zamężna przez ponad dwadzieścia lat. Wahalem się, czy się wtrącać – ewidentnie starała się utrzymać mnie w nieświadomości, jeśli chodzi o jej kłopoty finansowe – lecz w końcu postawiłem wszystko na jedną kartę.

– Od jakiegoś czasu nie dostaję alimentów – powiedziała. – Mój były mąż ogłosił w zeszłym roku bankructwo.

Wyglądało to podejrzanie. Poradziłem jej, aby wynajęła prawnika. Ona jednak tylko potrząsnęła gwałtownie głową i zmieniła temat.

Przy najbliższej okazji ponownie zajrzałem do biura Lance'a, aby zapytać, czy nie mógłby znaleźć pani Dewan jeszcze jakiegoś zajęcia. Była przecież dobrą kucharką. Może klientów delikatesów zainteresuje sobotni pokaz gotowania?

– Ta kobieta naprawdę wiele dla ciebie znaczy, prawda? – zapytał. W rzeczywistości pytał: „Dlaczego?”.

Wzruszyłem ramionami. Sam nie byłem pewien odpowiedzi.

– Możemy spróbować za tydzień – rzekł. – Niech przyrządzi coś hinduskiego, dobrze znanego. Jeśli sprzedaż wzrośnie, będzie mogła powtarzać to co sobotę. – Wpatrzył się w płamę na biurku. – Może wyjdziemy gdzieś kiedyś razem?

Nagle moja klatka piersiowa wydała się za mała na wszystko, co się w niej tłukło. Serce, płuca, podniecenie, przypływ krwi czy smutku... Zalew wspomnień.

Po dłuższej chwili odparłem:

– Wybacz. Jeszcze na to za wcześnie.

Była to prawda. Większość wolnego czasu spędzałem w domu, surfując po Internecie. Miałem kłopoty ze snem. Czasami późno w nocy schodziłem do siłowni mieszczącej się na parterze i biegałem na bieżni, dopóki nie padłem ze zmęczenia. Staralem się wychodzić do ludzi, ale okazało się to zbyt stresujące, nawet gdy w grę wchodzili moi dobrzy znajomi. Ciążyły mi ich spojrzenia. Chciałem obwiniać Davida. Chciałem go bronić. Ilekroć otwierały się drzwi baru, w gardle mnie ścisnęło. Bałem się, że to będzie on. Gdy w progu pojawiał się ktoś inny, czułem rozczarowanie.

Martwiłem się, że Lance'a rozgniewa moja odpowiedź. Że odwoła występ pani Dewan. Większość mężczyzn tak by postąpiła. On jednak powiedział:

– Zapytam ponownie za kilka tygodni. Może do wtedy ci się zmieni.

Pani Dewan urządziła swoją pierwszą prezentację w sobotnie południe. Wcześniej rozrzuciłem ulotki w księgarni, a Lance rozmieścił tablice informacyjne w delikatesach. Pojawiło się około piętnastu osób – więcej, niż się spodziewałem. Kiedy pani Dewan wyłoniła się z zaplecza, ubrana w biały fartuch i czapkę kucharza, była przerażona. Jąkając się, zaczęła opowiadać o szykowanym daniu. Na pierwszy ogień poszedł kurczak tikka masala. Ręce jej się trzęsły, gdy sięgała po sos w butelce. Mówiła z cięższym niż zwykle akcentem i nie nawiązywała z publicznością kontaktu wzrokowego. Poczuli się lepiej dopiero wtedy, gdy zaczęła smażyć kurczaka i nie musiała podnosić wzroku. Rozłożyła porcje na papierowe talerzyki i nadziała każdy kawałek mięsa wykałaczką. Jednakże gdy klienci zaczęli się wokół niej tłoczyć z gratulacjami i pytaniami, stchórzyła i ukryła się na zapleczu. Pałeczkę musiał przejąć Lance, który pokierował chętnych, gdzie mogą kupić wymagane przepisem produkty.

Ponieważ wieczorem mieliśmy w księgarni imprezę, wyciszyłem komórkę. Po wszystkim zobaczyłem, że pani Dewan usiłowała się ze mną połączyć kilka razy. Nie zostawiła wiadomości, chociaż słyszałem jej oddech. To mnie zaniepokoiło.

„Mówiłem ci”, powiedział głos Davida.

Technicznie rzecz biorąc, skoro nie zostawiła wiadomości, nie miałem obowiązku oddzwaniać. O północy się poddałem i jednak zadzwoniłem.

– Nieudacznica ze mnie – powiedziała wolno i sztywno, jak każdy pijany. – Zawiodłam cię. Lance twierdzi, że muszę popracować nad swoimi umiejętnościami interpersonalnymi.

– Niech pani idzie spać – odparłem, zdając sobie sprawę z nieadekwatności rady. – Możemy o tym porozmawiać później. Na pewno coś wymyślimy.

– Nigdy nie używałam sosów z butelki. – Zaczęła płakać. – Poza tym kurczak tikka masala to nawet nie prawdziwe hinduskie danie.

Nie do końca rozumiałem, z czego wynika jej smutek. W każdym razie

powiedziałem:

– Porozmawiajmy jutro, gdy w głowach nam się przejaśni.

Byłem dumny ze swego rozsądnego tonu, gdyż David często zarzucał mi brak rozsądku.

Zasypiając, uzmysłowiłem sobie, jak brzmi odpowiedź na pytanie Lance'a. Pani Dewan znaczyła dla mnie tyle, gdyż powodziło jej się gorzej niż mnie. Byłem w stanie podchodzić do jej spraw rozsądnie, ponieważ jej życie sprawiało, że miałem mniej zastrzeżeń do własnego.

—

W tygodniu omawialiśmy pokaz pani Dewan, rozważając, co zrobiła dobrze, a co wymagało poprawy. Stworzyliśmy listę potraw, które były odpowiednio prawdziwe dla niej i wystarczająco łatwe dla publiczności. Pani Dewan zaczęła ćwiczyć odpowiedzi na pytania, przyjmowanie gratulacji, uśmiech. Obejrzała u mnie kilka programów kulinarnych i podpatrzyła u znanych szefów kuchni zamaszyste gesty. W kolejną sobotę wypadła znacznie lepiej, a nawet uśmiechnęła się, kiedy robiłem jej zdjęcie. Nadal zachowywała się bojaźliwie w obecności nieznanym, jednakże trudno było odmówić jej talentu. Ludzie pokochali zwłaszcza krewetki w sosie kokosowym. Być może podobała im się też jej nieśmiałość. Fakt, że to, co robi, nie jest dla niej łatwe. Po pokazie klienci nakupili tyle produktów, że Lance postanowił, by pani Dewan występowała dwukrotnie w sobotę i tyle samo razy w niedzielę. Parę tygodni później, dokonawszy rekonesansu ponownie, stwierdziłem z radością, że jej kuchenne półki nie są już tak puste jak kiedyś.

Lance i ja umówiliśmy się w któryś weekend. Przyszedł po mnie do mojego mieszkania. W drodze na dół wpadliśmy na panią Dewan. Stała na małym balkonie obok klatki schodowej. Lubiała tam przebywać wieczorami i patrzeć, jak ludzie wracają do domów. Wymieniliśmy pozdrowienia. Ona zapytała, dokąd

idziemy, a gdy podałem nazwę restauracji, kiwnęła z uznaniem głową, choć na pewno nigdy o niej nie słyszała. Właśnie wsiadaliśmy do samochodu, kiedy wychyliła się z balkonu i zawołała:

– Bawcie się dobrze, chłopcy!

– Zawsze jest taka wścibska? – zdziwił się Lance. – Mnie by to doprowadziło do szału.

Zastanowiłem się nad jego pytaniem. Pani Dewan i ja nabraliśmy zwyczaju rozmawiania wieczorem przez telefon. Podczas tych rozmów opowiadała mi ze szczegółami o swoim dniu i z zainteresowaniem pytała o to, co ja porabiałem. Nie miałem nic przeciwko tym rozmowom, odwrotnie wręcz. W moim życiu nie było nikogo, kto by uważał nudę mego dnia codziennego za interesującą.

Jednakże nie mogłem powiedzieć tego wszystkiego Lance'owi.

– Mnie to nie przeszkadza – odparłem.

– Dobry z ciebie człowiek, Kenneth – skwitował.

Przyjąłem komplement. Było to łatwiejsze od wyjaśnień.

Spędziliśmy miło czas przy kolacji. Lance był zabawny, o czym wiedziałem, ale też inteligentniejszy, niż myślałem, a także bardziej obyty w świecie. Opowiedział mi o wyprawie pod namiot do Słowenii w minione lato.

– Może następnym razem pojedziemy razem – dodał.

Żołądek fiknął mi koziołka, po części z podniecenia, a po części na myśl o dziwnym słoweńskim jedzeniu: krwawych kiszkach i takich tam.

– Świetny pomysł – powiedziałem.

Po kolacji wybraliśmy się na spacer wokół miejskiego stawu. Zachodzące słońce zabarwiło wodę na pomarańczoworóżowy kolor. W oddali majaczyła panorama Austin, a na jej tle polatywały nietoperze, które opuściły swoje kryjówki pod mostami. Od dawna nie byłem na łonie natury. David wolał chodzenie po muzeach i klubach. Wokół nas kołowały nietoperze. Powiedziałem Lance'owi, że wyglądają jak motki czarnego jedwabiu. Było to kiepskie

porównanie, ale on się roześmiał i odparł:

– No, no, Kenneth, poeta z ciebie.

A potem mnie pocałował.

Znienacka pod powiekami ujrzałem znów Davida. David masuje mi łydkę po tym, jak naciągnąłem sobie mięsień podczas joggingu. David gotuje makaron i na widelcu podaje mi odrobinę fettuccine do spróbowania. David czyta mi urywki z *Wstrząsającego dzieła kulejącego geniusza*, wybuchając śmiechem, zanim do końca zabawnego akapitu... Odsunąłem się od Lance'a. Wiedziałem, że to głupie, ale nic nie mogłem na to poradzić. Lance pociemniał na twarzy. Nie rozchmurzył się nawet wtedy, gdy go przeprosiłem. Tak skończył się tamten wieczór.



Pewnego razu, po naszej cotygodniowej kolacji, pani Dewan powiedziała:

– Kenneth, chcę ci coś pokazać.

Rozdarła taśmę, która zaklejała duży karton stojący w rogu, wyjęła ze środka paczuszkę owiniętą w elegancki biały wełniany szal. Gdy ją odwinęła i strzepnęła, trzymała w rękach przepiękny jedwabny kostium: długą, czerwoną spódnicę ze złotą lamówką i taką samą dopasowaną bluzkę.

– To mój strój do tańca – oznajmiła. – Nie mogłam zabrać z Indii wiele, jadąc do Ameryki... uciekłam z domu z jedną walizką. Pamiętałam jednak, aby wziąć to. – Potrząsnęła dzwoneczkami na długim sznurku. Było ich sporo, ponieważ uczyła się tańca przez wiele lat. – Kiedyś kochałam taniec. Byłam dobra, bez względu na to, czy chodziło o kathak czy o rabindra nritję. Występowałam przed setkami osób. Ja. Wyobrażasz to sobie? Gdy widownia ciemniała, a reflektor wydobywał mnie z mroku, po kręgosłupie przebiegał mi dreszcz, jakiego nie czułam nigdy później. Poruszając się w rytm uderzeń tabli, zapominałam o całym świecie. – Westchnęła. – Chciałabym go znowu włożyć, aby móc o wszystkim

zapomnieć... choćby na parę minut. Niestety to niemożliwe, ponieważ przytyłam. – Uszczypnęła się w spodnią część ramienia i wykrzywiła wargi w grymasie.

Poczułem dreszcz podniecenia. Być może każdy z nas jest po części Pigmalionem.

– Właśnie że możliwe! Opracujemy plan.

~

Nasz plan się sprawdzał. Pani Dewan zaczęła chodzić na spacer – rano i wieczorem. Z diety usunęła węglowodany i tłuszcze, żegnając się nawet ze swoimi ulubionymi pączkami. Gotując obiady, uciekała się do swojej pomysłowości; dania były wymyślne, ale nie mniej smaczne. Owsianka z komosy ryżowej, roti z mąki z ciecierzycy, grillowany kurczak masala w liściu sałaty, lody mangowe posypane płatkami róży.

– Powinna pani napisać książkę kucharską – powiedziałem. – Ma pani takie pomysły, że na pewno stałaby się hitem. Znam paru wydawców, którzy mogliby być zainteresowani. Chce pani, żebym panią im przedstawił?

Przybrała zamyślony wyraz twarzy.

– Może...

– Mogłaby pani zacząć od bloga. Ja jeden prowadzę, dla księgarń. To nic trudnego. Wszystko pani przygotuję. Może go pani zatytułować „Kuchnia Beli”.

Zaśmiała się.

– „Kuchnia Beli”. To mi się podoba. – Wyciągnęła rękę z kieliszkiem. – Możesz mi dolać?

Spełniłem jej prośbę. Dziś piliśmy pieniste lassi z gniecionymi nasionami granatu. Pani Dewan czyniła wysiłki, aby rzucić alkohol. Poinformowała mnie, że w dwa tygodnie zgubiła pięć centymetrów w pasie.

– Świetnie sobie pani radzi – pochwaliłem ją. – Jestem z pani dumny.

Mówiłem szczerze.

– Gdybym tylko znalazła ci dziewczynę, wszystko byłoby idealnie.

Popatrzyłem na nią z niesmakiem. Nie zawsze się wyróżniałem, ale sądziłem, że domyśliła się prawdy o mnie z mojej fryzury i czerwonych spodni, które nosiłem. Czy choćby z tego, że Lance obejmował mnie ramieniem, kiedy wychodziliśmy na kolację. Teraz jednak zrozumiałem, że choć mieszka w Ameryce od dawna, nie jest dostatecznie zaznajomiona z sygnałami, które dla innych są oczywiste. Wiedziałem, że powinienem jej powiedzieć, nie miałem jednak sumienia. Nie chciałem ujrzeć na jej twarzy miny, którą zrobili moi rodzice. Nie chciałem jej stracić.

– Wybacz, wybacz – zaśmiała się. – Niepotrzebnie się wtrącam. Zupełnie jak te kobiety, które doprowadzały mnie do szału, kiedy sama byłam młoda. Już więcej nie poruszę tego tematu.



Dzień był męczący. Nasza księgarnia organizowała spotkanie z bestsellerowym pisarzem i w tym celu musieliśmy wynająć duże audytorium. Autor, który miał przyjechać w następnym tygodniu, znany był ze swego temperamentu. Przez wiele godzin wisiałem na telefonie, uzgadniając z jego agentem szczegóły. Żadnej muzyki w samochodzie. Woda – tylko Evian, z limonką, którą ktoś rozetnie na jego oczach. Na kolację tajskie potrawy, prawdziwe, chociaż łagodne. Zero klimatyzacji, która wysusza mu oczy...

Napomknąłem, że zero klimatyzacji latem w Austin to nie najlepszy pomysł.

– Zero klimatyzacji – powtórzył agent. – A także zero zdjęć, zero nagrań, zero pytań po wykładzie. I żadnych komórek. To naprawdę ważne. Zdarzyło mu się opuścić scenę, gdy zadzwoniła czyjaś komórka.

Był to wieczór wspólnej kolacji z panią Dewan w jej mieszkaniu. Zanim tam jednak poszedłem, musiałem odparować. Cisnąłem na stół notatki, które miałem

do przejrzania, włączyłem wieżę i wziąłem sobie zimne piwo. Pani Dewan zaczęła niedawno brać udział w spotkaniach anonimowych alkoholików, dlatego sięgałem po alkohol wcześniej. Właśnie oparłem stopy o ławę, gdy zapukała do moich drzwi. Zdarzało się, że zabrakło jej jakiegoś składnika – wtedy zaglądała do mnie, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie mam go w kuchni. Oczywiście nigdy nic u mnie nie znalazła, ale przypuszczam, że dzięki tym wizytom czuła ściślej więzi sąsiedzkie.

Otworzyłem drzwi. W progu stał David. Szczuplejszy i poważniejszy David. Miał ogoloną głowę. Przypominał przez to mnicha i wyglądał strasznie seksownie. W rękach trzymał dwie moje koszule, uprasowane i starannie poskładane. Wydawał się nerwowy, co było do niego niepodobne. Chciałem go nienawidzić. Byłem bliski przebaczenia mu.

– Znalazłem je wśród swoich rzeczy – powiedział. – Postanowiłem ci oddać.

Mógł położyć je na wycieraczce. Obaj to wiedzieliśmy.

Świat jest pełen dziwów. Czy już o tym wspominałem?

– Chcesz wejść? – zapytałem. Dłonie mi się pociły. W mojej piersi wzbierał i huczał cały ocean.

– Tak – odparł. Spostrzegłem, że grdyka mu skoczyła, kiedy przełknął ślinę.

– Dziękuję.

Rozproszyło mnie to „dziękuję”. Już dawno temu porzuciliśmy wszelkie oficjalne formy. Dziwnie było znów ich używać.

– Nie ma za co – powiedziałem.

Usiedliśmy na kanapie obok siebie, wpatrując się w pusty ekran telewizora. W uszach rozbrzmiewały nam głosy Simona i Garfunkela, zupełnie jakbyśmy znaleźli się na planie kiepskiego filmu. Sięgnąłem po pilota, aby wyłączyć wieżę, ale David położył mi dłoń na rękę. Paznokcie miał krótko przycięte, zdrowe i znajome. Musiałem użyć całej swojej siły woli, aby nie ująć jego dłoni w swoją.

– Co u ciebie? – zapytał.

– Wszystko dobrze – odparłem. Patrzył na mnie wyczekująco, ale ja nie zrewanżowałem się pytaniem.

– U mnie nie za bardzo – powiedział sam z siebie. – Tęsknię za tobą.

Musnął opuszkami zarys mojej szczęki. Moment później mnie pocałował. Co dziwne, smakował jeżynami.

Potem miałem wrażenie, że to tracę, to odzyskuję ostrość spojrzenia. Zobaczyłem jego rozpiętą koszulę. Wgłębienie pępka. Miękkie podbrzusze, które tak kochałem. Poczułem jego niecierpliwie ręce na moim pasku. Uderzyłem się w łydkę o krzesło, które przewróciło się z hukiem. Nie pamiętam, jak znaleźliśmy się w łóżku, ale wtem napieraliśmy na siebie na niebieskiej narzucie, którą kupił mi z okazji naszej pierwszej rocznicy. Szeptaliśmy sobie czułe słówka, które wymyśliliśmy specjalnie na takie okazje.

Pierwszy usłyszał pukanie do drzwi i zamarł w pół ruchu.

– Kenneth? – zawołała pani Dewan. – Usłyszałam trzask. Martwię się, bo zazwyczaj o tej porze jesteś już na dole. Kenneth, jesteś tam? Co z naszą kolacją?

– Nasza kolacja? – powtórzył David. – Zazwyczaj? Kim, do diabła, jest ta kobieta?

– To tylko sąsiadka z dołu – powiedziałem. – Wytłumaczę ci później.

Czułem absurdalne poczucie winy i gniew z tego powodu. Napałem na Davida, starając się go skłonić, aby nie przerywał, obawiałem się jednak, że nasza chwila przeminęła.

– Kenneth! – powtórzyła pani Dewan, ponownie pukając. Głos miała niepewny. – Nic ci nie jest? Możesz mówić? Potrzebujesz pomocy? Może powinna wezwać pogotowie?

– Pogotowie? – zdziwił się David. Jego uniesiona brew mówiła: „Och, Kenneth, w coś ty się wpackował pod moją nieobecność?”.

Nie byłem pewien, kto z naszej trójki złości mnie najbardziej.

– Nic mi nie jest! – odkrzyknąłem w stronę drzwi, starając się, aby mój głos

brzmiał normalnie i radośnie. – Coś mnie zatrzymało. Niech pani wraca do siebie. Niedługo przyjdę.

– Na pewno? – Wydawała się już spokojniejsza, chyba zbierała się do odejścia.

– Na pewno.

Jednakże David zdążył już się zerwać z łóżka.

– Czeka! – zawołałem.

Wyrwał mi się, narzucił na siebie szlafrok wiszący na haczyku z tyłu drzwi – było to zielone kimono, jeszcze jeden z jego kosztownych prezentów – i ruszył do przedpokoju. Ledwie zdążyłem naciągnąć na siebie dżinsy, zanim pobiegłem za nim.

– Kenneth jest w tej chwili zajęty – oznajmił.

– Kim pan jest? – zapytała podejrzliwie pani Dewan.

– Nazywam się David – odparł. – Jestem chłopakiem Kennetha.

Zobaczyłem, że pani Dewan rzuca spojrzenie ponad jego ramieniem, w stronę sypialni, gdzie stałem półnagi. W słabym świetle nie byłem w stanie dostrzec wyrazu jej twarzy, zanim się odwróciła. Jednakże widziałem, jak się garbi. I słyszałem ciężkie kroki, gdy odchodziła korytarzem.

~*~

Na przestrzeni kolejnych kilku dni wielokrotnie dzwoniłem do pani Dewan. Nie odbierała. Wysłałem więc jej wiadomość tekstową. Nie odpowiedziała. Wystawiałem na klatce schodowej w nadziei, że ją złapię, lecz ona tak zmieniała swój plan dnia, aby mnie unikać. Zaszedłem nawet do delikatesów podczas jej zmiany. Normalnie powinna wystawiać towar na półki albo sprzątać bałagan zrobiony przez klientów. Tymczasem nigdzie jej nie widziałem. W końcu zapytałem Lance'a. Było to niezręczne; nie rozmawialiśmy ze sobą od tamtej nieudanej randki, co najwyżej kiwaliśmy sobie głową z daleka.

Posłał mi spojrzenie. Nie byłem pewien, co ono oznacza. Nagle, z dnia na dzień, stałem się analfabetą, jeśli chodzi o ludzkie emocje.

– Może jest na zapleczu – powiedział. – Może nie chce cię widzieć.

Poszedłem na tyły i przez plastikowe okienko zajrzałem w trzewia sklepu. Pracownicy uwijali się przy tacach z pieczywem i wózkach załadowanych marchewką i jarmużem. Nigdzie jednak nie było pani Dewan.

– Przepraszam pana – zwróciła się do mnie pulchna Azjatka pchająca wózek wypełniony proszkami do prania – ale klientom wstęp wzbroniony.

—

Tamtego wieczoru między Davidem i mną doszło do kłótni, jakiej nie mieliśmy nigdy za czasów wspólnego mieszkania.

– Nie powiedziałaś jej, co? – zarzucił mi.

– Nie jesteś moim chłopakiem – odparłem.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś?

– Kto dał ci prawo, aby mnie o to pytać?

– Kenneth – rzekł tym swoim rozsądnym głosem – dalej zależy mi na tobie jako człowieku. Cokolwiek łączy cię z tą kobietą, nie jest zdrowe.

– Proszę, idź już – powiedziałem. Zdradziecka część mnie pragnęła, aby odmówił. Aby uparł się zostać. On jednak wyszedł.

Po czterech dniach przestałem wydzwaniać do pani Dewan. Jaki to miało sens? Niech się ode mnie odwróci, myślałem. Mam to gdzieś. Jednakże nie była to prawda, tak samo jak w wypadku moich rodziców. Czułem niepokój i rozgorączkowanie; w pracy nie mogłem usiedzieć na miejscu, przez co ludzie przyglądali mi się dziwnie. Nocami nachodziły mnie przeróżne myśli. Czyżbym wepchnął panią Dewan z powrotem w objęcia alkoholizmu? Czyżbym popełnił straszliwy błąd, każąc Davidowi odejść? Oczyma wyobraźni widziałem, jak pani Dewan odchyła głowę do tyłu i pije prosto z butelki, pozwalając, aby czerwone

wino ściekało jej po brodzie. Oczywiście wyobraźni widziałem, jak w miarę upływu kolejnych lat kurczę się i starzeję samotnie w łóżku. Rankami czułem się jak na kacu. W głowie pulsował mi ból. Łykałem podwójne dawki aspiryny. Tyle z tego miałem, że nabawiłem się kłopotów z żołądkiem.

Pośród tego wszystkiego pojawił się słynny autor, spocony i poirytowany. Zapomniałem o limonkach do jego wody Evian. Od tej pory wszystko wzięło w łeb. W wybranej przeze mnie knajpie zapytał: „Tę spelunkę nazywasz restauracją tajską?”. Anonsując go na spotkaniu, zająknąłem się przy nazwie jego ważnej nagrody literackiej. Pomimo moich próśb, aby wszyscy uczestnicy wyłączyli komórki, czyjaś zadzwoniła w trakcie występu. Autor urządził scenę, rzucając parę uwag pod adresem Teksaszczyków. Ludzie nie pozostali mu dłużni. Część osób wyszła. Książki pozostały niesprzedane. Wiedziałem, że nazajutrz za to odpowiem podczas rozmowy z właścicielem księgarni.

Do domu wróciłem o północy. Po drodze zatrzymałem się w nocnym sklepie i kupiłem sześciopak piwa, które wypilem w samochodzie. Głowa mi pękała. Wdrapałem się na swoje piętro i stanąłem przed drzwiami, wpatrzony w oko judasza. W końcu zszedłem na dół, do mieszkania pani Dewan, niepewnie stawiając kroki na schodach. Wcisnąłem dzwonek. Nikt nie otworzył.

– No dobra! – krzyknąłem. – To ciągnie się za długo! Nie odejdę stąd, dopóki pani ze mną nie porozmawia.

Usiadłem na wycieraczce, opierając się plecami o drzwi. Przysypiałem. Miałem wrażenie, że przewracam się do tyłu. Nie, naprawdę się przewracałem. Pani Dewan bowiem otworzyła nagle drzwi. Stwierdziłem, że leżę w jej przedpokoju jak długi i patrzę na nią. Przed moimi oczyma pojawiła się jej twarz – do góry nogami. Przez moment sądziłem, że uśmiecha się do mnie, ale to był tylko odwrócony grymas.

– Idź sobie – powiedziała.

– Musimy porozmawiać – oznajmiłem.

– Jesteś pijany. – Chciała zamknąć drzwi, ale ja zawadzałem. W końcu rzuciła gniewnie: – Masz pięć minut.

Znalazłszy się przy stole, odsunęła laptop – zdążyłem zauważyć, że pisała przepis na singary – po czym postawiła dużą szklankę zimnej wody i słoik maści tygrysiej. Po namyśle dołożyła jeszcze krakersy. Zignorowałem te ostatnie, ale łąpczywie wypilem wodę. Maść tygrysa cuchnęła paskudnie. Przesunąłem ją w stronę pani Dewan. W ustach przepychały mi się słowa przeprosin i oskarżeń, jednakże żadne nie chciało wydostać się na zewnątrz.

Pierwsza odezwała się pani Dewan.

– Nie wierzę, że zataiłeś przede mną taką ważną część swojego życia! Dlaczego to zrobiłeś? Przecież mogłeś mi powiedzieć o Davidzie.

Szukałem właściwych słów. Jeszcze na studiach jeden z moich kolegów, także gej, a do tego Hindus, którego wyparła się rodzina, powiedział mi, że w jego kulturze homoseksualizm postrzegany jest jako zboczenie.

– Nie chciałem, aby miała mnie pani za dziwaka – wydusiłem z siebie wreszcie. – Nie chciałem końca naszych kolacji. Co do Davida zaś... rzucił mnie, zanim się z panią poznałem.

Jakaś częścią umysłu zauważyłem, że nie czuję już bólu, kiedy wypowiadam jego imię.

– Myślałeś, że się zdenerwuję na wieść, iż jesteś gejem? – zapytała. – Że z tego powodu przestanę się z tobą widywać?

– Przecież zdenerwowała się pani – odparłem zadzierzyście. – I przestała mnie pani widywać.

– To przez twój brak zaufania – rzekła ze złością. – Mój mąż był taki sam. Wszystko przede mną ukrywał. Sądził, że nie jestem dość silna, aby poradzić sobie z prawdą. – Zaczęła z wściekłością drzeć serwetkę na paski. – I to po tym, jak ja otworzyłam się przed tobą i opowiedziałam ci o rzeczach, o jakich nie mówiłam nikomu innemu. Naprawdę uważałeś mnie za osobę tak małostkową

i pełną uprzedzeń? Takie miałeś o mnie zdanie?

Zabrała się do drugiej serwetki.

– Przepraszam – powiedziałem. Gniew mnie opuścił, czułem tylko zmęczenie. – Gdy wyznałem prawdę rodzicom, matka nie mogła na mnie patrzeć. Podając mi obiad, zezowała w talerz. Pytając, jak mi idzie na studiach... poruszała tylko tego typu bezpieczne tematy... spoglądała gdzieś w przestrzeń obok mojej głowy. Czułem się przez to... wybrakowany. W końcu przestałem pojawiać się w domu.

Pani Dewan milczała. Po chwili nachyliła się ku mnie. Przez mgnienie oka myślałem, że ujmie moją twarz w dłonie, jak to się robi z dzieckiem. Ona jednak szepnęła:

– Ja także nie byłam do końca szczerą. Przyczyniłam się do śmierci dwu, może nawet trzech bliskich mi osób. – Chyba zrobiłem głupią minę, bo potrząsnęła głową i dodała: – Opowiem ci, ale nie dzisiaj. Dzisiaj trzeba nam czegoś innego.

Zabrała krakersy i przyniosła ryż i smażony pizmian w dwu miseczkach. Pozostałości po jej kolacji, jak się domyśliłem. Rzuciłem się na nie, jakbym głodował od wielu dni.

Pani Dewan przyglądała mi się wyrozumiale.

– Nie tak szybko – przestrzegła – bo nabawisz się bólu brzucha. Zaraz wracam.

Udała się do sypialni. W tym czasie odezwała się jej komórka, którą zostawiła na stole. Zaskoczony aż podskoczyłem.

– To pewnie Lance – zawołała z sypialni. – Odbierzesz?

Lance... W środku mnie ścisnęło na myśl o nadarzającej się okazji. Tymczasem dzwoniła kobieta, pewnie z jakiejś firmy marketingowej. Poprosiłem ją, żeby poczekała na linii, ona jednak się rozłączyła.

– No naprawdę! – obruszyła się pani Dewan. – Ci sprzedawcy! Powinni dać

ludziom spokój tak późno w nocy!

Gdy wyszła z sypialni, miała na sobie swój kostium do tańca. Złote nici lśniły migotliwie przy każdym ruchu, kiedy szła w moją stronę. W sposobie jej poruszania się było coś niesamowitego. Unosiła ramiona i kręciła się wokół własnej osi, a czerwono-złoty jedwab zamieniał się w języki ognia.

– Zmieściła się pani! – wykrzyknąłem.


Zaśmiała się psotnie niczym mała dziewczynka.

– Zaskoczony, co? Poszachrowałam i popuściłam szwy. Doszłam do wniosku, że inaczej nigdy go nie włożę. A nie chciałam marnować więcej czasu.

I ja sobie wyobrażałem, że mogę być Pigmalionem dla takiej kobiety?!

Pani Dewan włączyła muzykę. Bębny i flet, tak myślę. Nastawiła wieżę najciszej, jak się dało, z powodu późnej pory – wszyscy porządni ludzie, a przynajmniej ci bardziej rozsądni dawno już spali. A potem zatańczyła dla mnie.





Historia choroby: 2015

IMIĘ I NAZWISKO PACJENTA:

SANDŻAJ KUMAR DEWAN



mię (oznaczające „zwycięstwo”) nadała mu babka, która trzymała go owiniętego czerwonym malmalem na szczęście. Ceremonia odbyła się w Ranczi, gdzie jego ojciec był nauczycielem w najlepszej szkole w mieście. Ponieważ chodziło o pierwszego syna, zaproszono setkę gości.

Nie jest pewien, skąd to wie. Może dzięki staremu zdjęciu, a może dzięki zasłyszanej historii. Niewykluczone też, że to tylko jego pobożne życzenia, ponieważ babka zmarła, zanim skończył roczek, a rodzice zginęli w katastrofie kolejowej, kiedy miał pięć lat. I to by było na tyle, jeśli chodzi o czerwony malmal przynoszący szczęście. Trafił do Kalkuty, pod dach nieprzychylnego mu wuja, gdzie nazywano go Szeno, najczęściej łącząc to imię z jakąś inwektywą – psi syn Szeno, brzydki ryj Szeno, głupi orangutan Szeno, haramzada Szeno – i trzepiąc go w ucho. Ale przeżył to wszystko, może więc jednak miał szczęście, ukryte tak samo jak rupiowy banknot zatknięty za pasek znoszonej pizamy. Prawdziwe szczęście spotkało go, gdy poznał Biszu. Przyjaciel zdrobnił jego imię do Szonu i ocalił mu życie. Na studiach wdał się w niebezpieczną, komunistyczną politykę, został bohaterem, można by powiedzieć. Nosił nepalski nóż kukri, kupiony od kogoś na bazarze i oczywiście nieużywany. Wyobrażał

sobie, że widniejąca na ostrzu plama pochodzi z krwi. Młodszy koledzy zwracali się do niego z szacunkiem per Sandżaj-da. Ukochana Bela, która potem przyleciała za nim prosto do Stanów, mówiła do niego Szona. Były czasy, że zrobiłby dla niej dosłownie wszystko. Ale stracił ją gdzieś w Teksasie, a może to miłość uległa zagubieniu? Dla swojej córki Tary był niegdyś całym światem. Teraz jednak zablokowała jego numer, a może wykasowała imię, w każdym razie odwróciłyby się od niego ze wzruszeniem ramion, gdyby przez przypadek się spotkali. Och, dosyć tego. Jay dla kolegów z pracy, a dla kumpli z baru J. D. Na dywanie przed kominkiem w ich mieszkaniu jego obecna dziewczyna chwyta garść jego włosów i dochodząc, krzyczy: „Jayman! Jayman!”, jakby był jakimś superbohaterem. Od Sandżaja Kumara z Ranczi w Indiach do Jaymana tutaj, w Oakland w stanie Kalifornia – to dopiero była (proszę wybaczyć niezamierzoną grę słów) jazda.

Dziś jednak Sandżaj tkwi u lekarza – nowego, ponieważ zmienia ich dość często – i wypełnia ten idiotyczny formularz, gdyż wczoraj wieczorem znowu stracił oddech.

Gabinet jest pośledni, nic szczególnego, o czym chciałoby się napisać do domu. (A zresztą nawet gdyby pragnął to zrobić, na jaki adres miałyby pisać? Gdzie jest dom?). Przyprawiające o mdłości pastelowe kolory, obowiązkowe średniej wielkości akwarium, wykładzina dobrana tak, by maskować wypadki różnego rodzaju, woń rezygnacji, pacjenci na różnym etapie zniechęcenia, zgarbieni na swoich krzesłach i unikający wzroku innych, jakby w ten sposób można było coś złapać.

DZISIEJSZA DATA:

13 LIPCA 2015 ROKU

Bieżący dzień gnębi go niczym odcięta kończyna. Nie chodzi tylko o jego wiek

(sześćdziesiąt parę lat), chociaż ten zdumiewa go od czasu do czasu, jak gdyby padł ofiarą jakiejś sztuczki: kartki kalendarza przewracają się szybko, coraz szybciej, zupełnie jak w kreskówce. Dziś rano na przykład spojrzął w lustro w łazience i zdumiał się widokiem twarzy z podkrążonymi oczyma. Jego dziewczyna nie polepszyła sprawy, wychodząc spod prysznica cała jędrna i zatroskana.

– Och, misiaczku, wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Dobrze się czujesz? Zaraz zadzwonię do lekarza. Nie, nawet nie próbuj mnie od tego odwozić.

Zmierzył ją wzrokiem, po raz kolejny zwracając uwagę na dzielącą ich różnicę wieku. Młodszy Sandzaj byłby ją przeszył sarkazmem. Dzisiaj jednak jego mózg pracował na zwolnionych obrotach. Zdobył się tylko na słowa: „Nie nazywaj mnie misiaczkiem”. Postawił na swoim o tyle, że nie pozwolił jej się zawieźć do przychodni.

Nagle sobie przypomina. Dzisiaj mija piętnasta rocznica jego rozvodu.

Był to dzień, na który czekał z zaciętą niecierpliwością, aczkolwiek teraz nawet nie pamięta, jakie nadzieje wiązał z rozwdem. Że uniesie się w niebo, wolny i błyszczący jak balon z helem? Że pozbędzie się uprzejmego, przebarwionego uśmiechu i niczym wąż wyłoni się ze starej skóry groźny i atrakcyjny? Że wybierze się na tropikalną wyspę w towarzystwie tej jedynej? Nic z tego się nie wydarzyło, chociaż była jakaś kobieta. (Jak się nazywała? Tego niestety nie pamięta). Polecieli razem do Las Vegas na weekend, gdzie pili do nieprzytomności i grali na automatach, zyskując fortunę, którą następnie stracili z naddatkiem gdzie indziej. Jakimś cudem wylądowali na komisariacie, o włos od aresztu – na szczęście udało mu się wymigać od najgorszego. Zawsze miał gadane.

Rozgoryczenie umościło mu się na ramionach zbyt wcześnie, niczym sadza na płaszczu człowieka, który przygląda się z fascynacją płonącemu budynkowi. Można potem czyścić okrycie, ale i tak pozostanie zniszczone na zawsze.

A co z zemstą, którą pragnął wyrzucić? Tak, to mu się udało. Ale za jaką cenę?

—

DATA URODZENIA:

7 PAŹDZIERNIKA 1950 ROKU

Zabawne, że przez całe lata nie znał dokładnej daty swoich urodzin. W domu wuja nikt ich nie obchodził, a on nawet jako sześciolatek miał dość oleju w głowie, aby o nic nie pytać. Oczywiście były przyjęcia urządzone dla dwu córek wuja, rozchichotanych dziewczynek o krągłych buziach, których imiona zdążył zapomnieć. Były dzalebi ze sklepu na rogu, singary nadziewane pikantną pastą ziemniaczaną oraz pudding ryżowy z rodzynkami i migdałami – tylko raz do roku, z tej okazji, ponieważ jego wuj nie był zamożnym człowiekiem. Któregoś dnia ciotka poczęstowała go odrobiną, gdy koleżanki jej córek skończyły już jeść. Siedząc w gabinecie lekarskim, nadal czuje rozplywający się w ustach smak niechętnie wydzielanej pyszności. Ciotka dała mu deser, ponieważ była przesądna i bała się, że w przeciwnym razie przyniesie córkom pecha. „Widzisz, jak im liczy każdy kęs?”, syknęła do męża. „Widzisz jego oczy?”. Wuj odparł, aby nie była śmieszna. „To tylko dzieciak”. Jednakże po długim dniu pracy na poczcie był zbyt zmęczony, aby jeszcze sprzeczać się z żoną.

Tamtej nocy miał sen. On, Sandżaj Kumar, jak dorośnie, zarobi górę pieniędzy i będzie wyprawiał ogromne przyjęcie na każde urodziny. Leżał na twardym materacu w zatechłym pokoiku, który dzielił ze służącym Gopalem, i wyobrażał sobie jadłospis: paszteciki z baraniną, kotleciki z krewetek, trzysmakowe lody, no i oczywiście tort wielki jak stół. O wszystkim tym dotąd tylko słyszał. Na przyjęciu wystąpi akrobata, klaun, a nawet tańczący niedźwiedź, bo czemu nie. A on, Sandżaj, zaprosi swojego wuja i kuzynki, przede wszystkim zaś ciotkę; wszyscy będą musieli jeść, aż im się zrobi niedobrze od przebogaty

potraw i jego świeżego sukcesu.

Jak łatwo sobie wyobrazić, coś takiego nigdy nie miało miejsca.

Aczkolwiek przydarzyły się inne rzeczy, nie mniej nieprawdopodobne.

W Ameryce stwierdził, że ma nosa do inwestycji. Osiągnął skandaliczny sukces, chociaż czasami musiał zbaczać z linii wytyczonej przez prawo. Kupił duży dom na wzgórzu, miał sportowy samochód, ubierał się w garnitury szyte na miarę i był członkiem rozlicznych klubów. Jego życie stanowiłoby banał, gdyby nie córka. Tara potrzebowała ojca, tylko jego. To on układał ją do snu, śpiewając jej kołysanki, mimo że w przeciwieństwie do Beli nie miał słuchu. To on godzinami nosił ją na rękach, gdy nie mogła spać z powodu kolki. Pewnej nocy dziewczynka nabawiła się grypy żołądkowej i zapaskudziła mu jedyną modną marynarkę. Bela była wstrząśnięta – „To był Valentino!” – on jednak się nie przejął. Ilekroć Tara odpychała matkę i lgnęła do niego, czuł, jak pierś rozpiera mu duma z tego tajemnego zwycięstwa.

Ale wracając do jego urodzin. Raz, w początkach małżeństwa, napomknął Beli o swym pozbawionym słodkości dzieciństwie. Natychmiast tego pożałował, dostrzegłszy w jej oczach głębokie współczucie. Niemniej było za późno.

Od tamtej pory jego urodziny stały się najważniejszym rodzinnym świętem. Bela piekła mu torty przekładane świeżymi truskawkami i kremem śmietankowym i zdobione lukrem kokosowo-migdałowym. Przyrządzała kolacje, które wprawiały gości w zachwyt pomieszany z zazdrością. Uczta włoska – od antipasti do gelato. Uczta hawajska – luau – łącznie z pieczonym prosiakiem i girlandami kwiatów. Wino, wódka, dżin i whisky płynęły szerokim strumieniem, w miarę jak wznoszone były kolejne toasty za jego zdrowie. Z okazji czterdziestych urodzin wystąpił dla niego chór młodych dziewcząt ubranych tylko w kolorowe pióra. Równie dobre jak tańczący niedźwiedź, prawda?

Cóż, nie.

U lekarza jest gorąco; Sandżaj poci się na karku. Zastanawia się, czyby nie poprosić pulchnej recepcjonistki siedzącej za ladą odgrodzoną szklaną ścianką, żeby podkręciła klimatyzację. Ale właśnie gdy wstaje, aby do niej podejść, kobieta zrywa się i znika w tajnym przejściu, jakby doskonale wiedziała, co zamierza.

Które z poniższych chorób układu krążenia leczy Pan obecnie bądź leczył Pan w przeszłości? Nadciśnienie, arytmia, dusznica, szmery w sercu.

Zatrzymuje się dłużej przy tym pytaniu. „Nie masz serca, skurwysynu!”, rzuciła mu prosto w twarz Bela, gdy wyprowadzał się z domu. Czy brak serca to choroba układu krążenia? Na przestrzeni lat inne kobiety oskarżały go o podobne rzeczy. Nawet Biszu patrzył na niego z góry pod sam koniec. „Zmieniłeś się, Szonu. Co się z tobą stało?”. Jednakże Sandżaj – Szonu, Szona – już na drodze ku swej emancypacji tylko się wtedy uśmiechał, jakby nie wiedział, o co chodzi.

Czasami jego serce szemrze. Tara, mówi. Tara, Tara, Tara. Zazwyczaj Sandżaj z łatwością ignoruje rzeczy, które są mu nie na rękę, jednakże jego serce wie, jak mu zaleźć za skórę.

Gra słów będzie jego zgubą...

Czy doświadcza Pan skróconego oddechu?

Tak, właśnie z tym problemem przychodzi. Znienacka brakuje mu tchu, gdy gra w kasynie, rozmawia z maklerem, pieści się ze swoją dziewczyną albo opłaca jej rachunki (młode kobiety bywają kosztowne) bądź poddaje się złości. Wczoraj, po tym jak prywatny detektyw zadzwonił do niego w sprawie Tary, aż musiał się położyć. Brakowało mu powietrza jak nigdy. Sandżaj właściwie niczego się nie boi, jednakże to uczucie, że się dusi, że ogarnia go wirująca ciemność... Tak, musi przyznać, to było przerażające.

Wie, co powie mu lekarz. Słyszał to już nieraz. Proszę rzucić palenie. Wszystkie te papierosy, zwłaszcza bez filtra, które palili z Biszu w Indiach, bo na inne nie mogli sobie pozwolić, zniszczyły mu płuca. Ale prędzej wyzionie ducha, niż przestanie palić. Nie jest nawet pewien, czy byłby w stanie to zrobić. Wiernie, spolegliwie – były z nim dłużej niż jakikolwiek człowiek w jego życiu.

Musi być inne rozwiązanie. Zawsze jest. Takie motto przyświecało jego życiu i zawsze się sprawdzało – zawsze, nie licząc jednej sprawy.

Rozgląda się po poczekalni z niejaką satysfakcją. Nawet ze swoimi problemami ma lepiej niż większość siedzących tu smutasów, którzy mogą czekać jedynie na śmierć. Założyłby się o to za każdą sumę.

Proszę wymienić inne choroby niepodane wyżej.

Malaria

Wciąż pamięta podartą moskitierę, którą ciotka wykopała z jakiejś pryzmy staroci. Wręczyła mu ją z uśmiechem, zadowolona, że nie będzie musiała kupować nowej.

– Używaj jej. Nie chcemy, żebyś się rozchorował.

Do tej pory nauczył się słyszeć to, co niewypowiedziane: „Nie chcemy mieć z tobą więcej problemów, niż to konieczne”.

Posłusznie przytwierdzał sznurki i co noc rozwieszał moskitierę nad łóżkiem. Nie musiał wbijać gwoździ w ścianę, ponieważ zrobił to wcześniej Gopal. Gopal nie lubił go, gdyż musiał się pożegnać ze swoim drewnianym łóżkiem – taktaposz – i spać na gołej betonowej podłodze. Już pierwszej nocy Sandżaj usłyszał, jak służący dyszy ciężko, z wysiłkiem, po czym krzyczy takim tonem, że przestraszony Sandżaj aż naciągnął na głowę koc. Rankiem Gopal posłał mu spojrzenie zwięzonych w szparki oczu i wykonał poziomy ruch ręką przy szyi. Nie musiał się jednak martwić. W całym domu nie było nikogo, komu Sandżaj mógłby coś powiedzieć.

Właśnie dlatego nie skarżył się, gdy moskity (tamtego roku wyjątkowo liczne z powodu deszczu) radośnie znalazły drogę przez dziury w siatce i zaczęły go kłuć, powodując obrzmiałe wzgórki na całych nogach. Ani wtedy, gdy ogarnęła go gorączka i zęby zaczęły mu dzwonić tak mocno, że Gopal skarżył się, iż nie może przez to spać. Sandżajowi gorączka nie przeszkadzała. Dzięki niej przeniósł się z powrotem do Ranczi, gdzie jego matka ścinała aksamitki na ich domowy ołtarz. Czuł nawet przenikliwy zapach dzikich kwiatów. Rankami przypominał wyżętą szmatę do mycia podłóg i nie miał siły wspiąć się po schodach na śniadanie, o wyjściu do szkoły nie mówiąc. Ciotka przysłała mu za pośrednictwem Gopala wodę jęczmienną i aspirynę, kazać zostać w łóżku i odpoczywać. Znaczyło to tyle co: „Ani się waż zbliżać do moich córek, które mógłbyś zarazić”. Nikt nawet do niego nie zajrzał.

Nie licząc Biszu, chłopca z sąsiedztwa, z którym grał na ulicy w piłkę. Biszu potrząsnął jego ramieniem i zawołał:

– Szonu, Szonu!

A może to także sobie tylko wyśnił w malignie? We śnie tym pojawili się i inni ludzie, których ledwie znał, tacy jak jego nauczyciel historii Lal Ratan i dziwny mężczyzna w okularach i ze stetoskopem. Obok nich stał wuj, najpierw psioczący, a później potulny. Ktoś przytrzymał głowę Sandżaja, ktoś inny wmusił w niego pigułki, które zostawiły mu na języku gorzki posmak. Igła wkłuła się w jego ramię, termometr trafił do ust. Po raz ostatni poczuł zapach matczynych aksamitek. Później Gopal, otrzeźwiały za sprawą muśnięcia śmierci, delikatnie trzymał mu głowę i poił go wodą jęczmienną. Mówiąc w skrócie: Sandżaj przeżył.

Czy to było szczęście, czy pech? Kiedyś sądził, że zna odpowiedź. Ostatnimi czasy przestał być czegokolwiek pewny.

OSTATNIE PRZEŚWIETLENIE PŁUC:

MAJ 1971 ROKU

Tak stoi w papierach, ale w rzeczywistości to kłamstwo. Wszystkie jego dokumenty są oszustwem, powstały w zapyziałym pokoiku w bocznej uliczce Kalkuty, gdzie wyszły spod ręki mężczyzny z zezem. W życiu nie miał robionego prześwietlenia płuc. Wuj Sam by się pogniewał, gdyby wiedział!

W 1971 roku Sandżaj musiał zejść do podziemia. Naksalici poróżnili się z komunistami. Jako przywódca studenckiej partii Sandżaj był łatwym celem. Nadal pamięta tamte dni, gdy przenosił się z miejsca na miejsce, chował pod łózkami niechętnych gospodarzy, drżąc, ilekroć ktoś zapukał do drzwi. Nie śmiał nawet zadzwonić do Beli, aby jej powiedzieć, że żyje. A potem, jakby za sprawą magii, Biszu zatelefonował do niego z Ameryki. Skąd w ogóle miał jego numer?

– Jedź do Barabazar, Szonu. Odszukaj Sarfaraza. Powołaj się na mnie. Powiedz mu, że dopilnuję, aby dostał pieniądze.

Po czym zniecka – czary-mary, abrakadabra – Sandżaj był w drodze do Ameryki, uzbrojony w fałszywe dokumenty i fałszywą ofertę pracy. Startując samolotem z lotniska Dum Dum, drżał z podniecenia i strachu i czuł nieracjonalną tęsknotę za miastem, w którym zaznał samych kłopotów. Miał takie wrażenie, jakby ktoś włożył mu rękę do piersi i ścisnął. W późniejszym życiu czekały go smutki, które przeszywały go bólem do szpiku, nigdy jednak nie doświadczył czegoś podobnego. Być może tylko młodzi ludzie są zdolni do takich silnych odczuć.

Podczas lotu był uwięziony na niewygodnym, kupionym na ostatnią chwilę miejscu w środku rzędu. Nachylił się ku małemu owalnemu okienku, chcąc ostatni raz spojrzeć na Kalkutę – miasto, w którym Bela leżała w łóżku. Co Bela zrobi, gdy przyjaciel Biszu dostarczy jej wiadomość? Czy znajdzie w sobie odwagę, aby porzucić wszystko w imię miłości? Grubas siedzący na miejscu przy

oknie chrząknął z niezadowoleniem.

– Nie ma nic do oglądania – powiedział, zasłaniając okno. – Jest druga nad ranem, wszyscy śpią.

Coś jest nie tak. Zapomniał spojrzeć na zegar po wejściu do gabinetu, jednakże mógłby się założyć, że czeka już ponad godzinę. Czemu pozostali pacjenci się nie niecierpliwia? Czyżby nie mieli własnego życia? Cóż, on, Sandżaj Kumar, ma sprawy do załatwienia. Zaraz się tu z kimś rozmówi!

Czy zapina Pan pas bezpieczeństwa podczas jazdy samochodem?

Wkłada Pan kask podczas jazdy rowerem?

Tak

Nie jest głupi. Waży ryzyko i przyjemność, podejmuje uważnie decyzje. Zazwyczaj mu się udaje, chociaż rozwód nie spełnił jego oczekiwań.

Czy cierpiał Pan kiedyś na chorobę weneryczną?

Nie.

Ani nie zamierza złapać żadnej w przyszłości. Zawsze mówił swoim partnerkom, obecnej dziewczyny nie wyłączając, że muszą się najpierw przebadać, w przeciwnym razie ze związku nici. Zachowuje się w tej sprawie uczciwie – sam też jest gotów przejść podobne badanie. Jeśli którejś coś się nie podoba – auf Wiedersehen, pa, pa. Układ czysty i prosty. Sprawdza się w jego wypadku, ponieważ Sandżaj potrafi wykorzystywać ludzi, obywając się bez ckliwości. Przydatna cecha.

Żałuje tylko, że nabył ją tak późno w życiu.

Czy pije Pan alkohol? Jeśli tak, jak często?

To pytanie pominie. Tylko głupiec liczy, ile wypił. Coś takiego jest zaprzeczeniem idei picia, które służy temu, aby wznieść się ponad konsekwencje, a przynajmniej nabrać przelotnego przekonania, że coś takiego jest możliwe.

Jakie instrukcje wydał Pan na wypadek swojej śmierci?

To pytanie również pominie. Właściwie to uporał się już z całym przeklętym kwestionariuszem. Podchodzi do recepcjonistki, która znów siedzi za szklaną ścianką i robi coś na komputerze. Rzuca podkładkę na ladę i posyła kobiecie dziki uśmiech, gdy ta podskakuje.

– Pańska kolej powinna niedługo nadejść – zapewnia go recepcjonistka w odpowiedzi na jego pytanie.

Sandżaj mógłby się założyć, że uczą je zwracać się do pacjentów takim neutralnym, przesłodzonym tonem. Szczególnie gdy wcześniej kazały im czekać w nieskończoność. Pokazuje kobiecie plecy i ciężkim krokiem wraca na swoje miejsce. Jeśli nie zostanie wkrótce wezwany, zabierze się stąd w cholerę.

Co do pytania, które zostawił bez odpowiedzi: obmyślił wskazówki na wypadek swojej śmierci, aczkolwiek nie zamierza się nimi z nikim dzielić. Długi język, krótkie życie. To jedno z jego ulubionych powiedzonek. Wpoił je Tarze, gdy była mała.

Od dłuższego czasu chodzi do lekarza – czy raczej do lekarzy, robiąc sobie między wizytami przerwy, żeby żaden nie nabrał podejrzeń. Skarży się na ból, na kłopoty ze snem. Wszystko to kłamstwa. Sypia jak wół po całym dniu roboczym. I chrapie tak samo, przynajmniej według jego partnerek. Lekarze przepisują mu pigułki, które chowa po całym domu, aby móc ich użyć wszystkich naraz w razie potrzeby. Pewnego razu przeprowadził małe rozeznanie i wyszło mu, że to może nie wystarczyć. A nie zamierza ryzykować w tej sytuacji. Nawiązał kontakt z człowiekiem, który miał powiązania w Meksyku. Obecnie posiada tyle pentobarbitalu, że mógłby wysłać do nieba konia. Sandżaj

Dewan nie skończy na wózku inwalidzkim, jedząc papki i robiąc w spodnie, pchany przez paskudną megierę-pielegniarkę z mysią łapką zamiast ust – właśnie jak ta, która weszła do poczekalni, aby wygłosić oświadczenie.

– Pan doktor został zatrzymany w szpitalu. Jeden z jego pacjentów trafił na oddział intensywnej terapii. Trudno powiedzieć, kiedy dotrze do przychodni. Ci z państwa, którzy nie przyszedli z pilnym problemem, powinni umówić się na wizytę w innym terminie.

Troje pacjentów posuwistym ruchem, przywodzącym na myśl zombie, rusza do recepcji.

Sandżaj się zastanawia. Przypomina sobie jednak, co czuł minionej nocy – jakby zły duch przygniatał mu płuca obcasem. Myśli o swojej dziewczynie, która w domu zarzuci go pytaniami. I najpewniej przywiezie go tu z powrotem.

Postanawia zaczekać jeszcze pół godziny.

Ale oto pojawia się następne pytanie, choć myślał, że ma je już z głowy. Nie jest pewien, skąd się wzięło. Może wyłoniło się zza dystrybutora z wodą? Zawisa na wysokości jego oczu.

Wymień jedną ludzką tajemnicę.

To akurat jest łatwe:

Czemu ludzie robią różne rzeczy?

Gdy już wyzdrowiał z malarii, zapytał Biszu, co sprawiło, że przyszedł się z nim zobaczyć. Dlaczego potem udał się do ich nauczyciela historii, aby mu o wszystkim opowiedzieć. Co kazało mu opisać stan Sandżaja w tak dramatycznych słowach, że zmartwiony Lal Ratan wybrał się do domu Sandżaja i uparł, aby rozmawiać z jego wujem.

Biszu wzruszył ramionami. W tamtych czasach był raczej milczkiem. „Nie

wiem”, powiedział. I kopnął starą, połataną piłkę w stronę Sandzaja, aby mogli jeszcze przez chwilę pograć, zanim zrobi się ciemno.

„Nie wiem”. Czy nie do tego wszystko się sprowadza?

Lata później już sprytniejszy Biszu, wróciwszy do tamtych wydarzeń, podał całą masę bzdurnych motywów. Tak jak mógłby to zrobić Sandzaj, gdyby go ktoś zapytał, czemu zależało mu, aby Bela uciekła z domu i dołączyła do niego w Ameryce. Albo czemu rzucił zadowalającą pracę programisty komputerowego i zajął się inwestycjami, przez lata balansując na granicy bankructwa. Czemu postanowił rozwieść się z Belą. Czemu wynajął prywatnego detektywa, żeby śledził poczynania Tary. Ale tak naprawdę sam nie wiedział, dlaczego to wszystko zrobił.

W powietrzu pojawia się kolejne pytanie, które drga leciutko.

Opisz wydarzenie ze swojego życia, którego żałujesz.

Żal to idiotyczna emocja typowa dla masochistów – a on nie jest jednym z nich.

Aczkolwiek było jedno takie wydarzenie.

Wkrótce po tym, gdy zdecydował, że się rozwiedzie, ale jeszcze przed tym, zanim zawiadomił żonę, pojechał na uczelnię Tary. Chciał najpierw poinformować córkę. Chciał jej wyjaśnić powody, dla których robi to, co robi. Chciał się upewnić, że Tara weźmie jego stronę, zanim Bela zdąży ją zatruć jadem swoich kłamstw i łez.

Zabrał dziewczynę do jej ulubionej restauracji śródziemnomorskiej. Osobiście wolałby coś wykwintniejszego, ale musiał zostawić na później pracę nad gustem Tary. Tego dnia chciał, aby była w dobrym humorze. Pozwolił, żeby sobie zamówiła wszystko, na co miała ochotę: nadziewane liście winogron, hummus, mussakę, gyros, baklawę, takie tam. Tara miała wyładowany talerz. Gadła jak najęta, wymachując widelcem i mówiąc z pełnymi ustami. Dobiegał końca

pierwszy semestr studiów – zdążyła się zaaklimatyzować, polubiła wykładowców.

– Nie cierpię mojej współlokatorki. Nie mogę się doczekać przyszłego roku, gdy będę mogła mieszkać sama. Obiecałeś mi kwatery na mieście, prawda?

Potem przeszła do opowieści na temat zajęć z psychologii; chodziło o jakieś doświadczenie z dziećmi i ciastkami, coś o odroczonej gratyfikacji. W jego uszach nie miało to wielkiego sensu. Głowę zaprzętały mu własne myśli, które próbował ubrać w słowa. W końcu przerwał córce i zaczął wygłaszać mowę, którą przygotował podczas jazdy samochodem.

Tara odłożyła widelec. Odepchnęła krzesło od stołu. Teraz myśli, że dostrzegł w jej oczach łzy, ale może to był błysk wściekłości.

– Zostawiasz nas? – Talerz wciąż był pełen. Ledwie tknęła jedzenie. – Masz romans?

– Usiądź – powiedział. – Nie dramatyzuj.

Rozważał, czyby nie przyznać się do romansu z inną kobietą, z zastrzeżeniem, że nie to jest przyczyną rozwodu. Prawdziwy powód był o wiele bardziej skomplikowany. Chodziło o to, że Bela pierwsza go zdradziła. Właśnie dlatego budząc się co rano i patrząc na jej spokojną, śpiącą twarz, czuł się tak, jakby tonął w trocinach.

Ostatecznie jednak zapewnił tylko Tarę, że jej nie zostawia.

– Jesteś moją ukochaną córeczką i zawsze nią będziesz.

Dziewczyna wstała od stołu i wyszła w pół zdania. Sandżaj do tej pory pamięta wygląd jej talerza: czerwonobrazowa mussaka krwawiła na kremowy hummus. Dolmady ułożyła w zgrabną zieloną kupkę. Zostawiała je sobie zawsze na sam koniec, ponieważ przepadała za nimi.

Sandżaj pożałował, że pośpieszył się z wyznaniem, zamiast zaczekać, aż Tara doje posiłek.

Ponownie spotkali się w dniu, w którym wyprowadzał się z domu. Bela

zmusiła córkę, aby wróciła wcześniej z uczelni, w nadziei, że jej obecność skłoni męża do zmiany zdania. Natknęła się na niego tuż przed pokrytą graffiti klatką. Była ubrana w za luźne rzeczy, wszystko w odcieniach szarości. Straciła sporo na wadze. W lewej brwi miała kolczyk. Nie potrafił oderwać wzroku od jego buntowniczego lśnienia.

– Skarbie – powiedział – kocham cię. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał (choć wiedział, że nie powinien): – To nie tylko przeze mnie. Spytaj matkę. Spytaj ją. Zdradziła mnie dawno temu.

Spojrzała na niego niedowierzającym wzrokiem.

– Jeśli znów będziesz mnie nachodził, wezwę policję. – Głos miała nieoczekiwanie dorosły, szorstki jak papier ścierny.

Z jakiego powodu masz wyrzuty sumienia?

A to skąd się wzięło? Czasem, gdy ma problemy ze złapaniem tchu, świat staje się zamglony. Czy to właśnie stało się tutaj? Nieważne. Odpowiada prędko:

Z żadnego.

Naturalnie to kłamstwo.

Po konfrontacji z Tarą, do której doszło w sklepie charytatywnym, wycofał się. Ale że nie mógł znieść niepewności, wynajął prywatnego detektywa. Płacił mu systematycznie przez lata, nawet te chude. I dzięki temu był na bieżąco z życiem córki. Sprawiało mu to tyle satysfakcji, ile ma głodujący człowiek z przyglądania się kolorowym zdjęciom jedzenia.

Poza tym wieści nie podnosiły na duchu. Tara wpadła w złe towarzystwo. Zaczęła pić. Brać narkotyki. Zamieszkała z jakimś nieudacznikiem, bodaj masażystą, po czym z nim zerwała. Zdaniem detektywa chłopak ją zdradzał. Sandżaj chciał zatłuc drania. Potem sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Tara

dokonała aborcji. Dwa lata później miała wypadek samochodowy. Pragnął jej pomóc, ale mógł co najwyżej przyglądać się z boku i cierpieć. A także wysyłać jej czeki.

Nigdy ich nie realizowała.

Później – nieoczekiwanie – nie tak znów długo po wypadku wyszła na prostą. Wróciła na studia, zdobyła dyplom, znalazła porządną pracę. Jak to możliwe? Nawet detektyw nie miał na to odpowiedzi. Tara pogodziła się też z Belą. To był dla niego cios poniżej pasa, ponieważ to on pragnął jej bardziej, był gotów dać jej wszystko, co tylko sobie zamarzyła.

W końcu wyszła za męża. Urodziła dziecko, które obecnie miało dziesięć lat. Sandzaj odprężył się wolno, bardzo wolno. Zaczął nosić w portfelu – dzięki teleobiektywowi detektywa – zdjęcie chłopca, który miał na imię Nil. Wyciągał fotografię, aby pochwalić się znajomym, jak prawdziwy dziadek.

Miesiąc temu Tara zniecka rzuciła pracę. A może została zwolniona. W każdym razie zaczęła umawiać się z psychiatrą.

Sandzaj słono zapłacił detektywowi z góry, aby ten poznał powód.

Facet był dobry w tym, co robił. Mimo to wczoraj zadzwonił do Sandzaja z informacją, że nie jest w stanie zdobyć historii choroby Tary.

Sandzaj byłby wystarczająco nieszczęśliwy, wiedząc, co jest nie tak. Nieświadomość była znacznie gorsza.

Tej samej nocy, usiłując przetrwać najsilniejszy atak, jaki miał w swoim życiu, Sandzaj zrozumiał, że choć nie wie, jaki dokładnie problem ma Tara, zna jego powód. A było nim to, że opuścił ją ojciec, jej przewodnik, jedyna osoba, której ufała. Zajął centralne miejsce w jej życiu, po czym ją porzucił.

Światło w poczekalni jest przyćmione. Może je przykręcili, żeby zaoszczędzić na prądzie? Zrobiło się też zimno, bardzo zimno. Dość tego! Nie będzie dłużej czekał w tym zapomnianym przez bogów miejscu ani odpowiadał na dziwaczne pytania. Sandzaj przepycha się obok kobiety w fartuchu, która próbuje – co za

bezczelność! – go zatrzymać. Zamierza wsiąść do samochodu i pojechać do domu. Jutro znajdzie innego lekarza, który ma lepsze pojęcie o punktualności i zadaje rozsądniejsze pytania. Jeśli tylko będzie szedł wolno, da radę. Poziom czwarty parking, miejsce 434. Pamięta to doskonale. Ta jest, panie sierżancie – jego serce może wyczyniać cuda, ale pamięć ma niezawodną.

Jaka jest natura życia?

Nie zamierzał odpowiadać na żadne więcej pytania, jednakże to – to łatwizna. Zastanawiał się nad tym wielokrotnie, leżąc rozbudzony w pustym łóżku bądź (co na jedno wychodzi) z ramieniem jakiejś nieznajomej przerzuconym przez jego pierś.

Życie to partyjka domina.

Jedno prowadzi do drugiego, to znów do trzeciego, dokładnie tak, jak człowiek to sobie zaplanował. Po czym znienacka któraś kostka przewraca się krzywo, wydarzenia zmieniają bieg, wszyscy stają okoniem i człowiek znajduje się w sytuacji, jakiej nie przewidział, chociaż wydawało mu się, że jest taki mądry.

Pierwszy tego typu przypadek ma wciąż dobrze wyryty w pamięci.

Było to kilka miesięcy po rozwodzie Biszu. Sandżaj i Bela nie zdążyli się jeszcze przeprowadzić do Teksasu. W dalszym ciągu mieszkali w ciasnym mieszkanku w San Francisco, a Tara była jeszcze niemowlęciem. Tamtego wieczoru Sandżaj wrócił do domu w dobrym humorze, chociaż nie pamięta już, z jakiego powodu. Otworzył drzwi, gwizdząc, i zobaczył ich dwoje na kanapie – żonę i najlepszego przyjaciela. Przez moment się cieszył.

Zawsze go martwiło, że Bela nie przepada za Biszu. Sprawy pogorszyły się dodatkowo przed rokiem, po tamtym incydencie z najemcą. Przeklęty wieśniak.

Nie chciał płacić czynszu. Nie chciał się wyprowadzić. A przecież Biszu i Sandżaj utopili w tym domu wszystkie swoje oszczędności; nie mieli nic więcej. Sytuacja zrobiła się nieprzyjemna. Nie było ich stać na spłatę kredytu hipotecznego. Bank przysłał im ostrzeżenie. Istniało ryzyko, że stracą dom, w który zainwestowali. Ostatecznie Biszu otruł psa tamtych ludzi i wszystko jakoś się ułożyło.

Gdy Bela dowiedziała się, co się stało, dostała szału. Nie chciała mieć z Biszu nic wspólnego, nie chciała go więcej widzieć. Sandżaj oczywiście nie mógł ulec tak niemądrym żądaniom, nie po tym, co Biszu zrobił dla nich obojga. Pokłócili się wtedy potężnie. Bela nie odzywała się do niego tygodniami. Kiedy przychodził Biszu, zamykała się w łazience, pozostawiając Sandżajowi snucie wyjaśnień.

Tymczasem przy tej okazji siedzieli blisko siebie, a Biszu obejmował Belę ramieniem. Rozmawiali cicho. Malutka Tara – miała wtedy może osiem miesięcy – siedziała na kolanach Biszu.

Widząc Sandżaję, Bela poderwała się gwałtownie.

– Moja matka jest chora. – Wskazała na leżący na stole list lotniczy.

Być może mówiła prawdę. Być może Biszu pocieszał ją, gdyż płakała. Być może on, Sandżaj – Szonu, Szona, Szeno – zareagował przesadnie. Na podłodze wały się zmięte chusteczki higieniczne.

Bzdura, usłyszał w głowie głos. To, jak się poderwała, to, jak podniosła na niego zaskoczone spojrzenie, po czym szybko spuściła wzrok. W jej oczach dostrzegł nie smutek, tylko poczucie winy.

Następnego tygodnia po powrocie do domu wieczorem nie zastał Beli. Jednakże jej samochód stał na parkingu. Gdzie mogła się podziać? Sterczał na balkonie przez godzinę, zamartwiając się i zastanawiając, czy powinien zawiadomić policję. W końcu zobaczył, że pod blok podjeżdża samochód Biszu. Wysiadła z niego roześmiana Bela w zielonym jedwabnym sari. Sandżaj nawet nie był świadomy, jak wypiękniała w ostatnich miesiącach, zrzuciwszy

pociążowe kilogramy. Biszu odwrócił się i wyjął z fotelika Tarę. Dziewczynka poklepała go po twarzy i coś zagaworzyła. Biszu uśmiechnął się i musnął jej szyję nosem. To wywołało wściekłość Sandżaja, a zarazem wstyd. Opuścił balkon, zanim zdążyli go zauważyć. Udał się do łazienki. Wyszedł z niej dopiero wtedy, gdy wtargnęli do mieszkania. Nie zapomniał o spuszczeniu wody dla pozorów.

Bela spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Wybacz, że tak późno. Na mieście są straszne korki.

– Gdzie byliście?

– W świątyni w Livermore. Dziś wypada rocznica śmierci mojego ojca. Nie czułam się na siłach, aby przejechać taki kawał drogi, a wiedziałam, że ty nie zechciałbyś pojechać ze mną. Dlatego poprosiłam Biszu-da.

Sandżaj wpatrzył się w Biszu, który przez całe studia utrzymywał, że religia to opium dla mas, i nigdy nawet nie był w hinduskiej świątyni.

Zawstydzony Biszu wzruszył ramionami.

– Nie mogłem pozwolić, aby we dwie wybrały się tak daleko same – rzekł. – Prawda?

Właśnie że mogłeś, chciał krzyknął Sandżaj. Zamiast tego powiedział:

– Napij się herbaty? Kupiłem masala czaj, który tak bardzo ci smakował ostatnim razem.

Później, gdy zostali już sami, zwrócił się do Beli.

– Nigdy wcześniej nie byłeś w świątyni w rocznicę śmierci ojca.

– Ludzie się zmieniają – powiedziała Bela, rzucając mu spod rzęs chłodne, nieprzeniknione spojrzenie.

Co chciała przez to powiedzieć? Czyżby to była jakaś aluzja? Uniosła brodę, jakby szykowała się na odebranie ciosu. Sandżaj nie wiedział, jak się zachować, porwał więc dziecko z jej kolan. Przestraszona Tara zaczęła płakać. Przez twarz

Beli przemknął – czytelny tym razem – wyraz strachu.

Tak, pomyślał Sandżaj. Mógłbym ją ukarać w ten sposób.

Wyrzucił wysoko ręce, na których trzymał Tarę, i zaczął się kręcić w kółko, wydając odgłos silnika samolotu, aż dziewczynka zaczęła zachłystywać się śmiechem. Potem zmienił jej pieluchę, czego na ogół unikał. Gdy nadeszła pora snu, powiedział:

– Ja ją położę.

Stał długo nad kołyską, kreśląc kółka na plecach dziecka, dopóki nie usnęło.

Bela obserwowała go od progu z marsem na czole.

Powtarzał to codziennie przez tydzień, potem drugi, aż Tara zaczęła odmawiać snu bez jego obecności. Aż stała się jego. A on – aczkolwiek tej części nie miał przemyślanej do końca – on stał się jej.

W następnym miesiącu miał wrażenie, że widzi ich razem bez przerwy: Bela i Biszu, Biszu i Bela. Czasami Biszu był już w ich mieszkaniu, gdy Sandżaj wracał z pracy, i tłumaczył, że wcześniej skończył zmianę w motelu, gdzie zatrudnił się jako kierownik. Było to kłamstwo. Sandżaj wiedział, że Biszu pracuje na noc, ponieważ jest z tego więcej pieniędzy. Musiał zostawić recepcję pod okiem sprzątaczkę, po tym jak przekupił ją paroma dolarami, i wymknął się tutaj.

Sandżaj nie powiedział ani słowa na ten temat. Był wobec Biszu serdeczny, serdeczniejszy nawet niż zazwyczaj. Unikał jednak przyjacielskich rozmów. Zdarzało się, że Biszu przyglądał mu się zdziwiony. Mimo to Sandżaj wywijał się skutecznie niewinnym uśmiechem.

W te dni, w które nie mógł się pojawić osobiście, Biszu dzwonił. Jeśli telefon odebrał Sandżaj, Biszu rzucał kilka zdawkowych pytań, po czym zapadała niezręczna cisza, gdyż nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. W końcu Biszu – jego najlepszy przyjaciel, jego brat – pytał:

– Mogę porozmawiać z Belą?

Wisieli na telefonie pół godziny. Bela, zaśmiewając się, w najdrobniejszych szczegółach opowiadała Biszu o harcach Tary. Sandżaj siedział nieopodal, gapiąc się w egzemplarz „Business Week” i przewracając strony, jakby cokolwiek z tego, co widział, miało sens.

Najgorsze jednak, że Biszu często zaglądał do nich wieczorami, przynosząc prezenty. Cukierki albo mydełka dla Beli – taniochę, na której widok ona jednak piała z zachwytu – albo balonik dla Tary. Dziewczynka tłuła go piąstkami i wołała: „Biku, Biku”. Tak nazywała bowiem Biszu, co było skrótem od Biszu Kaka. Ilekroć ją podnosił, obejmowała go kurczowo za szyję rączkami, podczas gdy Bela spoglądała na nich wyrozumiale. Sandżaj cierpiał, widząc ich troje w takiej komitywie.

Czy można go winić, że napisał anonimowy donos, który poskutkowało tym, że kierownictwo motelu przeprowadziło niezapowiedzianą kontrolę pod nieobecność Biszu, co zakończyło się jego zwolnieniem? Biszu szukał innej pracy, ale wieść o jego nieodpowiedzialności szybko się rozniosła wśród właścicieli moteli w Kalifornii. Ubiegał się też o inne stanowiska – stróża nocnego, pracownika magazynu; wszystko zajęta za stawkę minimalną. W polu „referencje” podawał zawsze nazwisko Sandżaja. Dziwne, ale nikt nie chciał go zatrudnić.

Gdy oszczędności mu stopniały, w desperacji zaczął szukać pracy poza granicami Kalifornii. W końcu, przy pomocy Sandżaja, znalazł sobie posadę kierownika małego motelu w stanie Utah. Nie cierpiał tego miejsca. Dzwonił do nich raz w tygodniu i żalił się na okropne zimno, podejrzanych gości i przytłaczającą samotność.

– Tęsknię za wami – mawiał do Sandżaja, który zawsze odbierał telefon. – U Beli wszystko dobrze? Mógłbym z nią porozmawiać? – Sandżaj nieodmiennie wymyślał jakiś pretekst: Beli nie ma w domu, jest pod prysznicem albo już śpi. Wtedy Biszu pytał ze smutkiem: – A jak się miewa moja mała Tara? Pewnie

rośnie jak na drożdżach. Zabija mnie ta rozłąka z wami...

Być może nie była to przesada. Biszu umarł przed upływem dwóch lat. Odebrawszy telefon od właściciela motelu, Sandżaj – ponieważ Biszu podał jego nazwisko jako najbliższego krewnego, a zarazem uczynił go beneficjentem ubezpieczenia na życie – poczuł się rozdarty między ulgą i wstydem.

W pierwszych tygodniach po wyjeździe Biszu z San Francisco obserwował żonę, dopatrując się znaków. Bela jednak jakby nigdy nic zajmowała się domem, nucąc coś pod nosem przy odkurzaniu czy prasowaniu. Jeśli w ogóle zaszła w niej jakaś zmiana, wydawała się szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Sandżaj wracał do domu o przeróżnych porach, aby ją przyłapać. Może będzie płakać? Albo rozmawiać z Biszu przez telefon? Tymczasem Bela bądź drzemała, bądź oglądała z Tarą *Ulicę Sezamkową*. Czasami była z nimi Hinduska, która wprowadziła się niedawno piętro niżej. Ona także miała małe dziecko. Gdy Sandżaj wracał do domu, niemowlęta baraszkowały na kocu rozłożonym na ziemi, a obie kobiety popijały herbatę i pogryzały czanaczur. Rzucały mu ciekawe, nieco karcące spojrzenia, jak gdyby zastanawiając się, co robi w domu w środku dnia.

Mijały miesiące. Bela w dalszym ciągu była spokojna i kwitnąca jak Madonna. Ilekroć dzwonił Biszu, nie narzucała się ani nie chciała z nim rozmawiać. Gdy Tara skończyła roczek, Bela wróciła do pracy w żłobku, zabierając ze sobą co dzień córkę. Praca jej służyła. Przydała jej pewności siebie. Na kolację podawała bez większych wyrzutów sumienia gotowany ryż i fasolę, przygotowane pośpiesznie w szybkowarze. Przeszkadzała Sandżajowi w oglądaniu wieczornych wiadomości i opowiadała mu anegdoty na temat tego, co wydarzyło się danego dnia w żłobku.

Sandżaj był zdumiony, jak sprawnie ukrywała swój smutek po wyjeździe Biszu, a później po jego śmierci.

Pewnej nocy kilka miesięcy po śmierci Biszu leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć. Przez bolącą głowę przewijały mu się wspomnienia z ich wspólnego

dzieciństwa. Tymczasem śpiąca obok niego Bela oddychała równo i spokojnie.

To wtedy spadła na niego prawda. Bela nigdy nie czuła pociągu do Biszu. Udawała tylko, aby wzbudzić w Sandżaju zazdrość, stworzyć między nimi rozłam, zmusić go do przepędzenia najlepszego przyjaciela. Użyła do tego celu ich córki. Musiała to planować od dawna, być może nawet od dnia śmierci tamtego psa. Sandżaj sądził, że o wszystkim zapomniała, najwyraźniej jednak nigdy nie wybaczyła żadnemu z nich.

Gniew zalał żyły Sandżaja niczym trucizna. Stracił oddech. To była większa zdrada, niż gdyby faktycznie przespała się z Biszu. Poderwał się gwałtownie, naraz spocony i zziębnięty, i cały rozdygotany, zupełnie jak wtedy, gdy miał malarię. Jak ona śmiała tak nim manipulować? Udusi tę fałszywą babę bez względu na konsekwencje. Spojrzał w dół na swoje dłonie. Były napięte i gotowe do czynu.

Niewiele brakowało, a by to zrobił.

Nagle jednak usłyszał w kołysce Tarę, która coś zamamrotała, poprawiając się i pogrążając znów we śnie.

Zmusił się, żeby zaczerpnąć tchu. Przez wzgląd na dziecko opadł ponownie na poduszkę.

Przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Ukarze Belę, rozwodząc się z nią – niech szczęście w samotności tak jak Biszu. Ale jeszcze nie teraz, tylko wtedy, gdy ich córka dorośnie. Nie narazi na szwank przyszłości Tary, nie pozwoli, aby odebrano mu choćby jej część. Nie było mowy o naprzemiennej opiece nad dzieckiem. Zaczeka, cierpliwy niczym czapla nad wodą, aby wykonać zwinny ruch we właściwym momencie, gdy Bela tak się od niego uzależni, że nie będzie w stanie dać sobie rady sama. Tymczasem będzie kochał Tarę zażarcie i kompletnie. Sprawí, że stanie się niezastąpiony w życiu Beli; przekona ją, że za nią szaleje. Dzięki temu gdy ją rzuci, będzie miała złamane życie.

Nie wiedział wówczas, że długi czas oczekiwania na zemstę przeplotą lepsze

chwile, w których kurz będzie tańczył w słońcu zupełnie tak jak w Kalkucie, a Bela – wklejając zdjęcia do albumu albo szykując specjalne danie na kolację – będzie się do niego uśmiechać, jakże podobna do dziewczyny, którą pokochał jeszcze na studiach. W takich momentach jego zdradliwe serce szepnie mu: „Może jednak się mylisz. Skończ z tym, nie jest jeszcze za późno”. Z tym że oczywiście było za późno.



Wewnątrz samochodu stojącego na parkingu jest ciemno i zimno, znacznie zimniej, niż powinno być w Oakland w lipcu. Nieważne. Sandżaj zapina marynarkę i składa głowę na kierownicy. Potrzebuje tylko paru minut dla podładowania akumulatorów, później ruszy w drogę powrotną do domu. Kostki domina przewracają się z wdziękiem pośród błysków bieli i czerni, tak samo jak tamtej nocy, gdy leżał obok swojej pięknej, niczego nieświadomej żony. Przyglądając się im, zasypia.





Tysiąc słów: 2020



toję w obcej kuchni, męcząc się z oporną dynią, ponieważ moja matka zdecydowała, że ostatnim posiłkiem, jaki chce skosztować przed pójściem do więzienia, jest prawdziwe bengalskie curry dyniowe.

Mama ma skłonności do przesady. Przed nami jeszcze cały weekend, kiedy to będę pakować jej rzeczy. Poza tym nie chodzi o więzienie, tylko o Sunny Hills – przyzwoity, jeśli nie luksusowy dom spokojnej starości w Austin. Gdy przed dwoma tygodniami przewróciła się po raz drugi, łamiąc sobie nogę, jej lekarz zadzwonił do mnie i powiedział, że nie może dłużej mieszkać sama. Wzięłam tydzień urlopu na specjalne okazje i przyleciałam tu z San Jose, aby namówić ją na przenosiny do domu opieki. Oczywiście wołałabym, aby zamieszkała bliżej mnie, gdzieś, gdzie mogłabym mieć na nią oko. Ona jednak z mety odpowiedziała, że nie zamierza opuszczać Teksasu. Bela Dewan, uparciucha.

Denerwowałam się przed przyjazdem do niej. Od jej rozwodu nie spędziłyśmy ze sobą razem tyle czasu. Ilekroć się widywałyśmy przy okazji ważnych spotkań rodzinnych, za bufory służyli mój mąż i syn. Poza tym wymieniałyśmy tylko maile albo dzwoniłyśmy do siebie z obowiązku, w głównej mierze po to, aby się przekonać nawzajem, że jakoś sobie radzimy.

– O czym będę z nią rozmawiać? – zapytałam Gary’ego, gdy podrzucił mnie na lotnisko. – Boję się, że zacznie wyciągać jakieś smutne zaszłości i że się

pokłócimy.

– Poradzisz sobie – odparł mój słodki mąż-księgowy, który wierzy, że przy odpowiedniej ilości dobrej woli bilans wychodzi na zero. Wręczył mi bagaż podręczny i pocałował mnie na do widzenia. – Pamiętaj, że do awantury trzeba dwojga.

– Do tanga – sprostowałam chmurnie. – Do tanga trzeba dwojga.

Chciałam dodać coś na temat jego przesadnego optymizmu, ale w tej samej chwili jeden z lotniskowych policjantów zadał w gwizdek, przeraźliwie dając do zrozumienia, że Gary powinien już ruszać.

Schwytana w okowy paniki zatelefonowałam do swojej terapeutki, która jednak nie okazała się specjalnie pomocna.

– Pamiętaj, że to trudniejsze dla twojej matki niż dla ciebie – powiedziała. Po czym dodała: – Może ta wizyta pozwoli ci na uporanie się z częścią twoich problemów.

Odparłam, że bardzo w to wątpię. Poza tym wcale nie chciałam zagłębiać się w problemy, których powodem była mama.

Przez cały tydzień wozłam ją po różnych domach opieki w mieście. Nie było to najłatwiejsze, ponieważ jedną nogę miała w gipsie. Każdorazowo obrzucała tylko placówkę przelotnym spojrzeniem, po czym stwierdzała:

– Brzydko tu.

Kilka razy odmówiła choćby wyjścia z samochodu. W duchu powtarzałam sobie pożegnalną mantrę Gary’ego i trzymałam buzię na kłódkę, choć nie wiedziałam, jak długo jeszcze wytrzymam.

W końcu nasz wybór padł na Sunny Hills – najładniejsze miejsce z tych, na które mogłyśmy sobie pozwolić. Pokój, do którego nas zaprowadzono, miał widok na przyjemny ogródek zarośnięty kwiatami. Stawka była wyższa, niż pierwotnie zakładałyśmy, jednakże szalę przeważył aneks kuchenny.

– Brzydko tu – powiedziała mama.

Byłam na krawędzi krzyku. Ale wpadłam na lepszy pomysł.

– W takim razie będziesz musiała pojechać ze mną do Kalifornii – oznajmiłam słodkim głosem. – Przypomnij mi, żebym ci zarezerwowała bilet zaraz po powrocie do domu.

Natychmiast położyła uszy po sobie. Pozwoliła się zawieźć na wózku do biura i nie robiła więcej przeszkód. Podpisała wszystkie papiery bez jednego słowa. Na pytanie kierowniczkę, czy potrzebuje więcej informacji, tylko pokręciła głową. Znalazłszy się z powrotem w samochodzie, zamknęła oczy. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo straciła na wadze. Powieki miała pomarszczone i cienkie jak bibułka.

Spodziewałam się, że poczuję tryumf albo przynajmniej ulgę. Miałam do tego wszelkie prawo. Tymczasem wydawało mi się, że w samochodzie brakuje powietrza.



Udało mi się podzielić dynię na nierówne połówki. Niestety wybieranie włóknistych, upstrzonych nasionkami bebeczków nie jest wiele łatwiejsze. Jak już skończę, czeka mnie jeszcze obieranie skórki i duszenie, aż mięsz stanie się mięciutki, ale nie papkowaty. Potem będę musiała usmażyć dynię na złoto, zagęścić sosem na bazie mąki (byle tylko nie zrobiły się grudki, przestrzegła mnie mama) i ozdobić listkami kolendry posiekanymi tak drobno, jak wymagają jej standardy.

Tak naprawdę nie mam na to wszystko czasu, ale skoro wygrałam bój o dom opieki, na tym froncie mogę przegrać. Wyznaję, że przynoszę hańbę rodzinie. Moja mama ma na koncie kilka bestsellerowych książek kucharskich oraz blog – „Kuchnia Beli” – który prowadzi od prawie dwudziestu lat. Desery mojej babki Sabitri były otoczone legendą w Kalkucie – tak przynajmniej słyszałam. W rodzinnej wiosce mojej prababki Durgi nie mogło się odbyć żadne wesele bez

jej słynnej malpui, zrobionej na złoto i zanurzonej w syropie różanym, a następnie przyprószonej gniecionym fenkułem. Jeśli chodzi o mnie, nie bawię się w gotowanie, tylko przyrządzam posiłek w góra pół godziny.

– Nie bądź taka skromna – mówi mi Gary. – Świetnie gotujesz.

– Wybaczę ci to kłamstwo – odpowiadam.

Moja matka stwierdziła kiedyś, że brak mi ambicji. Właśnie zwijałyśmy roti w kuchni. Miałam dwanaście lat i roti, które wychodziły spod moich rąk, nie były takie kształtne, jak by sobie życzyła. Ja zauważyłam, że i tak rosną, gdy je smaży na patelni. Czy to nie wystarczy?

– Nie. – Mama odpuszczała wiele rzeczy, ale nie kwestię gotowania. Zgarnęła ulepione przeze mnie roti i wrzuciła je z powrotem do miski z ciastem. – Zrób je jeszcze raz.

– Hitler! – skwitował tata, wkraczając do kuchni niczym anioł zbawienia, po czym zabrał mnie do pokoju na partyjkę gry planszowej. Uwielbiałam go, gdyż zawsze stawał po mojej stronie.

A mama się myliła. Jestem ambitna – po prostu nasze ambicje się nie pokrywają. Chcę utrzymać się na stanowisku, mimo że to nic specjalnego: praca w dziale kadr dużej firmy. Chcę być dla Nila dobrą matką, z którą będzie się kontaktował po wyjeździe na studia. Chcę być dla Gary’ego żoną, której nigdy nie opuści. Nade wszystko zaś pragnę – o czym wie tylko moja terapeutka – wyleczyć się z choroby, która tkwi we mnie niczym rdza w róży.

– Taro! – woła z sypialni mama. – Zgłodniałam. Czy to curry jest już gotowe? Wykorzystałaś ten przepis, o którym ci mówiłam?

Z marsem na czole patrzę na książkę w lśniącej twardej oprawie, którą zdjęłam z półki. *Codzienne specjały wiejskiej kuchni bengalskiej* autorstwa Beli Dewan. Istotnie, zajrzałam do przepisu. Zajmował trzy całe strony i wymagał dwudziestu siedmiu składników. Będę musiała go jakoś przyciąć.

– Jeszcze nie! – odkrzykuję. – Jeśli jesteś głodna, mogę ci dać płatki

zbożowe.

– Jest południe. – Mama mówi obrażonym tonem. – Normalni ludzie nie jedzą płatków w południe. Przyznaj się, nawet nie zaczęłaś tego curry, co? Wyczułabym przyprawy...

Chcę jej przypomnieć, że cały rano przetrząsałam jej liczne szafy. Udaje mi się jednak zapanować nad strunami głosowymi, tak że koniec końców mówię:

– A co powiesz na herbatę i parę ciasteczek z żurawiną i białą czekoladą, które przywiozłam dla ciebie z San Francisco?

Zapada milczenie. Ostatecznie jednak moja matka – w głębi serca Bengalka, nawet jeśli tylko pod względem kulinarnym – nie może się oprzeć propozycji cha i mishti.

– Tylko zaparz darjeeling – prosi. – I podgrzej na kuchence, nie w mikrofalówce. I użyj tych filiżanek ze złożonym brzegiem. Nie ma sensu ich trzymać w kredensie, skoro idę do więzienia.

~

Nasz spóźniony lunch okazuje się zadziwiająco przyjemnym posiłkiem. Ryż, fasola mungo z kokosem i curry dyniowe. To ostatnie całkiem się udało, chociaż bałam się, że będzie inaczej. Mama je komplementuje. Tego także się nie spodziewałam. Czyżby wpadła w delirium z powodu głodu? Ale nie. W ten weekend nie chce się kłócić – podobnie jak ja. Niech ta wizyta zapisze się miło w naszej pamięci. Bogowie są świadkami, że nie mamy wielu miłych wspomnień.

Prowadzimy ostrożną rozmowę, starannie unikając tematów zapalnych. Pytam mamę o jej książkę kucharską, z której zaczerpnęłam przepis, a która ukazała się jakieś dziesięć lat temu. Była druga w kolejności, a zarazem najbardziej popularna. Wydawca wysłał mamę w trasę po siedmiu miastach.

– Aż w siedmiu! – Usiłuję ją sobie wyobrazić, jak gna z lotniska do

audytorium, po czym rozgaduje się w obecności masy obcych ludzi. – Bardzo się denerwowałam?

– Byłam przerażona – przyznaje. Mimo to przez jej twarz przelatuje uśmiech.

Nagle ogarnia mnie smutek, ponieważ nie mam pojęcia o sporej części jej życia. Nie kontaktowałyśmy się ze sobą przez całą dekadę po jej rozwodzie. Głównie przeze mnie. Potrafię się do tego przyznać – teraz, gdy z terapeutką popracowałyśmy nad kwestią odpowiedzialności.

Chociaż z drugiej strony może to i dobrze, że nie utrzymywałyśmy kontaktu. Przez pewien okres nie byłam najmilszą osobą. Raniłam ludzi, którzy byli mi bliscy. I siebie też.

Któregoś razu mama zapytała mnie:

– Czemu byłaś na mnie taka zła po rozwodzie? Nie ja o niego wystąpiłam, przecież wiesz.

Nie odpowiedziałam wtedy. Nie chciałam o tym rozmawiać. Poza tym nie byłam pewna odpowiedzi. Może chodziło o zadawniony żal? A może tak naprawdę gniewałam się na siebie?

No i było jeszcze to: gdy raz się do niej zwróciłam w potrzebie, nie otrzymałam pomocy. Dowiedziałam się za to, że moja matka żyła dalej swoim życiem. Nic dziwnego, że w następnych latach nie chciałam mieć z nią nic wspólnego.

Narodziny Nila nieco zmieniły sytuację. Kilka tygodni po porodzie karmiłam go piersią. W dalszym ciągu miał kłopoty z przypięciem się do sutka. Co parę minut wypuszczał go z buzi, po czym sapał śmiesznie, znowu go szukając. Sama nie wiem, czemu się wtedy rozplakałam. Może za sprawą depresji poporodowej. Tuliłam synka i szlochałam jak jeszcze nigdy w życiu. Nie zwróciło mi to tego wszystkiego, co straciłam ani co sama odtrąciłam, ani tym bardziej ludzi, którzy odtręcili mnie, jakbym była starym ciuchem. Z całą pewnością nie zwróciło mi to dziecka, które wskrobałam. Nic nie było w stanie mi go zwrócić. Kiedy jednak

w końcu przestałam płakać, postrzegałam świat inaczej. Gary, który przez cały czas chciał, abym pogodziła się z matką, wyszperał jej adres w Internecie. Pozwoliłam mu wysłać jej fotografię Nila. A gdy mama zadzwoniła parę dni później, nie odmówiłam rozmowy z nią. Gawędziłyśmy na bezpieczne tematy. Nil i Gary, jej książki, moja praca, jej reumatyzm, moje obolałe piersi. Zarówno wtedy, jak i później pomijałyśmy milczeniem sprawy, o których naprawdę powinnyśmy były porozmawiać.



Mama ucięła sobie drzemkę. Z sypialni dolatuje chrapanie, chociaż jeśli wspomnę o tym później, będzie zaprzeczać. Cieszy mnie, że zaznaje trochę odpoczynku. Choć gips ją męczy, zarazem nie pozwala jej spać nocami. Zmusiłam ją do tego, żeby zostawiała drzwi otwarte i wołała mnie, gdy musi skorzystać z toalety, wiem jednak, że o ile jej nie przypilnuję, spróbuje skierować chodzik do łazienki sama.

Mnie także chce się spać. Nie przywykłam do jedzenia takich sutychnych posiłków w ciągu dnia. Mam ochotę wyciągnąć się na kanapie i opatulić czerwoną narzutą, która tam leży. Wtem, z ukłuciem żalu, rozpoznaję tę narzutę. Kupił ją mój ojciec, gdy był w delegacji w Nowej Anglii. Zabawne, że przedmioty pozostają w czyimś życiu, nawet gdy pewni ludzie dawno je opuścili.

Zaczynam opróżniać szafki w dużym pokoju. Z mamy jest prawdziwy chomik. Nazbierała sterty starych rachunków, paczuszki nawozu do kwiatów, zestawy samolotowe linii American Airlines, kasety magnetofonowe, które wraz ze zmianą technologii stały się bezużyteczne, zakurzone kryminały, których jakoś z nią nie kojarzę.

Jak tylko wrócę do domu, zrobię tam porządek, żeby Nil nie musiał przeżywać podobnej gehenny.

W jednej z szafek natykam się na albumy ze zdjęciami. Mają grube twarde okładki barwy bordo i zieleni, ze złotym wytłaczanym napisem PHOTO.

Pamiętam je ze swojego dzieciństwa. Mama przepadała za zdjęciami i robiła je przy każdej okazji – dziwna obsesja u kogoś, kto rzadko wracał do własnej przeszłości. Przed Dniem Matki tata buszował po sklepach, aby kupić jej wyjątkowy album z metalową okładką z grawerowanym imieniem bądź szybką, pod którą można było umieścić ulubione zdjęcie. Mama wyraziła się jasno: albumy przeprowadzą się z nią do Sunny Hills. Ja mam tylko przełożyć je do kartonu, który powinnam odpowiednio opisać.

Wiem, że nie wolno mi ich otwierać. Mam tysiąc innych rzeczy na głowie. Muszę przygotować wszystko przed poniedziałkiem, kiedy pojawią się ludzie z firmy przeprowadzkowej, a także pracownicy Armii Zbawienia, ekipa sprzątająca i pośrednik nieruchomości. Potem, po południu, muszę przeflancować mamę do domu opieki, aby zdążyć na wieczorny lot do San Jose.

Mimo że wiem to wszystko, siedzę na podłodze po turecku i już przerzucam sztywne, kartonowe kartki.

Albumy są wymieszane, tak że nie ma mowy o chronologii. Pierwszy wypełniają zdjęcia, które ja jej wysłałam – głównie Nila. Drugi przedstawia mamę na różnych kulinarnych imprezach – podczas demonstracji w księgarniach i klubach, w trakcie wykładów przed większym audytorium, czasem nawet na scenie. Usiłuję ocenić jej wiek na podstawie wyglądu. Na jednej fotografii mama stoi na tle półek sklepowych zastawionych hinduskimi produktami; są tam woreczki fasoli, słoiki z piklami, przyprawy w jaskrawych pudełkach. Ubrana w marszczony fartuch i czapę szefa kuchni miesza coś w woku, spoglądając w obiektyw z uśmiechem nieco nerwowym, ale pełnym zadowolenia, jakby fotograf był kimś, kogo zna i lubi. Ciekawe, kto to mógł być? Wydaje się, że zdjęcie zostało zrobione trzy albo cztery lata po rozwodzie, czyli w czasie, o którym mówi najmniej. Przewracam kartki. Z czasem publiczność rośnie. Na którymś z kolejnych zdjęć mama stoi na scenie, trzymając swoją nową książkę. Oceniam, że miała wtedy jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Jest ubrana w hinduski strój,

na który składa się wyszywana bluzka i spodnie – bardzo w stylu fusion. Poznać po niej, że zdążyła stracić nadwagę, której nabawiła się zaraz po rozwodzie. Skróciła też włosy. Wygląda bardzo korzystnie, o czym chyba wiedziała, bo zadarła brodę z pewnością siebie. Na następnej stronie widnieje zbliżenie z tej samej imprezy. Mama ma na twarzy ten sam wyraz co poprzednio – mieszaninę zadowolenia i nieśmiałości, niemal dziewczęcej. Intryguje mnie to na tyle, że odkładam album na bok. Jeśli wieczorem mama będzie w gadatliwym nastroju, zapytam ją o fotografa. Ciekawa jestem, czy to ten sam mężczyzna, który lata temu odebrał telefon, kiedy do niej zadzwoniłam w pamiętny wieczór przed dokonaniem aborcji. Ciekawa jestem, czy uszczęśliwił ją – choćby na krótko.

Następny album upamiętnia moje życie. Pierwsza strona ukazuje zdjęcie klasowe, które mama podpisała swoim starannym charakterem pisma: „Klasa trzecia szkoły podstawowej”. Stoję z przechyloną głową, mrużąc oczy. Uśmiecham się szeroko, odsłaniając lukę po straconym zębie. Wyglądam uroczo, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Kilka kolejnych stron przedstawia mnie w koszulkach z logo różnych drużyn, do których musiałam należeć. Na jednych trzymam stopę na piłce koszykowej, na drugich stoję z wyciągniętymi w górę rękami, tworząc z palców znak zwycięstwa. Na ten widok śmieję się pod nosem, choć czuję też lekkie wyrzuty sumienia. Taka masa zdjęć, tak dobrze zachowanych. To pokazuje, że życie mamy kręciło się wokół mnie.

Zatrzymuję się na dłużej przy zdjęciu, na którym przyciskam do piersi sportowe trofeum, szczerząc się maniacko. Dostrzegam w fotografii coś dziwnego. Jest długa i wąska, w odróżnieniu od zwykłych, prostokątnych. A do tego nierówna z boku, jakby ktoś odciął od niej kawałek. Przewracam kartkę, potem następną. Znajduję więcej takich krzywych zdjęć. Pomiedzy nimi występują luki – jakby ktoś wyrwał całe fotografie. Nagle uświadamiam sobie, że nigdzie nie widziałam taty.

Sięgam po inny album i jeszcze jeden. Część jest wypełniona zdjęciami

z moich lat dziecińczych, gdy świeżo poślubieni sobie rodzice mieszkali w Kalifornii. Mama trzyma mnie śpiącą na ręku, ubraną w niebieskie śpioszki (na razie nie rozszyfrowała kodeksu barw obowiązującego w Ameryce), na tle mostu Golden Gate. Klęczę na krześle przy stole i staram się zdmuchnąć dwie świece z domowej roboty tortu. Mój pierwszy dzień w przedszkolu – pozuję z wielkim czerwonym plecakiem, trochę zamazana, ponieważ ekscytacja nie pozwala mi ustać w miejscu spokojnie. Potem mieszkamy już w Teksasie. Wycieczka do Austin, gdzie siedzę okrakiem na armacie przed Kapitołem. Kąpiel w przydomowym basenie – jestem ubrana w tygrysie bikini, które tata kupił mi wbrew protestom mamy. Z okazji ukończenia szkoły średniej ściskam swoje najlepsze przyjaciółki, które do tej pory zdążył połknąć mrok czasu; wszystkie się uśmiechamy w nadziei, że oto wreszcie rozpoczyna się nasze prawdziwe życie. Na żadnym ze zdjęć nie ma taty. Uświadomiwszy to sobie, oczyma wyobraźni widzę, jak mama po rozwodzie ślęczy nad stołem w kuchni, pieczołowicie wycinając tatę z każdej fotografii – i z naszego życia. Ciacha nożyczkami późno w noc, zarazem żalosna i tryumfująca.

Ale czy ja nie postąpiłam podobnie? Zablokowałam jego numer. Złożyłam w banku dyspozycję, aby nie mógł przelewać na moje konto pieniędzy. Nie wzięłam od niego ani grosza, nawet gdy byłam pod ścianą i nie wiedziałam, z czego zapłacę kolejny czynsz. Odsyłałam jego listy bez otwierania. W późniejszym czasie, gdy brakowało mi sił na takie gesty, zwyczajnie wyrzucałam je do kosza. Do tego stopnia go nienawidziłam.

– Czy on naprawdę myślał, że zazna rozgrzeszenia tak łatwo? – zapytałam kiedyś swoją terapeutkę.

Odpowiedziała wtedy:

– Winisz go za swoje kłopoty. To zrozumiałe. Ale czy nie miała z nimi nic wspólnego twoja słabość?

Owszem, miała. Mimo to jednak przez całe lata nie byłam w stanie pomyśleć

o ojcu spokojnie – zaraz rumieniec występował mi na twarz i dłonie zaczynały się pocić.

Po jego śmierci w zeszłym roku skontaktował się ze mną jego prawnik. Okazało się, że tata pozostawił Nilowi całą sumę ubezpieczenia na życie – czyli niemało. Byłam zbyt wściekła, aby to skomentować. W końcu powiedziałam:

– Nie chcę tych pieniędzy. Proszę je przekazać na cele dobroczynne.

Jednakże mój ojciec okazał się przebiegły. Nie miałam prawa rozdysponować ani grosza. Pieniądze miały trafić w całości na konto Nila po osiągnięciu przez niego dwudziestego pierwszego roku życia.

Kłóciliśmy się sporo o te pieniądze: Gary, Nil i ja. Chcę, aby Nil z nich zrezygnował. Nazywam je brudnymi pieniędzmi. Mój mąż i syn twierdzą, że jestem śmieszna.

– Wystarczająco źle się stało, że nie pozwoliłaś Nilowi poznać dziadka za życia – rzekł mój zazwyczaj tolerancyjny mąż. – Teraz w dodatku chcesz odebrać mu jego dziedzictwo?

– Zupełnie jakby sięgał zza grobu, aby zniszczyć moją rodzinę – powiedziałam terapeutce, która tylko zamrugła wyrozumiale.

– Przyszło ci do głowy, że przesadzasz? – skwitowała.

Na dnie szafki leży cienki album, którego nie pamiętam. Jego wyblakła jedwabna okładka z kutasikami sprawia, że wydaje się nieamerykański, egzotyczny. Gdy go otwieram, roztacza zapach, z którego umiejscowieniem mam problem. Wtem sobie przypominam. Czułam go dawno temu w upalny dzień w świątyni. Była to woń błogosławieństwa i katastrofy. Później tego samego dnia miałam wypadek samochodowy. Szczegóły zdążyły mi umknąć, niemniej wiem, że o mało wtedy nie zginęłam. To wydarzenie mną wstrząsnęło. Po nim zaczęłam naprawiać swoje życie. Moja terapeutka twierdzi, że otarcie się o śmierć tak działa na człowieka, ja jednak nie sądzę, aby katalizator zmiany był równie łatwo uchwytne.

Na wewnętrznej stronie okładki złotymi literami stoi napis, który głosi: „Jeden obraz jest wart więcej niż tysiąc słów”. Znowu wracam pamięcią do przeszłości, gdyż w dzieciństwie mama często raczyła mnie takimi powiedzonkami. „Nie należy odpłacać pięknym za nadobne”. „Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby”. I jeszcze jedno, którym budziła mnie co rano: „Zwłoka powoduje, że nektar zamienia się w truciznę”. Doprowadzały mnie one do szaleństwa. Tata też lubił przysłowia, ale jego miały więcej sensu: „Silniejszy ma zawsze rację”; „Długi język, krótkie życie”; „Zdrajca Wibhiszan”, co znaczyło, że wróg w rodzinie jest znacznie gorszy od jakiegokolwiek obcego.

Czy sentencjonalność jest przekazywana genetycznie? A jeśli tak, to czy czai się gdzieś w głębi mnie, gotowa w każdej chwili eksplodować?

Moja terapeutka twierdzi, że zbyt się wszystkim martwię. Podarowała mi plakietkę z cytatem z Marka Twaina: „Przeżyłem wiele lat i miałem wiele problemów, z których większość nigdy się nie wydarzyła”.

Otworzywszy ten album, czuję zaskoczenie i zachwyt. Jest pełen czarno-białych zdjęć z Indii, przytwierdzonych do grubych, miękkich kartek specjalnymi brązowymi rożkami. Mogę podglądać dzieciństwo mojej matki, które ukrywała przede mną przez te wszystkie lata. W przypływie podniecenia wołam do niej, żeby się obudziła i zobaczyła, co znalazłam.

– Co takiego? – pyta, a ja słyszę w jej głosie niezadowolenie. Wkracza do dużego pokoju, ziewając i na pokaz szurając chodzikiem po podłodze.

Wręczam jej album z fotografiami z imprez kulinarnych.

– Kto robił te zdjęcia, mamó? – pytam, wskazując to ze sklepu, na którym się uśmiecha.

Zerka na nie.

– Pewnie Kenneth. Był moim sąsiadem zaraz po przeprowadzce do Austin. Przeżywałam wtedy ciężki okres. On pomógł mi zmienić moje życie.

Tak, to Kenneth odebrał telefon, kiedy zadzwoniłam do mamy na dzień

przed aborcją. Można więc powiedzieć, że zmienił i moje życie – choć pewnie odpowiedniejszym słowem byłoby „zniszczył”. Do dziś czasami się zastanawiam, co bym zrobiła, gdyby wtedy to mama odebrała telefon ode mnie. Oczywiście nigdy jej o tym nie wspomnę.

Tłumię bezużyteczny żal do Kennetha. „To było dawno temu, Taro”, powiedziała by moja terapeutka. „Żyj swoim życiem”.

– Opowiedz mi o nim więcej – proszę.

Mama zerka na mnie przewrotnym spojrzeniem.

– To był cudowny mężczyzna. Jedyne w swoim rodzaju. – Wybucham śmiechem, widząc moją minę. – Nie, nie... Cudowny, ale nie w tym znaczeniu. Traktowałam go jak syna, który zawsze był pod ręką, kiedy go potrzebowałam. – Patrzy na mnie z ukosa, żeby się przekonać, czy zrozumiałam przytyk. Moment później poważnieje. – Nie osiągnęłabym tyle, gdyby nie on. Ba, pewnie bym nawet nie żyła.

Z jej tonu domyślam się, że wcale nie przesadza. To sprawia, że milczę.

– Przed paroma laty przeprowadził się do Meksyku ze swoim partnerem Lance'em – dodaje, zadziwiając mnie ponownie. – Cieszyłam się przez wzgląd na niego, choć oczywiście strasznie mi go brakuje. – Milknie, oddając się wspomnieniom, których nigdy nie poznam. Ja także jestem cicho, usiłując się pogodzić z faktem, że mam taką nowoczesną matkę. W końcu wyrывa się z zamyślenia z przesadnym, matczynym westchnieniem. – Gdyby nadal tu mieszkał, na pewno nie musiałabym...

Przerywam jej sprawnie.

– Spójrz, co jeszcze znalazłam, mamó. – I wręczam jej hinduski album.

Moja strategia się sprawdza.

– Ojej, co za starość! – wykrzykuje, porzucając chodzik i zrzędlawy ton, po czym siada na kanapie, aby przerzucać kolejne kartki. – Nie pamiętam, kiedy go ostatnio oglądałam. Tu jest nasze mieszkanie w Kalkucie i balkon, na którym

moja matka uprawiała jaśmin. Uwielbiałam tam przesiadywać.

Zerkam ponad jej ramieniem na zdjęcie. Moja nastoletnia matka jest ubrana w sari i ma włosy zaplecione w warkocze upięte na głowie wstążkami. Siedzi na brzeżku taboretu, opierając łokcie o balustradę balkoniku niewiele większego od wanny. Przygląda się czemuś w dole. Na co patrzy z takim natężeniem? Próbuję się domyślić, chociaż moja cała wiedza na temat Indii pochodzi z książek, filmów i Internetu. Może jakieś dzieci puszczały papierowe statki w rynsztoku po deszczu. Może kochankowie szli ukradkiem do kina. Może tramwaj płonął, podpalony w czasie bandhu.

A może wyczekiwała, aż zobaczy tatę?

Mama niweczy moje fantazje.

– Czekałam na sprzedawcę dżal-muri – mówi. – Lepszego dmuchanego ryżu nie znalazłabyś w całej Kalkucie. Tej jednej rzeczy nie byłam w stanie odtworzyć tutaj, w Stanach. Pewnie wyjątkowy smak brał się z kalkuckiego kurzu! Och, spójrz, to nasz sklep.

Widzę skromny sklepik z napisem „Smakołyki Durgi” wyrytym na szybie i z uniesioną kratą na frontowej witrynie. Przed wejściem do niego stoi moja matka – uczennica – ubrana w plisowaną spódniczkę i ze znudzoną miną na twarzy. Uderza mnie świadomość, że także życie jej matki kręciło się wokół niej.

– Nigdy byś nie zgadła, że „Smakołyki Durgi” były najsłynniejszą cukiernią w całej Kalkucie – dodaje. – Więksi wytwórcy wiecznie starali się skraść mamine przepisy. Nie na wiele by im się to zdało. Smakołyki zawdzięczały swój wyjątkowy smak ręce mamy. Po bengalsku to się nazywa hater-gun.

– Lubiałś przebywać w tym sklepie?

– Uwielbiałam, kiedy byłam mała, bo w środku zawsze pachniało cukrem, szafranem i czekoladą, zupełnie jak w czasie świąt. Ale z wiekiem zaczęłam go nienawidzić. Mama interesowała się bardziej sklepem niż mną. Ileż razy zasnęłam na kanapie, czekając, aż wróci z pracy...

Znam to uczucie. W dzieciństwie sama czekałam tak na ojca. Zazwyczaj załatwiał interesy wieczorami, tak że musiałam walczyć z mamą o to, aby nie kładła mnie spać przed jego powrotem. Zmuszona położyć się do łóżka szczypałam się w rękę, aby nie zasnąć i mieć otwarte oczy, gdy przyjdzie pocałować mnie na dobranoc.

– Przez ten sklep oddaliłyśmy się od siebie – kontynuuje mama. – Właśnie dlatego, gdy twój ojciec zaczął zarabiać wystarczająco dużo, odeszłam z pracy i spędzałam całe dni z tobą. Po rozwodzie zapłaciłam za to oczywiście wysoką cenę, ponieważ nie nadawałam się do niczego.

Sztywniej. W tym momencie zaczynają się oskarżenia. Nasłuchiłam się ich dość w miesiącach bezpośrednio po rozwodzie.

– Ona naprawdę wierzy, że ja odpowiadam za wszystkie jej kłopoty! – opowiadałam terapeutce.

– Cóż – odparła. – Tak często bywa. – Wbiła we mnie wzrok i uniosła jedną brew. – A powiedziałaś jej kiedyś, jak się przez to czujesz?

Biorę głęboki oddech. Dziś. Dziś powiem jej, jak się czuję przez to niesprawiedliwe obwinianie.

Jej uwagę jednak zaprzęta zdjęcie przedstawiające jakiś wymyślny kostium.

– Na studiach występowałyśmy ze sztuką taneczną Tagorego – wyjaśnia. – Ja grałam rolę Szjamy, kobiety, która ocala bohatera od śmierci, po czym zostaje przez niego odtrącona.

Chwila przeminęła. Będę musiała poczekać na inną okazję. Przyglądam się eleganckiej młodej kobiecie ubranej w lśniący jedwab i mającej u kostek dzwoneczki, uczesanej w warkocze upięte z tyłu za pomocą srebrnych wstążek, ze smutnymi, umalowanymi oczyma. Nie rozpoznałabym w niej własnej matki.

– Nie wiesz tego – podejmuje – ale to wtedy twój ojciec zobaczył mnie po raz pierwszy. Na scenie. Może tak naprawdę zakochał się nie we mnie, tylko w Szjamie.

Dwie następne strony są sklezione. Mama rozrywa je delikatnie. Rozdzielają się i jakieś zdjęcie spada na podłogę. Podnoszę je. Jest wyraźnie starsze od pozostałych, utrzymane w statecznych, sepiowych barwach. Przedstawia młodą kobietę – nie moją matkę – która stojąc, patrzy prosto w obiektyw, odziana we wdowią biel. Włosy ma uczesane w poważny kok, a jej twarz jest chmurna, chociaż emanuje spokojnym pięknem. Dłonie trzyma na ramionach około dwunastoletniej dziewczynki, która stoi przed nią sztywno, ubrana w nieporządną sukieneczkę, z równie chmurną miną.

– Och, to zdjęcie! – woła mama zmienionym głosem. – Całkiem o nim zapomniałam!

– To ty? I babcia?

Mama potakuje skinieniem. Odwraca fotografię. Z tyłu widnieje wyblakła pieczęć ze słowami: „Z podziękowaniem od «Amrita Bazar Patrika»”.

– Co to znaczy?

– Było o niej głośno w tej gazecie – odpowiada mama. – Ukazało się też to zdjęcie.

– Mówisz o babci? Co takiego zrobiła?

– Pozwała firmę ojca, po tym jak zginął w wypadku. Kierownictwo chciało sprawę zatuszować, ale ona domagała się odszkodowania. Było to niesłychane w tamtych czasach, żeby samotna wdowa wystąpiła przeciwko dużej firmie.

– Wygrała?

Mama wzrusza ramionami.

– Byłam za mała, aby rozumieć, co się wokół mnie dzieje. A moja matka... cóż, była bardzo skryta. Nigdy później o tym nie rozmawiałyśmy. Musiało dojść do jakiegoś kompromisu, skoro miała dość pieniędzy, aby otworzyć sklep. Nie mam pojęcia, jak inaczej by przetrwała, i to z dzieckiem na utrzymaniu. – Urywa. Po chwili dodaje niezręcznie: – Dziękuję. Sama nigdy nie znalazłabym tego zdjęcia. Moja matka była z niego bardzo niezadowolona. Uważała, że

fotografowanie się to zbytek, jaki nie przystoi wdowie. To jedyne jej zdjęcie, jakie mam.

Biorę fotografię do ręki i przyglądam jej się uważniej. Babka patrzy na mnie uroczym, acz tajemniczym spojrzeniem. Dręczy mnie, że tak mało o niej wiem. Usiłuję domyślić się z tego zdjęcia, jaka była. Czy przygryza wargę, aby powstrzymać jej drżenie? A może to przejaw determinacji? Trzyma córkę mocno, aby dodać sobie otuchy czy żeby wesprzeć dziecko, a może żeby kazać mu zachowywać się należycie? Chciałabym patrzeć na fotografię do czasu, aż nie ujawni przede mną wszystkich sekretów.

Być może teraz, gdy własny koniec migocze jej na skraju widzenia, mama będzie gotowa powiedzieć mi coś więcej o swojej matce.

– Mamo... – zaczynam. – Czy babcia...

– Przejrzyjmy moje ubrania – przerywa mi. – No, oddaj to zdjęcie. – Chwyta je za brzegi, aby nie zostawić śladów.

– Mamo. – Głos mi drży. Jestem zdenerwowana jak mała dziewczynka. – Mogłabym je zatrzymać?

Mama umieszcza zdjęcie w albumie i zatrząskuje jego okładki.

– Taro! Dopiero co je znalazłam. Sama chcę mieć to zdjęcie przez jakiś czas, móc na nie patrzeć. Odziedziczysz je po mnie niebawem, gdy umrę. No już. Mam parę ładnych sari, których nigdy więcej nie włożę. Chcę ci je dać. – Podnosi się i nierównym krokiem zmierza w stronę sypialni.

Ja jednak zostaję z tyłu. W dłoniach czuję znajome mrowienie, które stopniowo ogarnia moje nadgarstki i przedramiona. Zaczynam się trząść i gorączkować. Pragnę tego zdjęcia. Pragnę go tak bardzo, że w ustach mi zasycha. Muszę je mieć.

To mój sekret.

Na przestrzeni ostatnich lat, dzięki terapii, te napady stały się coraz rzadsze. Byłam pewna, że mi się polepsza. Dziś jednak czuję się tak, jakbym się

poślizgnęła i poleciała w dół zbocza do wilgotnego rowu. Pomimo dudnienia w głowie słyszę słowa mojej terapeutki: „Przestań, Taro. Nie okradniesz własnej matki. Niepotrzebne ci to zdjęcie. Zresztą czy którakolwiek ze skradzionych rzeczy ci uszczęśliwiła? Jesteś silniejsza niż to pragnienie. Otrząśnij się z niego, i to już”.

Oczywiście ma rację. Przy kleptomani kluczowa sprawa to pozbyć się pokusy. Zająć się czymś innym. Tylko że nie jestem w stanie. Nie chodzi wyłącznie o pragnienie. Chodzi też o gniew. Mogłam znać tę kobietę, mogłam ją odwiedzać, mogłam ją kochać i być przez nią kochana. Mogłam się do niej zwrócić, gdy moje życie runęło. Być może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Tymczasem rodzona matka pozbawiła mnie tej możliwości.

– Taro! – woła mama. – Co cię zatrzymuje?

Zmuszam się do opanowania głosu.

– Już idę, mammo.

Pochyliłam się nad albumem. Porywam babkę. Pośpiesznie udaję się do swego pokoju i wsuwam fotografię do torby podręcznej, po czym nakrywam ją brudnymi koszulkami. Przepęlnia mnie podniecenie i poczucie winy. Mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

—

Jest późno w nocy. Mama zdążyła się położyć. Ponieważ nie mogę spać, siedzę w garażu i rozkładam rzeczy na kupki. „Wyrzucić”. „Oddać”. „Zachować”. „Do zdecydowania”. Wciąż czuję mrowienie po kradzieży. Skaczę na najlżejszy dźwięk. Oddech mam urywany, jakby mi coś było. Głowa mi pęka, mimo że zażyłam podwójną porcję maminego ibuprofenu.

Na kolację zjadłyśmy zupę z puszki i tosty. Mama była rozczarowana. Chciała, abyśmy wykorzystały wszystkie jej świeże warzywa. Nie cierpi marnotrawstwa, zwłaszcza jedzenia. Jednakże ja nie miałam siły na nic więcej.

Zabiłabym za kieliszek wódki, ale mama nie trzyma alkoholu w domu. I dobrze, zważywszy na mój dzisiejszy stan. Czułam pulsowanie za oczyma. Gdy Gary zadzwonił, jak co wieczór, zignorowałam jego telefon. Na pytania mamy odpowiadałam monosylabami, tłumacząc się migreną. Kiedy poskarżyła się na nogę, że ból budzi ją w środku nocy, nie zareagowałam, choć widziałam, że oczekuje odrobiny współczucia. Często taka jestem po napadzie. Czułam się jeszcze podłej niż zazwyczaj, gdyż mama właśnie mi podarowała trzy piękne sari, swoje najdroższe, a do tego elegancki, biały wełniany szal, który wygląda zarazem znajomo i magicznie – jak coś prosto ze snu. Nie sądzę jednak, abym miała kiedyś cokolwiek z tego założyć; to nie mój styl.

– Przyślij mi zdjęcie, jak je przymierzysz – powiedziała mama, wręczając mi stosik materiału, po czym siąknęła nosem i jak to ona dodała: – To znaczy, jeśli wciąż będę wtedy żyła.

Przekopałam się prawie do końca garażu. Jeszcze godzina i będzie po wszystkim. Za kolejne dwa dni wrócę do domu ze skradzionym zdjęciem. Na razie nie zdecydowałam, co z nim zrobię.

Wszystkich innych rzeczy, które ukradłam, pozbyłam się szybko. Zaczęło się od wypchanego szopa pracza, którego zabrałam swojemu chłopakowi. (A może jeszcze wcześniej? Nie pamiętam). Szopowi pozwoliłam odpłynąć na falach oceanu. Ze sklepu charytatywnego, w którym pracowałam, wzięłam sobie figurę Jezusa. I zostawiłam ją na przystanku autobusowym. Z czasem stało się to łatwiejsze, aczkolwiek słowo „łatwiejsze” może nie jest tu odpowiednie. Po powrocie na studia kradłam podręczniki kolegów i ofrankowane koperty z sekretariatu. Nawet pióra moich profesorów. Plakietki. Badziewie, którego nie potrzebowałam. Czasami wyrzucałam swój skarb do pierwszego lepszego kosza na śmieci. Kiedy zaczęłam się spotykać z Garym, zwędziłam mu sweter z nazwą jego uczelni, trzy powieści, zapasowe klucze i pudełko batoników. Zrobiłam to, chociaż byłam w nim zakochana.

W miejscach zatrudnienia kradłam kubki, zszywacze, poduszki, obrazki, a nawet rodzinne zdjęcia współpracowników. Raz zdarzyło mi się zwędzić króliczą łapkę. Jestem w tym dobra. Chwilami byłam bliska nakrycia – to dostarczało mi najwięcej emocji – jednakże zawsze wierzyłam, że wyjdę z każdej sytuacji obronną ręką. Gdy ludzie zaczynali mi się dziwnie przyglądać, zmieniałam pracę i dalej robiłam to samo.

Pewnego razu koleżanka z pracy przyniosła do biura szklany przycisk do papieru, jeden z tych antycznych, w których nad miniaturową wieżą Eiffla pada śnieg, gdy nimi potrząsnąć. Odziedziczyła go po zmarłej ciotce. Trzymając przycisk w rękach, ze łzami w oczach opowiadała, jak to się nim bawiła podczas wizyt u ukochanej cioci. Wspominając, wydawała się taka szczęśliwa, że po prostu musiałam go jej ukraść.

Zabrałam przycisk któregoś popołudnia, sądząc, że poza mną nikogo nie ma w biurze. Ktoś jednak musiał mnie zobaczyć. Gdy zesłam na dół, ochroniarz kazał mi opróżnić torebkę. Inni pracownicy przystawali i się gapili. Wezwano moją szefową, ktoś chciał zawiadomić policję. Zostałam oskarżona o kradzież innych przedmiotów, także tych, z którymi nie miałam nic wspólnego.

Ochroniarze odprowadzili mnie do domu. Szalałam ze strachu, że rodzina się dowie, ale na szczęście Gary wciąż był w pracy, a Nil miał po szkole zajęcia sportowe. Ochroniarze przeszukali mieszkanie, jednakże nic nie znaleźli. Wszystko zdążyłam wyrzucić.

Oczywiście straciłam pracę. Jednakże moja szefowa, która darzyła mnie sympatią, obiecała nie wpisywać mi niczego do akt, jeśli obiecuję, że rozpocznę terapię. Stąd moje wizyty u terapeutki.

Długo trwało, zanim znalazłam następną posadę. Musiałam naopowiadać biednemu, łatwowiernemu mężowi stek kłamstw. Miałam nadzieję, że to przeżycie czegoś mnie nauczyło, ale niestety tak się nie stało. Na przestrzeni ostatnich lat znowu zaczęłam kraść, mimo że po wszystkim czuję do siebie wstręt.

Moja terapeutka twierdzi, że kradzież nie zwróci mi tego, co jak sądzę, straciłam.

Pyta: „Dlaczego uprawiasz autosabotaż?”.

Nie wiem. Może dlatego, że łatwiej jest krzywdzić siebie niż innych.

W kącie garażu stoi wielkie pudło. Dziwi mnie, że widnieje na nim moje imię, a także stary adres rodziców z czasów, gdy jeszcze byli małżeństwem. Jest sterany, jakby towarzyszył mamie podczas wszystkich jej przeprowadzek. Przez moment nie wiem, co myśleć. W końcu widzę, że to rzeczy z akademika, które uczelnia wysłała do domu po tym, jak rzuciłam studia. Odeszłam z jednym plecakiem, zostawiając wszystko inne, jak gdybym robiąc to, mogła się pozbyć dawnego życia. Pamiętam, że mama zostawiła mi wiadomość głosową z informacją, iż uczelnia przesłała moje rzeczy na adres domowy. Nie oddzwoniłam. Byłam pewna, że do tej pory dawno zdążyła się ich pozbyć. Najwyraźniej jednak tego nie zrobiła. Ani też nie otworzyła pudła, by myszkować w moim życiu. Przenosiła karton cierpliwie z miejsca na miejsce, rok po roku, licząc, że kiedyś do niej wrócę.

Przenoszę pudło i stawiam je obok kupki „wyrzucić”, ale pod wpływem impulsu odklejam zamykającą je taśmę. Chcę zerknąć na dawną siebie, na Tarę, której nie przyszłoby do głowy coś ukraść. Stara taśma odchodzi z łatwością. W środku są podręczniki, niemodne ubrania, kompakty z muzyką, zestaw markerów, przeterminowany lek, budzik, puste buteleczki po perfumach, mój ulubiony niebieski kocyk, który dostałam od mamy, aby nie tęsknić za domem.

Nic z tego nie przypomina mi dawnej mnie.

Rzucam karton na stos rzeczy do wyrzucenia. Przedmioty rozsypują się z rumorem. Klnę. Narobiłam sobie dodatkowej roboty. Kucam i zaczynam upychać wszystko z powrotem. W pewnym momencie zauważam dużą zaklejoną kopertę. Nie wygląda znajomo – w przeciwieństwie do reszty śmieci, które przejrzałam. Wyciągnąwszy ją na wierzch, widzę rzędy indyjskich znaczków

pocztowych. Ktoś wydał masę pieniędzy, aby to do mnie wysłać. Nadawcą jest Bipin Bihari Ghatak. Nie mam pojęcia kto to.

Wewnątrz jest gruby plik papieru. Na górnej kartce – ciasną, staranną kaligrafią – napisano: „Twoja babcia spędziła ostatnie godziny przed atakiem serca na pisaniu tego listu do Ciebie”.

Moja babcia. Wyobrażam ją sobie siedzącą po turecku na marmurowej podłodze, jak przyciąga do siebie niski stolik z drzewa różanego. Oczyma wyobraźni widzę, jak odkręca wieczne pióro. Wygląda trochę jak pani Mehta, kobieta, którą niegdyś znałam. Pani Mehta opowiadała mi o gwiazdach. To ona poszła ze mną po moje rzeczy do mieszkania Roberta, kiedy mnie zdradził. Po wyjeździe do Indii napisała do mnie dwukrotnie – były to urocze, dygresyjne, przepełnione melancholią listy, w których zapraszała mnie do siebie i proponowała, abym z nią zamieszkała. Czytałam je w kółko łączywie i wiele myślałam o jej propozycji. Nie znalazłam jednak w sobie odwagi. A w końcu się przeprowadziłam – raz i drugi – nie pozostawiając nowego adresu. W ten sposób utraciłam także ją.

Obawiam się, że list będzie w języku bengalskim, którego nie znam, jednakże okazuje się, że jest po angielsku. Ręce zaczynają mi się trząść. W dzieciństwie często pytałam mamę o babcię, lecz ona nigdy mi o niej nie opowiadała. Wiedziałam, że babcia zmarła mniej więcej w czasie rozvodu moich rodziców, ale nie znałam żadnych szczegółów. Później, gdy znów nawiązałam kontakt z mamą, unikałam tego tematu, aby nie przysparzać jej bólu. Być może ten list ostatecznie rozwieje tajemnicę, która zawsze otaczała Sabitri Das.

Najukochańsza Wnuczko!

Od Twojej matki wiem, że nie zamierzasz kontynuować nauki. Niezmiernie przykro mi to słyszeć. Mam nadzieję, że jeszcze zmienisz zdanie. Zbrodnią byłoby zmarnować taką okazję, podsuwaną Ci przez

życie.

Skąd moja babcia wiedziała, że rzuciłam studia? Czyżby mama z nią o tym rozmawiała? Czuję, że ogarnia mnie gniew, ale powściągam go. To działo się dawno temu, a poza tym jestem ciekawa.

Jednakże ten list jest dziwny. Strona po stronie widzę wariację tego samego tematu. Czyżby babcia pod koniec cierpiała na demencję? Przekładam kartki, z których wioną banalne rady, i rozczarowana już zamierzam odłożyć je z powrotem do koperty, gdy mój wzrok pada na pewien akapit.

...zatrzymałam się potulnie. Być może jakąś częścią siebie uważałam, że ktoś taki jak on może rozkazywać komuś takiemu jak ja, nieszczęsna. Ale też po części chciałam zostać, ponieważ był młody, przystojny i rycerski. Kiedy się do niego odwracałam, serce biło mi nierówno, i to nie tylko ze strachu.

Gdzieś po drodze babcia zaczęła opowiadać swoją historię. Historię, którą pragnęłam poznać, odkąd zobaczyłam jej zdjęcie. Nie – której potrzebowałam przez całe życie, mimo że nie zawsze to sobie uświadamiałam. Oddech mi przyśpiesza, gdy rozkładam kartki na posadzce garażu. Usiłuję ułożyć je we właściwej kolejności. Chwilę to trwa, ponieważ strony nie są numerowane. Pałę się do tego, aby wszystko przeczytać, jednakże wcześniej muszę coś zrobić. Wszechświat podarował mi niesłychany dar. Muszę się jakoś odwdzięczyć.

Wracam do swojego pokoju i z torby podręcznej wyciągam zdjęcie w barwach sepia. Nie jest to łatwe. Biorę głęboki oddech i podnoszę je do oczu. Przygryzam wewnętrzną stronę policzka, aż w ustach czuję krew. Rezygnuję dwukrotnie. Ale w końcu udaje mi się przejść do dużego pokoju, w którym panują ciemności. Zamierzam odłożyć fotografię do albumu.

Chciałabym móc powiedzieć terapeutce: „Widzi pani? Zwracam to, co

ukradłam. Pierwszy raz w życiu”. Jestem pewna, że nazwałaby to momentem przełomowym.

Po omacku lawiruję między obcymi meblami, kilkakrotnie tłukąc sobie kolano o jakieś kanty. Nie chcę jednak zapalać światła, aby nie obudzić mamy, która śpi obok przy otwartych drzwiach. Nie chcę mierzyć się z lawiną pytań. Na oślep szukam albumu, który powinien leżeć na ławie, jednakże moje dłonie napotykają pustkę. Cholera. Czyżby mama zabrała go ze sobą do sypialni? Macam dalej i w pewnym momencie zrzucam na ziemię coś ciężkiego i metalowego.

– Kto tam? – woła mama przestraszonym, drżącym głosem.

Ja też jestem przestraszona. Ten głos zdaje się bliski, bliższy niż próg sypialni. Słyszę głośnie kłaśnięcie, po czym oślepia mnie blask lampy stojącej tuż przede mną. A niech to szlag. Mama zainstalowała sobie klaskacze!

Teraz podnosi się wpół śpiąca na kanapie, szukając na ławie okularów. Najwyraźniej obudziła się w nocy i przeszła z sypialni tutaj, licząc, że znajdzie wygodniejszą pozycję. Naprzeciwko mnie, na stoliku, przed którym stoję, leży album. Mam go na wyciągnięcie ręki. Jednakże nie zdołam odłożyć do niego zdjęcia tak, żeby mama nic nie zauważyła.

– Co ty wyprawiasz, Taro?

– Ja... ja przeglądałam twoje rzeczy w garażu. Przyszłam się napić.

Nawet w moich własnych uszach ten głos brzmi piskliwie i podejrzenie. Próbuję ukryć zdjęcie za plecami, co oczywiście przyciąga jej uwagę.

– Co tam masz?

Wyciągam przed siebie zdjęcie, czując się jak czterolatka przyłapana z ręką w słoju z cukierkami.

Mama patrzy najpierw na zdjęcie, potem na mnie, a na jej twarzy zdziwienie stopniowo przechodzi w gniew.

– Zabrałaś je? Po tym, jak ci zabroniłam? Zabrałaś zdjęcie mojej matki, które

przyniosłoby mi odrobinę otuchy w tym mauzoleum, dokąd mnie wysyłasz?

– Właściwie to chciałam je oddać – mówię. Jednakże w moim głosie pobrzmiewa poczucie winy. I mama, z istic macierzyńskim instynktem, uczepia się tego.

– Nie mogłaś poczekać paru miesięcy na moją śmierć? Musisz je kraść za mojego życia?

Może chodzi o to słowo: „kraść”. A może o stres skumulowany przez tydzień. Lub o ciężar, który czuję dlatego, że kończę z niezależnością matki. W każdym razie coś we mnie pęka.

– Tak! – krzyczę. – Kradnę! To właśnie robię. Dlatego bez przerwy zmieniam pracę. Raz już mnie przyłapano. I jestem pewna, że nastąpi to ponownie. Mój mąż dowie się o wszystkim. I mój syn także. Ale mimo to nie potrafię przestać.

Cofa się przede mną. Strach – a może niesmak – który maluje się na jej twarzy, działa na mnie jak czerwona płachta na byka. Jak pieprz wtarty w żywą ranę. Sprawia, że wyrzucam z siebie dalsze słowa.

– A wiesz, dlaczego kradnę? Zabieram rzeczy, które powinnam była mieć, lecz nie miałam. Przedmioty, które równają się szczęśliwym wspomnieniom. Które symbolizują miłość i odpowiedzialność. Chociaż czasami kradnę też rzeczy pozbawione znaczenia. Wiesz czemu? Bo mam w piersi wielką dziurę, którą kradzież wypełnia choć na moment.

– Ale dlaczego to zdjęcie? – pyta drżącym szeptem, jakby obawiała się usłyszeć odpowiedź. I słusznie.

– Ukradłam zdjęcie babci, ponieważ trzymałaś ją z dala ode mnie przez całe życie!

Znienacka mama wpada w furię.

– Jak śmiesz mnie oskarżać?! Nie masz pojęcia, po jak cienkim lodzie stapałam w stosunkach z twoim ojcem! Myślisz, że ja za nią nie tęskniłam?

Myślisz, że nie chciałam, aby przyjechała do Ameryki i była ze mną wówczas, gdy czułam się tak samotna, że groziła mi śmierć? Myślisz, że nie chciałam widzieć, jak trzyma cię na rękach po narodzeniu i kiedy dorastałaś? Ale on na to nie pozwolił!...

Na wzmiankę o ojcu zaczynam się nagle trząść. Pomyśleć, że wciąż ma na mnie taki wpływ, po tych wszystkich latach, kiedy obiecywałam sobie obojętność! Moje następne słowa pochodzą z głębi mnie, z miejsca, o którym zapomniałam – albo zmusiłam się, żeby zapomnieć. „Spytaj matkę”, powiedział mi tata podczas naszego ostatniego spotkania na zewnątrz sklepu charytatywnego, w którym pracowałam.

– Nie wiń ojca – mówię. – Nic z tego by się nie wydarzyło... ani rozwód, ani późniejsze katastrofy... gdybyś go pierwsza nie zdradziła.

Natychmiast wiem, że się ośmieszyłam. Czekam, aż mama wybuchnie śmiechem niedowierzania lub wyparcia, czekam, aż mnie skarci, że chcę zmienić temat, bądź wręcz oskarży o inne kradzieże. Tymczasem ona spuszcza wzrok; porażkę widać po jej zgarbionych ramionach.

Moja matka? Była niewierna mężowi? Kim ja w takim razie jestem? Jakie spalone geny przekazałam mojemu synowi?

Unikając mnie spojrzeniem, mama sięga do chodzika i szurając, znika w sypialni. Drzwi zamykają się za nią z cichym trzaskiem.

Wszystko popsułam.



Odłożywszy na miejsce zdjęcie babci, wracam do garażu, aby dokończyć jej list. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Czytam o przygodach Sabitri przez całą noc. Jej słowa przeszywają mnie niczym włócznie. Sprawiają mi ból, ale też pozwalają na jakiś czas zapomnieć o własnych problemach.

Marzenia miała zuchwałe, nieprzystające córce ubogiego wiejskiego kapłana.

Wszyscy wokół uparli się jej przeszkodzić w ich realizacji. Zasady, według których miała żyć zdaniem swojej matki, nawet wskazówki dla przyzwoitych kobiet – była ponad tym wszystkim.

Dobra córka to lampa pomysłności, rozświetlająca nazwisko rodziny.

Zła córka to żagiew, która przyćmiewa sławę rodziny.

W tym liście mieszczą się sekrety, których nie wyjawiała nikomu innemu. To, jak mieszkała kątem u bogatej kalkuckiej rodziny, cierpiąc codzienne upokorzenia w zamian za możliwość edukacji. To, jak zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie i za to została wyrzucona na bruk. To, jak w rozpacz omamiła mojego dziadka. To, jak wróciła raz do swych niechętnych gospodarzy, aby się dowiedzieć, że zemsta ma swoją cenę. To, jak zaczęły się problemy między nią i moją matką – za sprawą niewinnych słów rzuconych w samochodzie i głośnego policzka, który rozlegał się echem przez lata.



Ranek zastaje mnie przy ponownej lekturze babcinego listu. Jestem wyczerpana. Oczy mam piekące, jakby ktoś sypnął mi w nie piaskiem – jakbym przejechała pół świata bez zatrzymywania się. Jednakże zarazem czuję się też pocieszona. Na tle życia babci moje własne zmagania wydają się mniej rozpaczliwe.

Ale nie, to jeszcze nie koniec. Jest jeszcze coś, czego dowiedziała się babcia Sabitri – najważniejsze ze wszystkiego. Chodzi o jej ostatnie słowa przed śmiercią. Po prawdzie napisała je tyleż do mnie, co do mamy; dlatego muszę się nimi z nią podzielić, zanim odjadę.

Pukam do drzwi sypialni. Wiem, że nie będzie łatwo.

– Odejdź – mówi niewyraźnie mama.

Naciskam klamkę i wchodzę do środka.

– Nie słyszałaś? – warczy. – Odejdź. Nie mamy sobie nic więcej do

powiedzenia. Na szczęście od teraz nie będziemy musiały się nawet widywać.

Wręczam jej list, wyjaśniając, gdzie go znalazłam. Słyszę, że chwyta łąpczywie powietrze. Czekam.

– Nie wiedziałam – szepcze do siebie, czytając. – O, bogowie... Nie wiedziałam.

Chyba zapomniała o mojej obecności.



Mama jest już na ostatniej stronie. Płacze – z jej gardła wyrywa się raptowny, brzydki szloch, który utrudnia mówienie.

– Kiedy powiedziałaś mi, że rzucasz studia, Taro, nie wiedziałam, co począć. Sama przedwcześnie zakończyłam naukę i większość moich problemów stąd właśnie się wzięła. Nie chciałam, aby to samo spotkało ciebie. Przypuszczam, że wszyscy zwracają się do matek, gdy ich świat się rozpada. Powiedziałam twojej babci, że musi do ciebie napisać. Sprawić, abyś zmieniła zdanie. Był to jej obowiązek. Byłam tak skupiona na sobie, na własnym bólu, że nie zastanowiłam się, jak bardzo ją ta wiadomość dotknie. Och, moja nieszczęsna matka, przez całe życie przyprawiałam ją tylko o cierpienie. Nawet jako dziecko byłam naburmuszona i trudna. Winiłam ją za śmierć mojego ojca. Jeszcze bardziej zaś za śmierć młodszego braciszka. Uważałam, że miała obowiązek się o niego troszczyć. Nie wiedziałam wtedy, że matki nie zawsze są w stanie uchronić swoje dzieci od złego, bez względu na to, jak by się starały.

Przerywa na moment, aby otrzeć łzy.

– Po rozmowie z nią przez cały dzień kręciłam się bez celu po domu. Zadzwoniłam do ciebie, ale ty nie odebrałaś. Zatelefonowałam do twojego ojca. Dotąd jednak zdążył już zmienić numer. Miałam takie wrażenie, jakby moje ciało stało w ogniu. Tamtej nocy... zapewne gdy moja matka dostała ataku serca... spałam na tabletkach nasennych. Zamierzałam zażyć całą buteleczkę, ale

stchórzyłam w połowie. W każdym razie straciłam przytomność. Nie słyszałam dzwoniącego telefonu. Nazajutrz obudziłam się na podłodze łazienki, z ustami wyschniętymi na wiór i głową bliską pęknięcia na dwoje. Chciałam wpełznąć z powrotem do łóżka i nigdy już nie wstać. A jednak dowleklełam się do telefonu i sprawdziłam, czy nie ma nowych wiadomości. Łudziłam się, że oddzwoniłaś. Tymczasem wszystkie pochodziły z telefonu mojej matki. Przewinęłam je. Nie miałam siły na wysłuchiwanie jej napomnień i tego, jak wszystko popsuałam. Tylko że wiadomości wcale nie były od niej. Zostawił je Bipin Bihari, kierownik sklepu, jedyny człowiek, który był z nią do samego końca. Zanim zdałam sobie sprawę, było po wszystkim, nawet jej prochy już rozsypano. Taro, zabiłam własną matkę!

Kiwa się w przód i w tył, a ramiona jej drżą. Obejmuję ją tak mocno, jak zdołam, myśląc, że sama omal przeze mnie nie umarła. Chcę powiedzieć terapeutce, że i ja jestem uwikłana w sieć smutku i odpowiedzialności. Cierpienie sprawia, że wariujemy. Pragniemy tylko odrzucić płonący węgiel jak najdalej nas, nie licząc się z tym, że kogoś może skrzywdzić.

Mama czepia się mojej koszulki. Ja masuję jej plecy, czując na szyi jej łyzy. Dziesiątki lat nie byłyśmy ze sobą tak blisko. Dziwne to uczucie, coś jak naderwane ścięgno, które samo się zrasta, nierówno i niedoskonale, gwarantując skuteczność pod warunkiem, że znów go nie nadwerężymy.

Po jakimś czasie mama siada prosto.

– Zdradziłam twojego ojca – mówi. – Jednakże nie tak, jak myślisz. Być może to, co zrobiłam, jest nawet bardziej godne potępienia. Opowiem ci o tym, zanim się pożegnamy. Powinnaś wiedzieć. Najpierw jednak przeczytaj mi ciąg dalszy listu. Oczy zbytnio mnie boją...

Wyciąga do mnie rękę z kartką.

– Dobrze – odpowiadam.

Tamta chwila w samochodzie wcale nie była najszcześniejszym momentem mojego zycia. Tak samo jak chwile spędzone z Radziwem na tarasie skąpanym blaskiem gwiazd. Najszcześniejszy moment miał się pojawić znacznie później.

Pewnego dnia w kuchni na zapleczu sklepu trzymałam w ręku nowy, opracowany przez siebie przepis – na smakołyk, który zamierzałam nazwać imieniem niezycjącej matki. Ugryzłam kawalek deseru w kształcie muszli najdelikatniejszego, najbledszego kolorze owocu mango. Moje usta wypełniły się gładkim, kremowym smakiem mleka, cukru, szafranu i owoców, mnie zaś przepęłniło zadowolenie. Było to moje dokonanie, bez niczyjej pomocy. Nikt nie mógł mi go odebrać. Tego właśnie pragnę dla Was, Taro, Belo. To właśnie znaczy być lampą pomyslności...

Podziękowania



Trzeba niejednej wioski, aby stworzyć książkę. Poniżej chciałabym wymienić osoby, które zasługują na moje szczere podziękowanie za to, że pomagały mi w trakcie tworzenia tej konkretnej powieści, gdzie odważyłam się wypróbować wiele nowych rzeczy.

Są to:

Moja agentka Sandra Dijkstra (która jest ze mną od najpierwszej książki) i jej wspaniały zespół, szczególnie Elise Capron i Andrea Cavallero, za ich niesłabnące wsparcie.

Moi wydawcy w wydawnictwie Simon & Schuster. Millicent Bennett za niesłychanie krytyczne oko oraz za naprzemienne pochwały i baty w odpowiednich momentach, a także za to, że nigdy nie zadowolila się tekstem pośledniej jakości. Emily Graff za wspaniałomyślne dzielenie się ze mną swoimi uwagami oraz za sprzyjanie tej książce w Ameryce i za granicą.

Moja fantastyczna grupa pisarska – Zack Bean, Nicholas Brown, Will Donnelly, Irene Keliher, Keya Mitra, Oindrila Mukherjee – za ich uważną, przychylną i uczciwą, a także więcej niż jednorazową lekturę wczesnych wersji mojej książki oraz wytknięcie mi tego, czego sama nie mogłam zauważyć jako osoba nadto emocjonalnie przywiązana do tekstu.

Moi przyjaciele – Robert Boswell, Sreya Chatterjee, Auritro Majumdar, Punam Malhotra, Alex Parsons, Roberto Tejada i Elizabeth Winston – za dzielenie się informacjami i zachęty, jak również cierpliwe przedzieranie się przez poszczególne opowieści i nanoszenie poprawek we właściwych miejscach.

Moi trzej mężczyźni – Murthy, Anand i Abhay – za to, że wiernie mi kibicują i że rozumieją, iż są chwile, kiedy po prostu muszę zanurzyć się

w świecie fikcji.

Ci, którzy już odeszli, ale których błogosławieństwo wciąż mi towarzyszy: mój dziadek Nibaran Chandra Ghosh, moja matka Tatini Banerjee i moja teściowa Sita Divakaruni.

Moi duchowi nauczyciele, od których się uczę, jak istotne jest podchodzić do świata ze współczuciem: Baba Muktananda, Swami Chinmayananda, Swami Tejomayananda i Swami Vidyadhishananda.

Wszystkim wam gorąco dziękuję.

Nota od tłumaczki



Pragnę serdecznie podziękować Panu dr. hab. Piotrowi Balcerowiczowi, profesorowi Uniwersytetu Warszawskiego i wybitnemu orientaliście, za okazaną mi pomoc przy ustalaniu brzmienia oryginalnych cytatów z języków indyjskich i ich tłumaczenia, jak również transkrypcji wszelkiego nazewnictwa użytego w niniejszej książce. Jestem pod wielkim wrażeniem jego wiedzy i życzliwości, które w laiku wywołują respekt i podziw. Oczywiście winę za wszystkie lapsusy ponoszę wyłącznie ja.

© autorce



Chitra Banerjee Divakaruni jest autorką 16 książek, w tym *Oleander Girl*, *Mistrzynie przypraw*, *Siostra mojego serca*, *The Palace of Illusions* oraz *Jedna niezwykła rzecz*. Jej teksty ukazują się na łamach „The New Yorker”, „The Atlantic” i „The New York Times” i są zdobywcami m.in. American Book Award. Urodzona w Indiach, obecnie mieszka w Teksasie i pracuje na University of Houston (Kolegium Betty i Gene’a McDavidów) jako wykładowca kreatywnego pisania ze stopniem profesorskim.

Tytuł oryginału:

Before We Visit the Goddess

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Beata Piecychna

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Pikoso.kz (Shutterstock)

Copyright © 2016 by Chitra Banerjee Divakaruni

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Urszula Gardner

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2017

ISBN 978-83-65740-55-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/wydawnictwokobiecepl



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: wydawnictwo@kobiece.pl

Dział handlowy: zamowienia@kobiece.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com